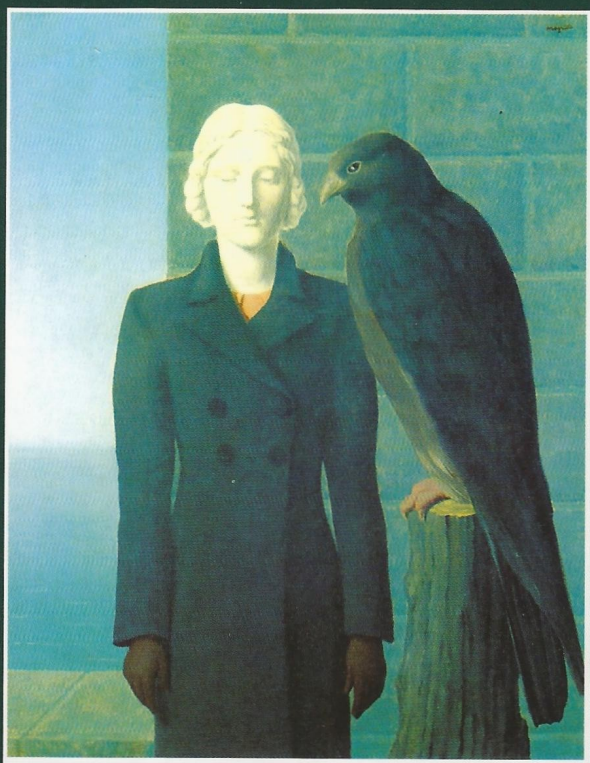


Waldemar
Łysiak



Najgorszy

Wydawnictwo Nobilis

Waldemar
Łysiak



Najgorszy

Wydawnictwo *Nobilis*



Warszawa 2006

© Copyright by Waldemar Łysiak 2006

[copyright autora obejmuje również
wszystkie rozwiązania graficzne i typograficzne książki]

Wydanie I

Warszawa 2006

Opracowanie typograficzne i graficzne:
Waldemar Łysiak i Adam Wojtasik

Redakcja techniczna:
Adam Wojtasik

Na okładce wykorzystano obrazy R. Magritte'a i rysunki B. Keraca

WYDAWNICTWO NOBILIS

Krzysztof Sobieraj
ul. Dominikańska 33,
02-738 Warszawa,
tel./fax: 853-12-61,
e-mail: nobilis_l@wp.pl

ISBN 83-60297-08-8

Formatowanie i poprawienie skanowania – Bogusław P. Marcela

Nota edytorska

„Najgorszy” jest swoistym dodatkiem do głośnej „trylogii łotrzykowsko-heroicznej” Waldemara Łysiaka („Dobry”, „Konkwista”, „Najlepszy”) – a zarazem stanowi zupełnie odrębną pozycję, dzieło, które można z satysfakcją czytać bez znajomości wspomnianej trylogii. Jednak, oczywiście, „Najgorszy” rozszerza cykl – dzięki niemu trylogia stała się czteroksięgiem vel tetralogią. I chyba ów drugi (grecki) termin jest tu trafniejszy niż określenie czteroksiąg, bo starożytni Grecy zwali tetralogią widowisko teatralne będące czteroczęściowym cyklem w układzie 3 + 1 (trylogia złożona z trzech tragedii oraz dramat satyryczny).

Tylko pozornie „Najgorszy” jest literaturą polityczną (dotyczy to zresztą również wszystkich tomów czteroksiągu). Już szesnaście lat temu Łysiak kpił u progu swego memuaru: *„Pisanie literatury politycznej interesuje mnie w równym stopniu co statystyka, kulturystyka i robienie swetrów na drutach. Obchodzi mnie zupełnie inna dziedzina ewolucji. Tym moim konikiem jest zoologia; wszystko co piszę to czytanki z życia zwierząt”*. Po czym dał przykład z wysokiej literackiej półki, mówiąc, iż nazywanie jego powieści politycznymi miałoby „równie dużo sensu, ile miałoby twierdzenie, że «Hamlet» jest sztuką o perypetiach dynastycznych dworu duńskiego w Średniowieczu. Treścią «Hamleta» jest właśnie to – perypetie dynastyczne na duńskim dworze królewskim w Średniowieczu – a przecież jest to czytanka o czymś zupełnie innym, o *mentalno-hormonalnych perypetiach osobnika wieńczącego długi darwinowski łańcuch pokoleń*”. Reasumując swój wywód, Łysiak stwierdził: „Dusza ludzka interesuje mnie tysiąc razy bardziej”. Istotnie – w „Najgorszym” zaglądamy głęboko do dusz mężczyzny i

kobiety toczących dialog, o którym aż po finał nie będziemy wiedzieć ile mieści prawdy, a ile mistyfikacji, co tu jest stroną realną, a co teatralną. Czy główną bohaterką „Najgorszego” jest twarda walka, czy może konkursowa pycha instynktów profesjonalnych, czy raczej falsyfikacja rzeczywistości bliska sferze onirycznej? Na to pytanie może czytelnikowi odpowiedzieć wyłącznie lektura dzieła.

Prolog

- Dzień dobry, panie pułkowniku.
- Witam panią. Chociaż nie mam problemów z hrabiowskim „r”.
- Słucham?... Nie bardzo rozumiem, pułkowniku...
- To był żart. Tak zwana „caryca biesiadna” vel „caryca Dwójki”, drugiego programu TVP, Nina Terentiew, miała okropny kompleks swojego „r”. Starła się nie używać wyrazów z tą literą, ale jak uniknąć „*dzień dobry*” lub „*dobry wieczór*”? Wreszcie, ku swej radości, znalazła zamiennik: „*witam państwa*”, „*witam pana*”, „*witam panią*”.
- Bardzo zmyślny sposób.
- Istotnie. A więc – dzień dobry, pani redaktor... Proszę usiąść przy stole, chyba że woli pani siedzieć bliżej łóżka.
- A jak pan woli?
- Jest mi wszystko jedno, bo chociaż umieram, to wzrok i słuch mam prawidłowy... Będę stąd słyszał nawet szept od stołu, i będę mógł stąd kontemplować pani urodę, pod warunkiem że nie usiądzie pani za blatem stołu.
- Siedząc za stołem, też będę widoczna.
- Widziałbym tylko twarz i biust, a chciałbym podziwiać również pani zgrabne kończyny dolne, bo chociaż nie jestem już w okresie godowym, mam osiemdziesiąt dwa lata, lecz widok pięknych kobiecych nóg wciąż sprawia mi przyjemność. Kobiętę tak młodą wypada spytać: ile ma pani wiosen?
- Trzydzieści pięć.
- Mogłaby pani być modelką. Była nią pani kiedyś?
- Nie, pułkowniku.
- Taka uroda, jak pani piękność, to dar Boży.
- I kłopot, panie pułkowniku.

- Ciągłe umizgi samców? Przecież kobiety lubią być podrywane.
- Ale nie zaczepiane po chamsku, jak tutaj.
- Tutaj, czyli w Polsce?
- Tutaj, czyli w Europie. U nas, w Stanach, tego już nie ma, bo za molestowanie facet może beknąć.
- Śliczne gwarowe słowo: beknąć. Zna pani polski wybornie...
- Nie wiem czy wybornie, ale chyba nie robię już głupich błędów.
- Rozmawiając ze mną nie popełniła pani jeszcze żadnego błędu.
- To mi się zdarzało dwa lata temu, kiedy przyjechałam tu pierwszy raz. Spędziłam wtedy w Polsce kilka miesięcy i doszlifowałam język jak trzeba.
- Co pani wówczas robiła w Polsce?
- Wywiady ze znanymi politykami. Z Kwaśniewskim, Wałęsą, Millerem, Geremkiem, Balcerowiczem, osiemnaście wywiadów. Wszystkie dla „U.S.News & World Report”.
- Wszystkie po polsku?
- Tak, musiałam je tłumaczyć na angielski.
- Pani nazwisko jest skandynawskie, więc chyba pani matka jest Polką?
- Była, już nie żyje. Od dziecka gadałam po polsku. Mój ojciec, pierwszy mąż mamy, Sven Erinysson, był Norwegiem, stąd moje nazwisko, ale jej drugi mąż, mój ojczym, był Polakiem, i chciał, tak jak mama, żebym nie zapomniała polskiego. Gdy ukończyłam studia, pracowałam jako stażystka w biurze Kongresu Polonii Amerykańskiej, tam też mogłam utrwać mój drugi język.
- A nie trzeci? Ojciec nie wyuczył pani norweskiego?
- Nie wyuczył, i nigdy nie mówił po norwesku, nawet nie kłął po norwesku. Był takim fanem angielszczyzny, że za całkowicie zbędną uważał profesję tłumacza.
- Nie rozumiem.
- Uważał, że kto nie włada angielszczyzną, ten nie mówi wcale,

tylko mlaszcze lub stęka, gdyż angielski to język jedyny, w końcu Pan Bóg wiedział co robi mówiąc do glinianego Adama: „– Stand up, sucker!”¹Notabene, tym terminem, „*sucker*”, określał każdego kogo nie lubił.

– Fajny gość.

– Miałam i fajnego ojca, i fajnego ojczyma, pułkownika.

– I z pewnością fajną matkę...

– Tak.

– Pochodzeniem przypomina pani tę modną ostatnio Scarlett Johansson. Pytanie: czy i charakterem?

– Tę aktorkę od Woody’ego Allena?

– Nie tylko od Allena. „Wszystko gra” to niezły film, lecz wcześniej były dwa filmy również głośne: „Dziewczyna z perłą” Petera Webbera i „Między słowami” Sophie Coppoli. Johansson jest córką Duńczyka i Polki z Bronksu. Jest ładna jak pani, jest blondynką jak pani, jest lewaczką, nazwała „*przestępcą*” prezydenta Busha...

– No to już nie jak ja, pułkownika!

– ...i jest kapitalnie wyszczekana. Gdy dziennikarz rozmawiał z nią o Oscarach dla gwiazd Hollywoodu, warknęła: „– *Najgorsi są ci, co za nagrodę dziękują Bogu. Zawsze wtedy sobie myślę: «Przymknij się! Pewnie dlatego ten świat jest tak porąbany, że Bóg nie ma nic innego na głowie, tylko twoją karierę!»*”.

– Ja jestem trochę mniej wyszczekana, pułkownika. Przejdziemy do rzeczy?

– Proszę bardzo, choć wolałbym usłyszeć od kobiety to pytanie czterdzieści lat temu. A nawet trzydzieści lat temu.

– W Stanach już ta aluzja, jako erotyczna, naraziłaby pana na sąd za próbę molestowania kobiety.

– Mam wrażenie, iż to pani... Jakie swoje imię z paszportu pani preferuje, pierwsze czy drugie?

¹ Wstań, frajerze! (ang.)

– Drugie.

– A więc, pani Krystyno, mam wrażenie, iż to pani przyjechała mnie molestować.

– Przyjechałam zrobić z panem wywiad, a moje pytania nie będą zawierały seksualnych podtekstów.

– Szkoda. Czemu nikt nie uświadomił pani, że ludzie mojego pokroju, to jest mojego fachu i mojego stopnia służbowego, nigdy nie udzielają wywiadów, nigdy. W ogóle nie rozmawiają z dziennikarzami, pani redaktor – nie istnieją dla mediów.

– Pan jednak już ze mną rozmawia... Mógł pan mnie nie przyjąć.

– Mogłem, ale przeważała ciekawość... i nie tylko ciekawość. A poza tym – piękne młode damy nie wizytują takich zdechlaków, czyż mogłem uronić okazję?

– Będzie pan długo kpił?

– Być może cały czas, bo lubię się zgrywać, taką mam naturę, pani Krysiu. Kto panią przysłał do mnie?

– Pracownik pana Stanisława Kędzierskiego, przecież pan świetnie o tym wie, pułkowniku.

– Droga pani... Ludzie mojego pokroju, czy raczej mojego gatunku, ludzie KGB, mają we krwi sprawdzanie każdego rozmówcy pytaniami o rzeczy, o których wiedzą wszystko. Proszę, by zechciała pani łaskawie tolerować tę moją manierę – by wzięła ją pani za zjawisko równie naturalne jak pogoda czy przyroda. Ergo: by nie zżymała się pani ilekroć spytam o coś znanego mi detalicznie.

– W porządku, panie pułkowniku. Przyjechałam do Gdańska zrobić wywiad z Wałęsą i...

– Po co? To już od dawna bankrut.

– U was. W Stanach to mit, legenda, kolos. Świątek. Gdy Polska obchodziła teraz dwudziestopięciolecie powstania „Solidarności”, nasza kongresowa Izba Reprezentantów uchwaliła specjalną rezolucję gloryfikującą, więc moi szefowie wysłali mnie tutaj. Ale

Wałęsa mnie pogonił.

– Dlaczego?

– Przecież pan dobrze... Sorry, miałam się nie dziwić tym pytaniom, odtąd będę już grzeczną dziewczynką, panie pułkowniku. Pogonił mnie, bo rozzłościł się wywiadem, którego mi udzielił dwa lata temu.

– Czym konkretnie się zezłościł?

– Zbyt dużą liczbą skrótów w druku. Moi szefowie wydrukowali połowę autoryzowanego tekstu, resztę uznali za bełkot mitomana.

– Ma pani durnych szefów, pani Krystyno.

– Jak każdy, panie pułkowniku. Pan nie uważał swoich szefów za głupoli?

– Zdarzało się.

– Ja też uważam, że fragmenty, które wycięto, były najciekawsze, bo ukazywały prawdziwego Wałęsę, a więc popełnili błąd. Lecz błąd tylko z perspektywy pańskich rodaków – ludzi znających Wałęsę osobiście lub często oglądających go na ekranie telewizora. Z perspektywy amerykańskiej to nie był błąd. Tam istnieje potrzeba demonstrowania wielkiego mózgu, symbolu, idola, bohatera rewolucji. Takiego mądrego herosa, jakiego cała Ameryka widziała, gdy z mównicy kongresowej czytał napisany dlań zgrabny tekst, zaczynając od: „*We, the people...*”²

– Osobiście panią pogonił?

– Nie, przez sekretarkę.

– I co dalej?

– Zrobiłam wywiad z Kędzierskim. Też gwiazdor „Solidarności”, tyle że mniejszego kalibru. Trudno.

– Ciekawy wywiad?

– Ujdzie, choć Pulitzera mi za to nie dadzą. Gdybym nagrała wesele, na które zaprosił mnie pan Kędzierski, wesele jego córki,

2 „My, naród...” (pierwsze słowa konstytucji amerykańskiej).

miałabym ciekawszy materiał, tyle że socjologiczny, a nie polityczno-martyrologiczny, pułkownika.

– Dusza polskiego chamusiowatego proletariatu, wyemancypowanego przez fatum Historii do rangi klasy biznesowej, zwanej bez sensu klasą średnią. Wyspiański „*redivivus*”³ w nowych realiach dziejowych. Czy tak?

– Mniej więcej.

– Zna pani łacinę?

– Nie, lecz wiem, że pije pan do „Wesela” Wyspiańskiego.

– Proszę mi opowiedzieć kilka smaczniejszych kawałków.

– Szkoda czasu na te bzdury!

– Mam tu dużo czasu, co najmniej kilka tygodni, jeśli nie kilka miesięcy nudy umierania pod kroplówką. Tyle mi dają lekarze.

– Nic więcej nie mogą zrobić?

– Nie, to beznadziejny przypadek, chyba że udałbym się do Lourdes. A tego nie zrobię.

– Czemu?

– Gdyż miłosierdzie Boże, wbrew prastaremu porzekadłu, nie jest z gumy. Mam przerąbane i w medycynie, i w Niebie. Choćby dlatego, że metafizyka religijna mnie śmieszy.

– A co w niej śmiesznego?

– Jedno złe równanie matematyczne, pani Krysiu. Boska wszechmoc plus miliony modlitw równa się: wielomilionowa hekatomba Wojen Światowych minionego stulecia, megarzeź. Niech mnie pani teraz trochę rozbawi relacją weselną.

– Póki się nie uchlali, były wspominki bojowe sprzed lat. Potem kawały, lecz żadnego dobrego. Mówię o weteranach. Właściwie już na początku zrobiły się dwa wesela: młodzi, towarzystwo panny młodej i pana młodego, tańczyli bez przerwy, wewnątrz domu, zaś starsi siedzieli w ogródku i przepijali gorzałą te heroiczne

³ Zmartychwstały, odrodzony (łac)

wspominki solidarnościowe, a później głupawe dowcipy. Im były głupsze albo soczyściej świńskie, tym głośniej rehotano.

– Z przyjemnością zarehotam.

– Mam panu cytować te głupoty?

– Inaczej mnie pani nie rozbawi.

– Większości nie pamiętam już, panie pułkowniku!

– Ergo: coś jednak pani zapamiętała.

– Zapamiętałam wic o diecie. Strasznie nędzny.

– Surowa dieta jest moją towarzyszką życia już pół roku. Słucham więc. Słuchając kawału o diecie, wezmę pomstę na moich kaszkach, pani Krystyno.

– Mąż wraca do domu i mówi żonie: „– Od dzisiaj nie będziesz jadła kolacji”. Żona: „– Zwariowałaś? Dlaczego?”. Mąż: „– Lekarz kazał mi się kłaść na pusty żołądek”.

– Bardzo dowcipne.

– Prawda? Tak bardzo, że aż pana zatkało, uniemożliwiając panu śmiech. To już kawały o blondynkach były lepszego sortu.

– Nie wyhamowała chłopców złota biel pani fryzury?

– Siedziało tam kilka bab przy stole, ale to we mnie godzili tymi kawałami, gdyż byłam jedyną blondynką, co zresztą wkurzało resztę pań, wyraźnie zazdrosnych.

– Dziwne, jak na Lechistan, Polska zawsze słynęła z mnogości blondynek...

– Może kiedyś, pułkowniku, ale teraz to przeszłość. Już podczas mojej pierwszej wizyty w Polsce spostrzegłam, że co druga Polka farbuję włosy. Młode dziewczyny nie, ale te po trzydziestce, czterdziestce i pięćdziesiątce malują sobie fryzury bez przerwy, na czerwono, bordowo, brązowo, fioletowo, wyglądają jak z cyrku. Więc kawały o blondynkach nie ruszają ich wcale, raczej cieszą, gdyż naturalna blondynka à la złoto wnerwia takie babusy.

– No to słucham.

– Czego?

– Weselnego kawału o blondynce.

– Blondynka dzwoni do... do informacji kolejowej, pytając: „– Przepraszam, jak długo jedzie pociąg pośpieszny Warszawa-Gdańsk?”. Informator: „– Chwileczkę...”. Blondynka: „– Dziękuję”.

– Bomba!

– Tak jest, a nawet seksbomba, pułkownika.

– Kędzierski też panią tymi kawałami kłutł?

– Zwłaszcza on, bo mu podpadłam.

– Czym?

– Im bardziej był pijany, tym głośniej chełpił się swoim internowaniem za „stanu wojennego”, klepiąc te same anegdoty w kółko. Kiedy przed północą spytał: „– Opowiadałem wam to już?...”, mruknęłam: „– Tylko cztery razy”. Zsinił z gniewu. I później zaczął te kawały o blondynkach. Najgłośniej śmiała się jego baba, rude czupiradło. Zrewanżowałam się kawałem o rudej. Wchodzi ruda do sklepu papierniczego i słyszy jak blondynka chce kupić zeszyt w kółka. Ekspedient tłumaczy, że takich nie ma, są tylko w kratkę i w linię cienką bądź linię grubą. Po wyjściu blondynki ruda parska: „– Ale głupia, od razu widać, że blondynka!”. Na to ekspedient: „– A co dla pani?...”. Ruda: „– Poproszę atrament do czwartej klasy”.

– Brawo, cięty język i charakterek, teraz rozumiem dlaczego pani szefowie wysłali panią.

– Moi szefowie, chociaż zatrudniają też baby, nie zatrudniają samych idiotek, panie pułkownika.

– A ten, który przysłał panią do mnie, kto zacz?

– Szef ochrony w firmie Kędzierskiego. Jak byłam tu dwa lata temu, on był agentem rządowym pilnującym Wałęsy. Powiedział mi wtedy, że jego młodszy syn należy do klubu kolarskiego i uwielbia Lance’a Armstronga. Spytał czy trudno jest zdobyć autograf mistrza. Więc przywiozłam teraz książkę Armstronga z jego podpisem,

myślałam, że ten ochroniarz pomoże mi przełamać gniew Wałęsy. Ale okazało się, że Wałęsa wylał go rok temu, i facet pracuje teraz u Kędzierskiego. Poradził mi tak: „– Jeśli chce pani mieć superwywiad z kimś, kto wie tyle, ile nie wie stu Wałęsów, niech pani próbuje namówić do rozmowy pułkownika Heldbauma. On ma końcowego raka, umiera, więc może zechce chlapnąć coś, bo mu już nie zależy”. Spytałam czemu właśnie pułkownik Heldbaum wie tak dużo. A on: „– Bo ten człowiek rządził tym krajem kilkanaście lat”. Powiedziałam, że to chyba przesada, a on: „– Pani redaktor, wiem co mówię”.

– Co jeszcze o mnie mówił?

– Że ma pan wspaniałą rezydencję pod Warszawą, i że w tej rezydencji pan leży, bo urządził pan tu sobie prywatne, jednoosobowe hospicjum z całodobowym personelem lekarskim i pielęgniarskim, to wszystko. Dał mi telefon i adres. Jestem panu wdzięczna, że zgodził się pan mnie przyjąć.

– Zgodziłem się panią przyjąć, ale nie obiecałem pani wywiadu. Chciałem zobaczyć panią...

– Zobaczył pan. Czy zrobiłam na tyle pozytywne wrażenie, iż udzieli mi pan wywiadu?

– Jutro zakomunikuję pani decyzję, muszę się z tym przespać... Teraz zaś muszę przygotować się do zabiegów, które służą funkcjonowaniu mojej powłoki cielesnej. Zobaczymy się jutro o tej samej porze, pani Krystyno. Jeśli pani chce, moi ludzie przywiozą panią tutaj.

– Dziękuję, panie pułkowniku, ale mam wóz z szoferem, który jest również moim ochroniarzem, mechanikiem, a jak trzeba, to i kamerzystą.

– Tu zdjęć nie będzie robił.

– Panie pułkowniku, zapewniam pana, że on nie pracuje dla CIA.

– Wiem, pani redaktor.

- Skąd pan wie?
- Gdyby pracował dla CIA, miałby kamerę dużo wyższej klasy, a on ma złom.
- Widział pan ten złom?
- Tak mi doniesiono z Gdańska. To jest właśnie różnica między KGB a CIA, Jankesi szastają forszą bez sensu.
- To też panu doniesiono z Gdańska?
- To mi doniesiono z waszej Agencji Kosmicznej. Kiedy się okazało, że długopisy nie działają w stanie nieważkości, NASA wydała półtora miliona dolarów dla zbudowania długopisu kosmicznego. A Rosjanie zastosowali ołówki. Tania prostota bywa równie skuteczna co drogi gadżet. Pani pomocnik nie będzie robił fotografii.
- Okey.
- A więc do zobaczenia jutro.
- Do zobaczenia, panie pułkowniku.
- Byłbym zapomniał! Chcę wiedzieć czy jest pani feministką.
- Feministką? Nie, pułkowniku. Nie jestem również lesbijką, i nie jestem goszyszką, ani nie jestem politycznie poprawna. Feministki uważam za sfrustrowane suki, których tępa agresywność wynika z faktu, iż żaden samiec nie umiał tych bab dopieścić. Mój szofer uważa, że one cierpią na „*syndrom niedopchnięcia*”. Podzielam tę diagnozę, panie pułkowniku.

Sesja 1

- Dzień dobry, panie pułkowniku.
- Witam panią.
- Przecież pan nie ma hrabiowskiego „r”.
- Ale witam serdecznie, po staropolsku.
- Jak się pan dziś czuje?
- Tak samo znośnie jak wczoraj, sprawia to cudowny zastrzyk co cztery godziny. Marzy mi się, by jutro nie było gorzej. A o czym marzy pani redaktor?
- O wywiadzie z panem, panie Heldbaum.
- To na dziś, a tak w ogóle?
- O nagrodzie Pulitzera. Nobel w moim fachu. Byłam nominowana już dwa razy, za reportaże, ale przeszło mi blisko nosa, konkurenci mieli lepszych lobbystów.
- Dwa razy w ciągu ilu lat?
- Sześciu.
- Kiedy zaczęła pani pracować dla „U. S. News & World Report”?
- Przed siedmiu laty.
- A wcześniej?
- Wcześniej publikowałam w lokalnych gazetach i w polonijnym „Kwartalniku Kongresowym”, używając tam polskiego pseudonimu.
- Chicago, gazetka pana Moskala...
- Tak. Mówiłam panu wczoraj, że byłam stażystką w biurze jego Kongresu Polonii Amerykańskiej.
- Trzeba mieć silne dojsćia, by z takich peryferii przeskoczyć do medialnego giganta o światowym zasięgu. Moskał pani pomógł?
- Nie. Sama sobie pomogłam.
- Jak?

– W najprostszy sposób – bezczelnością. Wzięłam nowy, niezły reportaż, i wywiad, którego udzielił mi Brzeziński, i pewien skandalizujący esej, i z tym wszystkim...

– Jak skandalizował ten esej?

– To był esej rozpatrujący różnice i analogie przekleństw, obelg, zaczepek, wulgaryzmów w różnych kulturach i społeczeństwach.

– Smaczne, chociaż to temat bardziej męski niż kobiecy...

– Dzisiaj już nie ma męskich tematów, pułkowniku.

– Fakt. Są jeszcze męskie zawody-niedobitki, jak zawód mechanika samochodowego, ale męskich tematów już nie ma. Wbrew pozorom i feministkom – świat na tym nie zyskuje...

– Zgoda, pułkowniku.

– Naprawdę zgoda, czy tylko chce się pani podlizać?

– Nie będę się panu podlizywać, słowo.

– Ryzykowne słowo, bo może ja to lubię...

– Może i pan to lubi, lecz ja nie będę tego grała, bo jestem zbyt rozsądna, czy też, jak pan woli, sprytna. Kokieteria, bądź fałszywa uprzejmość, wzbudziłaby najpierw czujność, a później wrogość kagiebisty, nie jestem kretynką.

– To widać. Żeby ów esej, o którym mówiliśmy, był ciekawy, musiała pani zebrać dużo egzotycznych obelg i wulgaryzmów. Skąd? Literatura przedmiotu nie istnieje.

– Istnieje, choć nie ma tego dużo. Ale ja dowiedziałam się wszystkiego od hobbysty, od kolegi mego ojczyma, jego kumpel zbierał przekleństwa różnych ludów. Dostałam ściągawkę, pułkowniku.

– Jeden cytat. Coś, co najbardziej panią wstrząsnęło, najbardziej zaszokowało.

– „Mięso twojej matki zostało mi pomiędzy zębami!”.

– Uuuuff! Rzeczywiście okropne. Z jakiego kraju?

– Z Wyspy Wielkanocnej, tej, gdzie są kamienne głowy. Kiedy

tubyłcy zniszczyli tam już całą przyrodę, zapanował kanibalizm i...

– Rozumiem... Nie znałem tego, chociaż ta wyspa interesowała mnie kiedyś, marzyłem o popłynięciu tam. Ale moja „firma” nie miała tam interesów... W młodości czytałem dużo książek podróżniczych, wtedy nie było telewizji, która całkowicie wyrugowała dzisiaj literaturę podróżniczą. Te wielkie tajemnicze kamienne głowy, i ten cudownie zabawny zwyczaj „tingo”... Wie pani o czym mówię?

– Nie, pułkowniku.

– Mieszkańcy Wyspy Wielkanocnej praktykują „tingo”, czyli pożyczanie przedmiotów z domu przyjaciela, przedmiot za przedmiotem, każdego dnia kolejny, aż przyjacielowi nie zostanie nic prócz gołych ścian.

– Brrrr! Straszne!

– „Dobry zwyczaj – nie pożyczaj”, Sarmaci mieli słuszność, pani Krysiu... Ale przerwałem pani wywód o zdobyciu pracy w „U.S. News & World Report”. No więc wzięła pani te wszystkie materiały, lecz wygrała pani nie materiałami, ino bezczelnością...

– Bezczelnością na samym progu. Wzięłam to wszystko i poszłam do gmachu redakcji „U. S.”. Tam zmyliłam sekretarki i otworzyłam drzwi gabinetu szefa, mówiąc: „– Przepraszam, czy nie przeszkadzam?”. Podniósł głowę i warknął: „– Przeszkadza pani.”. Wówczas ja: „– A to świetnie. Uwielbiam przeszkadzać”. Myślałam, że teraz eksploduje, pełen furii, lecz on się roześmiał, bo to mu się spodobało.

– Raczej spodobały mu się pani nogi i pani buzia.

– To by wystarczyło tylko na trzymiesięczny staż, panie pułkowniku. Etnatu za kształtny tyłek i za szpiczaste cycki tam nie dają. Jaka jest pańska decyzja? Udzieli mi pan wywiadu dla „U. S.”?

– Owszem, lecz nie takiego, o jakim pani myślała, i nie za kształtne bądź szpiczaste fragmenty pani anatomii.

– A za co?

– Za literacki styl, za sprawność pani pióra.

– Wywiady nie mają literackiego stylu... to tylko dialog wiernie spisany z taśmy magnetofonowej.

– Nie tylko... W pani drukowanych wywiadach dialog bywa przetykany opisem zachowań rozmówcy. Te niedialogowe wtręty i każde takie lapidarne „*curriculum vitae*” [Bieg życia, zyciorys (fac).] to świadectwo sprawności pani pióra.

– Czytał pan moje wywiady?!

– Dzisiaj rano.

– Skąd je pan wziął, pułkowniku?

– Dostarczył mi je ten sam człowiek, który razem z wywiadami i z reportażami przywiózł mi pewną nowelkę. Ona również zdradza świetne pióro, zwłaszcza kapitalną umiejętność charakteryzowania mężczyzn. Mam to wszystko pod ręką, zakreśliłem sobie kilka fragmentów. Przeczytać?... „*Nie spieszył się z dialogiem. Nie odpowiadał od razu. Zapadał w milczenie i błędził wzrokiem nad moją głową, jakby odpowiedź znajdowała się gdzieś dalej, po kątach, u sufitu lub na orbicie pozaziemskiej, niczym satelita przyciągany grawitacją pytań*”. To z wywiadu dla „Kwartalnika Kongresowego”. Teraz coś z reportażu, również „Kwartalnik Kongresowy”: „*Tryskał niezwykłą energią, traktując każdy dzień jak ostatni w życiu*”. Lub: „*Słuchał tego jazgotu tak spokojnie, jakby był jedynym normalnym człowiekiem w szpitalu psychiatrycznym*”. Weźmy inny reportaż: „*Typowy outsider, człowiek niczyj, błędzący pośród ludzi, pośród codzienności, pośród życia, jak walizka, której nikt nie ściąga z taśmy bagażowej na lotnisku*”. A teraz fragment noweli, jej ostatni akapit, jubileuszowe wydanie „Kwartalnika Kongresowego”: „*Odwrocił się. Gdzieś tam, wśród tych domów, znajdowało się to, czego szukał. Był już tak blisko, a tak daleko. Jak minstrel, któremu się nie udało kiedy dzielił go krok od oblubienicy. Nie dopisało szczęście*”. Znakomite. Szkoda, że po tej jednej noweli zarzuciła pani literaturę piękną.

- Brakuje mi słów...
- Do literatury pięknej?
- Nie, do wyrażenia podziwu, że pan zgromadził te numery „Kwartalnika”.
- Zgromadziłem także inne periodyki, prasę jankeską i kanadyjską.
- Ale cytował pan wyłącznie fragmenty gazety polskojęzycznej.
- Gwoli dwóch przyczyn. Po pierwsze – to są pani wczesne, można rzec: młodzieńcze teksty, a ktoś, kto zaczyna na takim pułapie zonglerki słowem, ujawnia talent rokujący jakością wybitną. I po drugie – język polski daje piórom szanse dużo mniejsze niż język angielski, trudniej nim demonstrować wysoki literacki kunszt, więc ktoś, kto z polszczyzny destyluje perły, jest wart nie tylko braw, lecz i okrzyków: bis!
- Dziękuję, panie literaturoznawco.
- You’re welcome.⁴
- Czytał pan wszystko co spłodziłam?
- Przeczytałem wszystko co spłodziła pani po polsku, reszty przeczytać nie zdążyłem, mogłem tylko przewertować. Ale przeczytam, dostałem wszystko, dziś rano miałem to wszystko przy łóżku.
- Dzięki internetowi?
- Pani nieuważnie słuchała. Powiedziałem, że wszystko mi przywieziono. Internet oraz telefon to niebezpieczne narzędzia, dają kontrolować użytkownika. Wolę zaufanych kurierów.
- A kiedy dał pan dyspozycję, by dostarczono panu moje teksty? Przecież nie wczoraj, nie zdążono by dostarczyć panu wszystkiego.
- Cztery dni temu, tuż po pani rozmowie z ochroniarzem kombatananta.
- To i tak piekielnie szybko!... Ktoś musiał zrobić w Stanach kwerendę, wyszukać te moje teksty, sprawdzić czy to są wszystkie

⁴ Do usług (ang.).

moje kawalki, zreprodukować je, i kupić bilet na samolot.

– Ta firma kurierska zawsze działała szybko, słyęła z tego, droga pani. Juź w czasach towarzysza Gierka bawiono się żarcikiem a propos tej szybkości. Facet wchodzi do ulicznego automatu, dzwoni i pyta: „– Czy to KGB?...”. Odpowiedź brzmi: „Tak, tu KGB, słucham”. Zdumiewająca łatwość połączenia konsternuje dzwoniącego, nie wie jak zacząć. Waha się, wreszcie odwiesza słuchawkę, by uspokoić nerwy. Chwilę później jeszcze raz wykręca numer i pyta: „– KGB?”. Z tyłu czyjaś ręka klepie go serdecznie po ramieniu i słychać ciepły głos: „– KGB, KGB!”.

– Pan był wśród tych klepiących, pułkowniku?

– W młodości, jako sierżant. Gdy awansowałem, zabrano mnie z krawężnika do gabinetu. Gdzie jednak czułem się kiepsko, więc z gabinetu uciekłem do rynsztoka.

– Do jakiego rynsztoka?

– O tym później, kiedy juź włączymy magnetofon.

– A kiedy włączymy?

– Jak tylko uzgodnimy warunki dialogu i rodzaj produktu.

– Rodzaj produktu?

– Uhmm. Nie interesuje mnie ten wywiad dla „U. S. News & World Report”. Nawet gdyby był kilkuodcinkowy, zresztą wątpię czy pani redakcja zaakceptowałaby tasiemiec, ale nawet gdyby taki był – byłby jedynie lichą spowiedzią konającego kagiebisty, i niczym więcej, produkcją ulotną, makulaturową, bez sensu.

– Dłaczego makulaturową?

– Dłatego, że każda gazeta jest nazajutrz makulaturą. Interesuje mnie trwalsza forma zapisu, szanowna pani.

– Książka?

– Właśnie. I to nie książkowy wywiad-rzeka, lecz książka, którą pani napisze o mnie, o moim życiu, czyli o znaczeniu mojej „firmy” w półstuletniej historii Polski... choć właściwie to juź w

sześćdziesięciokilkuletniej, jeśli liczyć do dnia dzisiejszego. Oczywiście mogłaby pani inkrustować treść fragmentami naszych dialogów, wedle pani uznania. Jeśli przyjmie pani moją propozycję, usłyszycie pani rzeczy, których nie usłyszałyby pani od nikogo innego.

– Bo pan rządził tym krajem spoza kulis?

– Bo moja „firma” nim dyrygowała, a ja byłem tutaj jednym z ważniejszych sznurkowych, którzy ruszali linkami marionetek. Wyjawię pani bardzo dużo, odsłonię rzeczy, jakich ludzie mego gatunku nie mają prawa odsłaniać, grozi im za to śmierć i śmierć ich rodzin, lecz ja nie mam rodziny, a śmierć już stoi przy moim łóżku, więc nie wstrzyma mnie strach.

– Dlaczego pan chce to zrobić, pułkowniku?

– Dla zabawy.

– A nie dlatego, że roi się panu nieśmiertelność, przejście do historii, legenda wielkiego „*wire-pullera*”⁵ i pierwszego kagiebisty, który złamał tabu?

– Pierwszego? Przysięgę wierności złamało już kilkunastu oficerów KGB, prosząc na Zachodzie o azyl. Wyśpiewali dużo kagiebowskiich sekretów.

– A czyż to byli znaczący oficerowie? Oficerowie, którzy rządili jakimś krajem przez kilkanaście lat? Niech pan mi zaśpiewa więcej niż oni.

– Jak Joe Valachi, ów pierwszy członek Cosa Nostra, który złamał „*omertę*”, mafijne prawo milczenia, i wyjawiał władzom najgłębsze sekrety mafijnego imperium? Przed prawie półwieczem było o tym głośno.

– Pan również chce, aby było o panu głośno?

– Tak, chcę mieć życie po życiu. Traktowałem życie jako najlepszy rodzaj zabawy, i pragnę, by ta zabawa została udokumentowana

5 „Wire-puller” (ang.) – manipulator, rozgrywający, człowiek, który zza kulis rusza sznurkami marionetek.]

psikusiem, który wytnę mojej „firmie” – „firmie”, dla której działałem, robiąc Polakom tysiące psikusów.

– Kim pan konkretnie był?

– Zgrywusem i szulerem. Uprawiałem najciekawszą grę: zło. Gwarowym językiem mówiąc: byłem jajcarzem, robiłem sobie jaja.

– A mówiąc językiem bardziej konkretnym niż kolokwialnym?

– Kolokwialny jest tu równie ścisły jak konkretny, chodzi o robienie wygłupów, pani Krystyno. O zamienianie cudzych przedstawień we własne przedstawienia. Witkacy tak robił. Na przykład „*udźwiękowski*” kiedyś niemy film, siedząc razem z przyjaciółmi w kinie. Gdy bohaterka, czepiając się nogawek amanta, poruszała wargami, Witkacy piskliwym głosem jęknął: „– Ryszardzie, czy stłamsisz mnie i porzucisz z dzieckiem?!”. Za chwilę wargami ruszał amant, i wówczas kolega Witkacego bredził coś barytonem na całą salę.

– A sala nie protestowała, nie było sprzeciwu widzów?

– Był, niestety. Publika sprowadziła policję i paczkę artysty wysiudano z kina. Ale nie o to chodzi – chodzi o zmysł jajcarski, o specyficzny zgrywusowy instynkt, pani redaktor. Witkacy miał „*Księgę osobliwości*” z różnymi pysznościami, jak choćby kawałek brudnej szczeciny, opatrzony napisem: „*Wąsy Marszałka Piłsudskiego*”, lub zalana żółcią kartka, gdzie podpis brzmiał: „*Uryna z pęcherza Kazimierza Przerwa-Tetmajera*”.

– Mówiąc o konkretach, myślałam o pańskich konkretnych wczynach...

– Jeszcze nie dobiliśmy targu i nie zawarliśmy paktu.

– Targu już dobiliśmy, panie Heldbaum, zgadzam się na książkę. Lecz jaki chce pan zawrzeć pakt? Miałby formę pisemną, formę umowy?

– Tak, pani Krystyno.

– Umowę mogłabym złamać po pańskim zgonie...

– Iiiiiiii!... To byłoby kłopotliwe, no bo mój adwokat będzie miał te

papiery, więc gdyby rozgłosił, że pani złamała kontrakt, w gruzach ległaby pani dziennikarska wiarygodność. Amerykanie nie lubią podobnych oszustw, musiałaby pani najeść się wstydu i zmienić profesję. Materiał, który pani dostanie, będzie tak atrakcyjny, że sama pani uzna jego większą przydatność dla dużej „story” [– **Opowieść (ang.)**] niż dla zwykłego wywiadu, a duża „story” wymaga kontraktu sygnowanego. Nasze dialogi zresztą nie będą zbyt przypominały wywiadu.

– A co będą przypominały?

– Szeherezadę.

– To pan ma być Szeherezadą!

– Tak, jako opowiadacz kagiebowski baśni. Lecz pani będzie Szeherezadą jako piękna kobieta, która swym gadulstwem rozprasza nudę monarszego bytu. U mnie to jest nuda zdychania. Zamiast wywiadu dialog. Chcę, ażeby zabawiała mnie pani codzienną rozmową przez kilka tygodni, będę miał sympatyczniejsze umieranie. Będzie pani pytała, i będzie pani pytana – będziemy sobie gawędzili, pełna równoprawność, szczebiotanie Szeherezady i gładzenie króla. Dla pani praca, dla mnie komfortowy zgon, chcę zrobić psikusa również kostusze, wbrew zwyczajowej traumie śmierci. Dobrze to wymyśliłem?

– Nieźle.

– No chyba! Lepsza byłaby tylko odwrotność.

– Jaka odwrotność?

– Młody dziennikarz, Mietek Heldbaum, prowadzi wywiad z najślawniejszą kobietą świata, sędziwą pisarką, Krystyną Erinysson, obnażając ją w sposób genialny.

– Co takiego byłoby we mnie do obnażenia, bo chyba nie sędziwe ciało, pułkownika?

– Damski absolut, zwany „wieczną kobiecością”. Mówię o obnażeniu całego tego pięknego bałaganu, jakim jest złożona kobieca psychika.

Psychika kobiety, która mi się widzi jako nocna zmora sióstr Bronte. Czytała pani „Dziwne losy Jane Eyre” lub „Wichrowe wzgórza”?

– Nie, lecz widziałam jakieś filmy według prozy tych Angielek, pułkownika.

– Są dzisiaj modne, to nostalgia za romantycznością. Równie modne co wywiady-rzeki ze sławnymi ludźmi. Ja nie jestem sławny...

– Może zrobi się pan sławny kiedy wydadzą tę książkę.

– Nie wiem jak długo będziemy gaworzyć, ale wiem, że nie starczy nam kilka dzionków, pani Krystyno... Ma pani tyle czasu?

– Tak.

– I tyle minispódniczek oraz mocno wydekoltowanych bluzek, aby codziennie zakładać inną? Wiem, że kobiety nie lubią przychodzić w to samo miejsce w tym samym stroju.

– Dokupię sobie, panie pułkownika.

– Perfum nie musi pani zmieniać, te są cudowne. Podobają mi się składniki tego zapachu, pani Krystyno.

– Rozróżnia je pan?! Naprawdę?...

– Tak. Może nie wszystkie, ale większość.

– To niech je pan wymieni!

– Cóż... melodyjna, organiczna mieszanina wiatru, morza, pór roku, przemijającego czasu, marzeń, tajemnic i zrywania zasłon, a wszystko to brzmi jak...

– Pułkownika, pisuje pan wiersze?

– Nigdy tego nie robiłem, chociaż zdarzało mi się zazdrościć dobrym poetom geniuszu... Geniusz poetycki, muzyczny i malarski to jedyna metafizyka, którą uznaję i przed którą się korzę duchowo, gdyż tylko kiepscy poeci, jak Francuz Valéry, mają poezję za wyłączną grę trików, technik, rutynowych metod, za pole zręczności bardziej rzemieślniczej niż nadprzyrodzonej. Valéry przestał wierzyć w elektryzujące natchnienie, tymczasem nie trzeba być

poetą, starczy znać poezję, żeby rozumieć, iż bez natchnionej euforii pewne rzeczy byłyby niemożliwe. Mówię: pewne, szczególne, to są chwile, nigdy rozległa twórczość. Szekspir był przez całe lata rzemieślnikiem geniuszu.

– Pułkowniku, mógłby więc pan, zamiast poetą, być krytykiem literackim.

– Tego również nigdy nie robiłem. Wśród rzeczy, których nigdy nie robiłem, jest także udzielanie wywiadów. Nigdy nie udzielałem wywiadów, ani krótkich, ani długich, żadnych, ten będzie debiutem... No dobrze, przejdźmy do metody. Każdy nasz seans... każda sesja nagraniowa... każdy dialog danego dnia będzie godzinny, góra godzinę i kwadrans, bo męczę się szybko.

– Rozumiem.

– Umowę podpisze pani w sąsiednim pokoju, gdy dzisiaj mnie pani pożegna. Jest tam mój prawnik. On też się podpisze, jako świadek. Czy pani szofer może być świadkiem z pani strony?

– Tak, panie pułkowniku.

– Jak on się nazywa?

– John Lemme.

– Został pani przydzielony przez szefów?

– Tak, redakcja wynajęła go z firmy ochroniarskiej.

– Której?

– Skąd mam wiedzieć?

– W firmach ochroniarskich służą głównie byli pracownicy służb specjalnych, jaki jest jego rodowód? FBI, CIA?...

– Nie mam pojęcia, panie pułkowniku. To po prostu szofer i ochroniarz.

– Bardzo tajemniczy.

– Dlaczego tajemniczy?

– Bo o ile pani drogę życiową udało się moim kolegom sprawdzić przynajmniej do ośmiu lat wstecz, to o tym Janku kierowcy nie

zdobyli nic!... Wiemy tylko, że zna polski, choć nie jest Polakiem. Znając polski, może przeczytać i sygnować jako świadek umowę polskojęzyczną. Gdyby jednak pani chciała, możemy ją sformułować po angielsku. A najlepiej będzie jak sygnujemy wersję dwujęzyczną. Zgoda?

– Zgoda. Mój życiorys, ten do ośmiu lat wstecz, sprawdziła przez cztery dni ta sama „firma kurierska”, która przywiozła panu moje teksty?

– Ummm.

– A jak pan sprawdził, że John nie jest Polakiem choć mówi po polsku? Skoro nic nie zdobyliście o nim, nie powinniście wiedzieć tego, a jednak wiecie. Jakim cudem?

– Takim, że mój „goryl” próbował go wczoraj wypytać.

– I co?

– No i usłyszał tylko dwa wyrazy: „– *Spierdalaj się!*”. Prawidłowa forma polska brzmi: „– *Spierdalaj!*”, lub też: „– *Odpierdol się!*”. Błąd typowy dla cudzoziemców, którzy mają z polszczyzną takie same kłopoty, jak Polacy z chińszczyzną. Aaa, byłbym zapomniał!... Dowiedzieliśmy się jeszcze czegoś o tym pani kierowcy – to wielbiciel „*Króla*”, maniak, nałogowiec.

– Którego króla?

– Króla królów, Elvisa Presleya. Kiedy czeka na panią, cały czas odtwarza sobie dyski z hitami Elvisa. Za młodu również byłem presleyomanem, ale mi przeszło.

– Więc pańska wiara była raczej powierzchowna, pułkowniku. Prawdziwym fanom Elvisa nigdy nie przechodzi to zauroczenie, „*Elvis wciąż żyje*”, słyszał pan.

– A czy pani słyszała piosenkę Kate Bush „King of the Mountain”?

– Nie wiem, pułkowniku.

– Tam nie pada nazwisko ani imię Elvisa, lecz gdy ona pyta : „– *Czemu multimilioner wypełnia swój dom bezcennymi śmieciami?*”, mam

wrażenie, iż chodzi jej o Presleya...

– Czy mogę już wcisnąć guzik magnetofonu?

– Nie. I proszę więcej nie przywozić swojego magnetofonu. Nagrywać będziemy moim. Taśmy też będą moje. Wszystko co nagramy weźmie pani stąd gdy zakończymy nagrywanie, tuż przed ostatnim „do widzenia”.

– A po ostatnim cenzurowaniu?

– Niczego nie będę wycinał, pani Krystyno.

– Słowo oficera KGB?

– Ujęła to pani bez pudła.

– Bez czego?

– Bez pudła. Nie zna pani tego zwrotu?

– Chyba już słyszałam, ale nie bardzo kojarzę... Ach tak, „*pudło*” to w tutejszym slangu więzienie, zakład karny. Dlaczego mówi mi pan, że ujęłam to bez więzienia?

– Pani polszczyzna wciąż jednak nie jest mową perfekcyjną. Zwrot „*bez pudła*” znaczy: celnie, trafnie, dokładnie, idealnie, w dziesiątkę. Wzięło się to, jak i „*w dziesiątkę*”, ze strzelectwa. Niecelny strzał Polacy określają terminem „*pudło*”. Notabene, mianem „*pudło*” określamy również podium, na którym stają medaliści igrzysk sportowych.

– Dziękuję za lekcję. Gdzie ten magnetofon?

– Tutaj, włączony już. Proszę rzucić pierwsze pytanie.

– Zacznę od końca...

– To mi nie przeszkadza, pani Krystyno.

– Gdyby musiał pan nazwać siebie samego jednym przymiotnikiem lub określić jednym symbolem, to jak by ten wyraz brzmiał?

– Najgorszy. Symbol to Mefistofeles.

– Nikt nie myśli o sobie, a tym bardziej nie mówi o sobie, że jest najgorszy.

– Lecz bywają tacy, którzy o tym marzą. Zawsze chciałem być najgorszy.

– Więc trzeba było mordować.

– Zdarzało się, zabijałem.

– Dzieci?

– Nie, dzieciaków nie.

– Sam pan widzi! Antyaborcjonista powie panu, że każdy skrobankowy lekarz jest gorszy od pana. Zabijał pan na rozkaz, czy z inicjatywy własnej?

– Różnie bywało.

– Ale żeby tu być „*naj*”, nie wystarczy mordować, nawet mordować dzieci, trzeba mordować okrutnie, sadystycznie.

– Czyli jak?

– No... nie wiem... w komorze gazowej na przykład...

– Plecie pani bzdury. To fakt, że krematoria typu Treblinka dowiodły, iż biali ludzie, członkowie kultury Zachodu, potrafią być ludobójcami równie dzikimi co rasy kolorowe, lecz gaz to jednak humanitarna śmierć wobec wynalazków egzotycznych. Persowie strącali skazańca w górę popiołu, gdzie się dusił, lub zamykali go w dwóch zespolonych czólnach, tak że wystawała tylko głowa, kluciem oczu zmuszali do jedzenia i czekali aż wnętrzności nieszczęśnika pożre „wylęgle z plugastwa robactwo”. Indianie rozcinali jeńcowi brzuch, przywiązywali flaki do pnia i zmuszali ofiarę, by chodziła wokół drzewa, oplątując pień jelitami. Argentynscy watażkowie dowodzący gauczami, rozmaici „caudillos”, zaszywali wroga w mokrą, świeżo zdartą krowią skórę, i zawieszali ją, a silne słońce szybko powodowało, że z wnętrza dochodziły nie tylko jęki ofiary, lecz i trzask łamanych kości. To jest dopiero okrucieństwo! Kozacy, dzicz równie barbarzyńska, przecinali piłą żywych ludzi. Trzeba znać miarę, pani Krysiu.

– Zgoda, trzeba też znać liczbową miarę. Żeby być najgorszym,

trzeba mordować miliony. Stalina, Hitlera, Zedonga czy Pol Pota nie przeskoczyłby pan, choćby rozpierała pana pracowitość.

– Rozpierała mnie całkiem inną ambicją. Zabijałem tylko z rozkazu, dwa razy, i z konieczności, kilka razy... Fizyczny mord to gówniane zło, sport chamów, domena bestialców. Pasjonowało mnie zło inteligentne, jak kuszenie, mamienie, korumpowanie, deprawowanie ludzi.

– Dlaczego?

– Dlaczego inteligentne?

– Dlaczego zło.

– Bo zło jest ciekawe, intrygujące, podniecające, a dobro jest nudne jak flaki z olejem, tkliwe, ckliwe, usypiające, wata cukrowa! Wszyscy wolą zło, pani też.

– Nic podobnego, pułkowniku!

– To czemu rozmawia pani z kagiebowcem, a nie z franciszkaninem lub z przełożoną hospicjum, pani Krystyno? Bo książka o gołąbku na pewno nie została by bestsellerem, zaś książka o jastrzębiu może hitem być. Sondaż filmowy, a tam miliardy ludzi są ankietowane, to miażdżący dowód.

– A te rzesze ludzi gromadzące się wokół papieża, to nie był kontrdowód?

– Nie, to były widowiska, imprezy, spektakle z najlepszym showmanem globu – z najsilniejszą charyzmą globu. Kontrdowód stanowiłyby wypełnione świątynie co niedzielę we wszystkich krajach chrześcijańskich, a tymczasem są pustawe i przez to notorycznie likwidowane. Kontrdowód stanowiłyby plajty różnorodnych pornobiznesów – sekshopów, periodyków, wypożyczalni kaset, stron internetowych – a te kwitną. Superkontrdowodem byłyby klęski filmów heroizujących lub gloryfikujących zło. Tymczasem mitologizujący mafię włoską „Ojciec chrzestny” jest uznawany za najlepszy film w dziejach kina.

Do tego wszelkie krwawe barachło robi furorę. Nikt nie chciałby oglądać filmu o szczęśliwej rodzinie, gdzie wszyscy się kochają, a jedyna tragedia to potłuczona szklanka lub deszcz zalewający strych. Wszyscy chcą oglądać filmy o perwersjach, fałszerstwach, włamaniach czy krwawych zbrodniach, bo tylko takie filmy rajcują. Więc filmowcy, słysząc ów „*vox populi*”⁶, tylko takie filmy kręcą.

– A nie spostrzegł pan, pułkowniku, że na końcu zawsze zwycięża dobry szeryf?

– Te kilka minut finału, które są balsamem dla dusz, to konieczny bajkowy medykament. W życiu szeryf bierze łapówki, a zło zwycięża dobro bez trudu. Wszyscy to wiedzą. I wszyscy chcą oszukiwać siebie fikcją literacką lub filmową, gdzie na końcu dobro zwycięża. Ale będę się upierał – dobra zwycięskiego od pierwszej minuty lub strony nie chciałby oglądać nikt. „*Happyendowy*” balsam jest potrzebny, lecz intryguje nas tylko zło. Ma seksualną siłę przyciągania, moja paniusiu.

– Dzięki czemu może triumfować Mefisto, diabeł szafarz inteligentnego zła.

– Diabeł kawalarz, szafarz brawurowego poczucia humoru, szanowna pani. Sza-sza-sza!

– Słucham?

– Lubię onomatopeje, pani Krysiu.

– Czyli?

– Czyli zabawy dźwiękowe. I damy, które nie znają wyrazu „*onomatopeja*”, za to posługują się tak archaicznymi wyrazami jak „*szafarz*”, to pewnie wpływ parafii chicagowskiej?

– Demonstruje mi pan to „*brawurowe poczucie humoru*”, którym się pan przed chwilą pysznił?

– Nieee! Chodzi o dźwięki. Sza-sza-sza! Szanowny szafarz szaszyków szastał szarmanckim szatniarzem szalonej szalawicy

⁶ Głos ludu, życzenie powszechne (łac).

szakala... Jakoś niezbyt zgrabnie mi idzie, to wpływ choroby, pani Krystyno. Ale nie cofam tego co powiedziałem: Mefisto zawsze był kawalarzem – bez ustanku! Oglupia ludzi nie tylko złowrogo, również na wesoło.

– I wcielił się właśnie w pana?

– Mógł się wcielić wyłącznie w kogoś, kto ma poczucie humoru. To rzadki dar, większość kagiebiistów i faesbeszników nie posiadała go, więc trzeba ich było uczyć hipnozy.

– Faes... jak pan powiedział?

– Faesbeszników, funkcjonariuszy FSB, Federalnej Służby Bezpieczeństwa, czyli KGB pod nową nazwą.

– Myślałam, że nowa nazwa to GRU...

– Wszystko się pani myli, pani redaktor! Chyba wskutek oglądania szpiegowskich filmów. GRU, Głównoje Razwiedywatielnoje Uprawlieniye, czyli II Zarząd Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych, to wywiad wojskowy, a KGB, które od 1995 roku zwie się FSB, to wywiad cywilny, moja „firma”.

– Wspomniał pan o hipnozie, pułkowniku...

– Tak. Wie pani jakie szkolenia i egzaminy musi przejść kandydat do zaszczytnego miana funkcjonariusza FSB? Ot, choćby, musi w metrze nakłonić przypadkowego współpasażera, by ten wysiadł gdzie indziej niż zamierzał, na innej stacji. Musi to zrobić bez użycia siły, samą perswazją. I bez żadnych gróźb – łagodną perswazją.

– To chyba bardzo trudne?

– Dlatego kursanci FSB są uczeni technik hipnotycznych i parahipnotycznych, bez których tamto zadanie byłoby niewykonalne w ośmiu przypadkach na dziesięć.

– Pan też to potrafi?

– Proszę się nie obawiać, nie będę pani hipnotyzował, pani redaktor.

– Zapytałam czy pan to umie, pułkowniku!

– Kiedy mnie szkolono, takie techniki nie należały jeszcze do programu, była tylko psychologia i perswazjologia retoryczna. Mefistofeles zawsze wołał zonglerkę słowną, magię retoryczną. I dowcip.

– I wcielił się w pana, bo uznał pana za krynicę humoru!

– „Krynicę”, brawo! Ta chicagowska polszczyzna jest momentami olśniewająca!... Że co, że wcielił się we mnie? Niestety, wcielił się w różnych, miewałem konkurentów. Kiedy dziś śledzę poczynania moich następców, takich jak choćby wasz Karl Rove, doradca prezydenta Busha, przypominam sobie dawne świetne czasy. Rove to prawdziwy magik, urodzony Mefistofeles, już jego chicagowski debiut był samą poezją.

– Nie wiem o czym pan mówi. Chicagowski debiut?

– Rove miał wtedy dwadzieścia lat. Wykrał paczkę zaproszeń na inaugurację sztabu demokratów i rozdał te zaproszenia włóczęgom, menelom, hipisom, bezdomnym, słowem: marginesowi społecznemu. Każde rozdane zaproszenie okraślił adnotacją: „*Wszystko za darmo – piwo, żarcie, panienki i muzyczka*”. Feta demokratów przerodziła się w piekło. Numer pierwszej klasy!

– A jaki był pański debiut?

– O tym jutro, pani Krystyno. Zmęczyła mnie ta paplanina, muszę się...

– Więc do jutra, panie pułkowniku.

– Do jutra, do jutra...

Sesja 2

– Dzień dobry, panie pułkowniku.

– Dzień dobry, pani redaktor, tylko proszę nie pytać czy dobry.

– A co, zły?

– Taki sam jak wczoraj, lecz nie chciałbym, żeby po każdym „*dzień dobry*” pytała mnie pani o zdrowie. Zdrowie jest, jakie jest, znaczy nieobecne dożywotnio, a stan i kondycja są rezultatem zastrzyków. Proszę siadać.

– Widzę, że znowu wertował pan moje wypociny.

– Tak, te anglojęzyczne. I nie wertowałem, lecz czytałem. Ale tylko dwa, jeden wywiad i jeden reportaż. Nie zdążyłem przed pani przyjściem więcej tyknąć.

– Czyta pan wolniej po angielsku?

– Nie, czytam po angielsku tak samo sprawnie jak po polsku bądź po rosyjsku, miałem dziś wszakże mniej czasu, robiono mi kontrolne badania.

– Ja również znam trzy języki.

– A ja nie powiedziałem, że znam tylko trzy języki, pani Krystyno. Znam jeszcze łacinę, hebrajski, niemiecki, włoski i francuski.

– I który język pan preferuje?

– Preferencji tu nie mam, ale najmniej chętnie posługuję się francuszczyzną.

– Dlaczego?

– Bo nie lubię Francuzów.

– Prawdziwy Mefistofeles musi chyba znać wszystkie języki i dialekty świata, podobnie jak Lucyfer, Belzebub oraz inne diabły, by rozumieć całą ludzkość i móc wpływać na całą ludzkość...

– Nigdy nie miałem tak wielkich ambicji... nie chciałem wpływać na ludzkość, a jedynie na ludność. Na ludność tego państwa.

– Dlaczego?

– Bo nie lubię Polaków.

– Dlaczego?

– Do tego wrócimy, a teraz...

– Pewnie jako Żyd. Wiem, iż Żydzi nie lubią Polaków.

– Zapomniałem pani powiedzieć, że szczególnie nie lubię Żydów.

– Pan?!...

– Jestem Żydem antysemitą.

– To już bardzo marny dowcip, zupełnie poniżej pańskiej inteligencji.

– Czemu?

– Bo to jakiś absurd!

– Wobec tego Marks też był hipostazą.

– Czym?

– Hipostazą, bytem baśniowym, urojonym, jak krasnoludki i jednorożce. Marks, droga pani, był Żydem, i był wprost krwiożerczym antysemitą. Dzisiaj w Polsce niezrównane popisy antysemityzmu daje co tydzień swym czytelnikom Kataw Zar, telawiwski korespondent „Najwyższego Czasu!”. Zna pani ten tygodnik?

– Nie.

– To gazeta Korwin-Mikkego, niewydarzonego pseudopolityka, z którego wszyscy tu się śmieją za plecami, zwąc go „*psycholem*”, lecz moim zdaniem chwala mu, że drukuje antysemityczne facecje tego Żyda-korespondenta, cudownego satyryka, wytykającego Żydom wszelkie paskudne grzechy i cechy, także wrodzone, jak choćby szalbierstwo i przewrotność, czy jak inklinacja do tumaniania gojów. Żaden goj-antysemita nie ośmieliłby się chłostać Żydów równie ostro. Ten żydowski antysemityzm posiada brodę czyli

tradycję bardzo długą – lista znanych Żydów antysemitów miałaby grubość książki telefonicznej. Jeśli pani o tym nie wie, to znaczy, że ma pani braki w wykształceniu.

– Nigdy się tym nie interesowałam...

– Bo nie jest pani diablicą, więc nie interesuje pani czarna strona natury ludzkiej. Stalin był Gruzinem i wymordował miliony Gruzinów. Pol Pot był Kambodżaninem i wymordował miliony rodaków. Są naukowo udokumentowane książki o żydowskim kompleksie Hitlera spowodowanym niepełną aryjskością. Wróćmy wszakże do tych dwóch pani tekstów, które dziś przeczytałem.

– Jaką notę dostałam?

– Celująco. Styl pani angielszczyzny jest równie urokliwy jak pani polszczyzna. Choć tłumacząc na polski miałbym problemy. Ten pani pyszny reportaż z festiwalu w Cannes zawiera zwroty, które, aczkolwiek nie są poezją – są równie trudno przetłumaczalne. Po polsku „przyjęcie jachtowe”, „przyjęcie plażowe”, czy też „bankiet plażowy” albo „jachtowy”, nie brzmi równie dobrze co „yacht party”, „beach party”, „sponsoring event”, i tak dalej. Weźmy któryś kilkudzaniowy fragment, spróbuję tłumaczyć na gorąco: *„Cannes to sen małej dziewczynki o życiu wśród świecidełek. Co wieczór stada dziewczyn w wieczorowych sukniach H&M przechadzają się po Croisette. Niekończący się korowód galowych prezentacji, rautów i bankietów. Nieprzerwana defilada limuzyn, ochroniarzy i ciężarówek z bagażami gwiazd”*. Zupełnie nieźle, lecz w angielskim to samo brzmi bosko... Jestem fanem pani stylu, i ten reportaż drażni mnie tylko sympatią autorki do Francuzów, bo ja tej sympatii nie podzielałam.

– Dlaczego tak bardzo nie lubi pan Francuzów?

– Gdyż nie jestem kobietą, mademoiselle.

– A serio?

– Francuzi to sami gnoje, okropni gnoje, droga pani.

– Większość Amerykanów też dzisiaj tak mówi, ale dlatego, że

Francja nie poparła naszej wojny w Iraku. A jaką konkretną przyczynę ma pan?

– Miałem sporo przyczyn, choćby tę, że francuskie służby specjalne kaptowały jednego z moich najlepszych agentów, chcąc go przewerbować. Nazywał się Tolik, Zenon Tolik. Nigdy tego nie wybaczę tym pierniczonym Żabojadom. Francja jest piękna tylko w piosenkach Aznavoura i Dassina, w pałacach Loary i w Luwrze. Francuzi to skurwysyny, więc fakt, że prędzej czy później będą krajem muzułmańskim, a Wieża Eiffla będzie głównym minaretem Paryża, to kara, na którą zasłużyli stuprocentowo.

– Nie kłóćmy się, panie pułkowniku.

– Nerwy mi nie szkodzą, pani Krystyno, adrenalina mnie wzmacnia.

– A co z moim wywiadem?

– Cały czas udzielam pani wywiadu.

– Myślę o wywiadzie, który był pan łaskaw dzisiaj przeczytać i ocenić.

– Również celująco. Z tym, że o ile w reportażu przebiła sympatia autorki, sympatia wobec Żabojadów, to w wywiadzie przebija niechęć autorki, niechęć wobec interlokutora.

– Wobec kogo?

– Wobec Teneta, eksszefa CIA. Rozumiem, że udzielił pani wywiadu, bo niedawno utracił stołek.

– Tak, funkcjonującemu szefowi CIA niby wolno spowiadać się do mikrofonów, lecz robią to rzadko – tylko gdy muszą bronić swego stołka. Pamiętam jak Woolsey tłumaczył się „Newsweekowi”, kiedy Amesa zdemaskowano. Kupa bzdur, bełkot, żadnych konkretów.

– Byłemu szefowi CIA również nie wolno spowiadać się ze wszystkiego, więc odpowiedzi Teneta to mało ciekawe ględy gościa, który chce zrzucić skórę ofiarnego kozła, jaką mu wciśnięto za złe rozpoznanie arsenałów irackich. Ciekawe są tam natomiast pani

pytania, dla mnie bardzo ciekawe, bo zdradzają pani niechęć wobec CIA – niechęć wprost hipisowską lub lewacką. A mówiła pani, że nie jest pani politycznie poprawna...

– Co to ma wspólnego z „*polityczną poprawnością*” lub z lewactwem, panie pułkowniku? Jak można nie wkurzać się na instytucję będącą głównym obok FBI, strażnikiem Ameryki, jeśli ta instytucja każdy swój sukces przekreśla dziesięcioma błędami i wpadkami, bałaganem i niekompetencją, amatorszczyzną i głupotą?

– Dziesięcioma? Zarzuciła pani Tenetowi tylko dwie rzeczy: brak infiltracji środowisk muzułmańskich wrogich Ameryce, i wyhodowanie ben Ladena przez CIA na terenie Afganistanu. Tamtego dawnego Afganistanu, walczącego z Rosją sowiecką. Nie znalazłem w pani wywiadzie żadnych innych dowodów wewnętrznego rozkładu Agencji, jak tylko sprawę Ames...a

– Czyż ona nie wystarcza, pułkowniku? To symptom mówiący wszystko, no i to trwało kilkanaście lat! Ignorowano wszystkie sygnały alarmowe! Szefowie Ames...a wiedzieli, że jest on pijaczną i że wykorzystuje tajne lokale CIA do uprawiania przygodnego seksu. W każdym innym zawodzie, w każdym innym przedsiębiorstwie, w każdej fabryce czy w banku, takiego typu wywalono by na depnięty pysk, a już z pewnością by nie awansowano, tymczasem Amesowi powierzono Sekcję Rosyjską kontrwywiadu CIA! Gdy FBI zauważyło, to był 1986, iż Ames spotyka się po kryjomu z rosyjskim dyplomata...a – dyrektoriat CIA zignorował ten meldunek. Gdy cztery lata później pewna pracownica Agencji zwróciła swym szefom uwagę, że Ames szasta podejrzenie dużą gotówką – zignorowano i ten fakt! Czy pan wie, pułkowniku, że włoska policja znalazła Ames...a pijaniusiękiego w rzymskim rynsztoku, z tajnymi dokumentami, które targał balując?

– Wiem.

– I mimo tego zezwolono mu dalej kierować Działem Rosyjskim!

Czy w KGB możliwa byłaby taka heca, taka gangrena głównej służby mocarstwa, panie pułkowniku?

– Tak długotrwała nie, służby rosyjskie mają twardszą kontrolę wewnętrzną... Co nie zmienia faktu, że kilkunastu wyższych oficerów KGB i GRU, jak chociażby Pieńkowski, pracowało dla CIA, a inni zwiali na Zachód.

– Zwiali ci, których KGB oraz GRU nie zdążyły capnąć. Zresztą co najmniej połowa uciekinierów była podrzucona Zachodowi przez KGB i GRU, mieli dezinformować służby zachodnie.

– Widzę, że koncertowo odrobiła pani lekcję gry służb...

– Nie wiem czy odrobiłam ją bez pudła, jak pan to mówi, ale starałam się solidnie przygotować do wywiadu z Tenetem. Dzięki panu wiem, że tylko jedno mi się po... pokręciło... pomyliło...

– Gwarowe „pokićkało” brzmi sympatyczniej... Chodzi o to nieszczęsne GRU?

– Tak, lecz w kwestiach Iraku, Afganistanu i Amesa byłam mocno obkuta, wykonałam dużo dobrej roboty. Naiwna dziewczynka nie przeprowadzi koncertowego wywiadu.

– I nie zdobędzie Pulitzera...

– Nie ma szans. Dlatego przygotowuję się do każdego wywiadu czytając dużo.

– Jak dużo zdążyła pani przeczytać szykując się do wywiadu ze mną?

– Nic, nie znałam pana, i rozmowę zaczęliśmy nieomal z marszu. Ale teraz czytam każdego dnia.

– Co?

– Wypożyczyłam kilka książek o KGB.

– Czyje?

– Barrona, Kuziczkina, Andrewa i Gordijewskiego...

– Przyjemnej lektury.

– Zamówiłam również wszystko co można o postaci Mefistofelesa.

- Brawo! Będziemy mogli rozmawiać na niwie literackiej.
- Zrobiłam to dla uzupełnienia mojej humanistycznej wiedzy, lecz bardziej interesują mnie fakty. Czy pan wie, pułkowniku, że przygotowując się do wywiadu z Tenetem kazałam sobie tłumaczyć również prasę rosyjską?
- Co konkretnie, droga pani?
- Wywiad pańskiego kolegi, pułkownika KGB, Czarko... Czyrko...
- Pułkownika Wiktora Iwanowicza Czerkaszyna, wodza Sekcji Angielskiej II Zarządu KGB, a później wiceszefa waszyngtońskiej rezydentury do spraw wywiadu.
- Właśnie tak. Ten facet odpowiadał u was za penetrację CIA, FBI i Agencji Bezpieczeństwa Narodowego USA. Dwa lata po wpadce Amesa udzielił wywiadu moskiewskiej gazecie, nie pamiętam nazwy...
- „Niezawisimoje Wojennoje Obozrieniye”.
- Tak. Był już emerytem, ale waszych emerytów obowiązuje wymóg strzeżenia tajności silniejszy niż w Stanach.
- Identyczny, pani Krystyno.
- Więc jaki będę miała pożytek z pańskich wynurzeń?
- Solidny, obiecałem to pani, zagram na nosie również mojej „firmie”. Knebel jest wszędzie identyczny, surowy, lecz u was jego zerwanie nie kosztuje życia, a u nas karają okrutną śmiercią. Rzecz w tym, iż okrutną śmierć ja już każdego dnia ćwiczę, więc strach przed śmiercią nie może mnie hamować. Wróćmy do wywiadu Czerkaszyna, pani Krysiu.
- On tam powiedział, że śmiać mu się chce z oficjalnej, lansowanej przez CIA i FBI, wersji wpadki Amesa, sugerując, iż Amesa wydał amerykański „kret” w służbach rosyjskich, zaś gadanie o tym, iż Ames sam się zdradził życiem ponad stan i pijaństwem, to bajeczka dla publiki, kupa bzdur. Czy tak było?
- Tak było.

– Kto był tym „kretem”!

– General major Suganin... Dostała pani właśnie pierwszy hit, pani Krystyno. Coraz bliżej Pulitzera.

– Dostałam też kolejną lekcję... tym razem nie językową. Ta lekcja głosi, że wszystkie tajne służby mocarstw są równie przegnięte i podatne na zdradę co służby państw-liliputów.

– To prawda. Lecz ja, w przeciwieństwie do pani, gdybym pisał pamflet wykpiwający służby mocarstw, nie symbolizowałbym ich słabości zdradą Suganina, bądź zdradą Amesę, tylko ogólnym burdelem wewnątrz służb, ich wzajemną rywalizacją, rodzącym chaos brakiem koordynacji działań, et cetera.

– Tak, wiem, naczytałam się o bezsensownej, przynoszącej dużo szkód rywalizacji między CIA a FBI.

– Riebling?

– Tak, Rieblinga „Sekretna wojna między CIA a FBI”.

– W Rosji identyczne szkody przynosiła rywalizacja między KGB a GRU. Dzięki takim to rywalizacjom siła systemu zmienia się w farsę kiedy przychodzi kryzys. Wyłażą wówczas popękane szwy, ujawnia się głupota, niekompetencja, bagno. W Rosji dowiódł tego sierpniowy pucz 1991, który miał obalić Gorbaczowa i przywrócić betonowy sowietyzm, a wyniósł pijaczka Jelcyna. U was dowiodła tego pierwsza doba po zamachu na Reagana.

– Jak dowiodła, panie pułkownika?

– Pani miała wówczas kilkanaście lat, nie pamięta pani tego. Zresztą o takich rzeczach się nie pisze, więc nie mogłaby pani przeczytać o tym. Raniony prezydent leżał nieprzytomny w szpitalu. Mieliście kompletny chaos – można było zrobić z wami wszystko, bez większego trudu. Wiceprezydent Bush znajdował się wtedy w powietrzu, na pokładzie Air Force 2, lecz Biały Dom nie mógł się z nim skontaktować, bo okazało się, że specjalny telefon nie funkcjonuje, gdyż jest wadliwie zainstalowany! Sztab kryzysowy

faktycznie nie działał, gdyż wasi dygnitarze, ministrowie i elita prezydenckich doradców cały czas kłócili się o kompetencje, więc rozkazy wzajemnie sobie blokowano. Gdyby z Rosji czy też z Chin wystrzelono wówczas przeciw wam rakiety, nie mieliście żadnej możliwości uruchomienia odwetu. A wie pani dlaczego? Bo żeby uruchomić wasze rakiety konieczna jest prezydencka karta kodowa do walizki atomowej, tymczasem wyście tę kartę zgubili tak, jak gospodyni domowa gubi klucze wyrzucając starą garderobę z nimi na śmietnik. Postrzelonego Reagana bowiem ochrona zawiozła na szpitalną izbę przyjęć, gdzie pielęgniarki rozcięły mu ubranie i rzuciły je do kosza, razem marynarką, w której był portfel, a karta kodowa była w tymże portfelu. I wszystko to wyrzucono, bo wskutek paniki nikt o to nie zadbał. A wasze służby specjalne nie tylko dopuściły do tego, że maniak bez kłopotu strzelał ku prezydentowi na ulicy, lecz chwilę później dały drugi popis mistrzostwa: tak obstawiły szpital, iż kolejny maniak wszedł do szpitala, przebył wszystkie pilnowane piętra, włąkł do sali operacyjnej i pochylił się nad Reaganem gdy nikogo przy prezydencie nie było! Czy to wszystko razem nie jest komedią lichego gatunku, neglizującą mocarstwowość jako bezsilny domek z kart?

– To wszystko razem brzmi niczym bajka wymyślona przez człowieka umysłowo chorego, pułkownika.

– Prawda? A jednak państwa funkcjonują, i nie upadają, chociaż zazwyczaj państwami, nawet tymi potężnymi, rządzą mali głupi ludzie. I zazwyczaj wielkie decyzje polityczne są podejmowane nie przy stole obrad grupującym areopag mędrców, lecz przy kieliszku albo przy pisuarze, w trakcie chłania lub szczania. Brzmi to śmiesznie, ale tak zazwyczaj bywa, tak toczy się historia i tak toczy się ludzkość. Zdrowa logika regularnie ustępuje przypadkowi, a racjonalność zostaje wyrugowana przez patologię lub przez dziwaczność. Gdybym wierzył w Boga, to twierdziłbym, że ma On

duże poczucie złośliwego humoru. Niech pani zwróci uwagę – jakże często siła przynosi silnemu klęski. Carska tajna policja głęboko inwigilowała antycarski ruch konspiracyjny, agentami Ochrony byli szefowie rewolucjonistów, chociażby Stalin czy Azef, jednak mimo tego rewolucjoniści zmiotli carat. Przewaga sowieckich służb specjalnych nad zachodnimi konkurentami wyrażała się tym, że dla Rosjan pracowali często szefowie owych zachodnich służb, co jednak niewiele Rosji dało. Dzięki tak zwanej „piątce z Cambridge”, czyli Philby’emu i spółce – Rosja miała w ręku cały sztab brytyjskiej Secret Service. Dzięki „kretom” z samej wierchuszki CIA i FBI kontrolowała amerykańskie tajne służby przez pół wieku. I co? Związek Sowiecki padł, tymczasem Ameryka triumfuje dziś jako jedyne mocarstwo globalne, zaś Anglia jest mocarstwem europejskim. Żart historii, czy prawidłowość?

– Powiedział pan: przez pół wieku?

– Tak, dobrze pani usłyszała. Wieloletni szef kontrwywiadu CIA, Angleton, miał zupełną pewność, że na samej górze CIA pracuje „kret” rosyjski. Szukał go dwadzieścia lat, szukał tak intensywnie, że zawędrował blisko granicy paranoi, i szukał bez skutku. Po Jamesie Angletonie przyszedł Aldrich Ames. Lecz to nie on był tym „kretem” szukanym bezskutecznie przez Angletona, bo Ames zdradził dopiero w roku 1984. Tamtego, wcześniejszego dygnitarza CIA, który pracował dla KGB lub GRU, nigdy nie zdemaskowano.

– Ale pan jego nazwisko zna?

– Nie znam, byłem wtedy zbyt młody i nie pracowałem w centrali moskiewskiej. Nie znam również nazwiska tego „kreta”, który został wewnątrz CIA po zdemaskowaniu Amesa, czyli po roku 1994. Jego też nie wyniuchano.

– A skąd wiadomo, że taki został?

– Dzięki precyzyjnej analizie wszystkich wpadek CIA na terenie Sowietów między rokiem 1984 a 1994. Zawaliło się wtedy trzydzieści

kilka operacji i straciło życie dziesięciu oficerów rosyjskich pracujących dla CIA. Analitycy CIA udowodnili bezspornie, że „Rick” Ames nie mógł zdekonspirować wszystkich tych operacji, bo nie wszystkie znał, i nie mógł wydać wszystkich tych oficerów, bo nie wszystkich znał. Zrobił dla Rosjan dużo, lecz resztę zrobił ktoś inny z samej góry CIA. Jednak CIA wygrała, a KGB przegrała, Rosja jest dziś żebrakiem, wegetuje tylko dzięki ropie i gazowi, nie potrafi nawet sama ratować swych marynarzy z tonących podwodnych okrętów. Dowcipy, które wykręca historia, czynią historię najlepszym satyrykiem wszech czasów. I to mi się właśnie podoba, pani Krystyno, uwielbiam jajcarstwo, które jest wrogiem powagi i nudy.

– Jak to Mefistofeles...

– Uhm. Proszę nalać soczku do tej szklanki, zaschło mi w gardle od gadania.

– Może przerwiemy już?

– Nie, jeszcze nie wypędzam pani dziś. Gdy tak mówimy o komizmie dziejów, powiem pani jaka komedia amerykańska rozśmieszyła mnie najbardziej. Czy szefem CIA lub FBI mógłby zostać pedzio?

– Nie.

– Nie, mimo że dzisiaj pedały nie muszą już swych skłonności ukrywać, i nie muszą się wstydzić, pederastia zyskała wszelkie prawa, mamy pełną emancypację homoseksualizmu. Prawie pełną, bo nikt przy zdrowych zmysłach nie mianowałby geja wodzem FBI lub CIA. A dlaczego? Bo powszechnie wiadomo, że pedałów łatwo szantażować i kusić. Tymczasem największa gwiazda FBI, ikona FBI, półbóg FBI, John Edgar Hoover, sprawujący urząd wszechwładnego bossa FBI przez czterdzieści osiem lat, czyli przez całe pół wieku, aż do swej śmierci – był „ciotą”! Urządzał pedalskie orgie z nieletnimi blondasami, nosząc makijaż, damską perukę,

falbankową kieckę, koronkowe pończochy, sztuczne rzęsy i buty na wysokich obcasach. Mafia zdobyła foto ukazujące jak Hoover liże penis swego kochanka, Clyde'a Tolsona, i odtąd miała szefa FBI w ręku. Rosjanie również mieli go pod kontrolą.

– Panie pułkowniku, przecież Hoover zaciekle zwalczał amerykańską partię komunistyczną, wykończył czerwonych!

– Stalin też wykończył czerwonych. Wymordował całą elitę bolszewików i czerwony korpus oficerski.

– Mówimy o Ameryce i o Hooverze, panie pułkowniku! Hoover gnębił amerykańską partię komunistyczną.

– To była zasłona dymna, podobnie jak ta mafijna, z Lepkem.

– Nie znam tego.

– Louis Lepke to jedyny mafijny boss, którego trzepnęło FBI za czasów Hoovera. Mafia, czyli Luciano i Costello, wystawiła go Hooverowi, aby uwiarygodnić Hoovera jako pogromcę mafiosów. Rosjanie odżalowali figurantów z amerykańskiej partii komunistycznej, a dzięki tej zasłonie Hoover błyszczał jako bat na komunistów, nie tykając ważniejszych sowieckich agentów, tak zwanych „agentów głębokiej penetracji”, od których roilo się w rządzie i w sztabie doradczym prezydenta Roosevelta. Harry Hopkins, prawa ręka Roosevelta, faktyczny wiceprezydent, był agentem NKWD. Funkcjonariusze FBI czasami rozszyfrowywali takich gagatków z Białego Domu, i wówczas Hoover nie mógł zamieść tego pod dywan, musiał informować prezydentów, lecz robił to w taki sposób, że podejrzani – jak Alger Hiss u Roosevelta, czy Harry Dexter White u Trumana – miast tracić stanowiska i trafiać do pierdła, awansowali! Więcej tu tragedii, czy komedii, pani Krystyno?

– Nie wiem...

– Moim zdaniem – więcej komedii, zważywszy, że Hoover prywatnie pasjonował się ciężką pornografią, a prezydenta Kennedy'ego piętnował za dziwkarstwo, i wciąż głosił konieczność

kruczaty na rzecz moralności. Co jest zresztą typowe – wielcy grzesznicy prawią wyborne kazania, rutyna czyni mistrzów. Zdziwię panią, ale Hoover imponował mi...

– Imponowała panu jego hipokryzja.

– Imponowała mi jego niezatapialność. Wielu prezydentów chciało go zdymisjonować, ale okazał się nieusuwalny, bo na każdego polityka miał „teczkę” pełną brudów czyli „haków”. Przez te czterdzieści osiem lat jego panowania mógł runąć tysiąc razy, a nie runął. Na najcięższe kłopoty, które przynosi życie ludziom ze świecznika, był równie odporny jak pewien gatunek karaluchów na promieniowanie po wybuchu bomby jądrowej. Twardy peda! Udało mi się zrobić to samo, nigdy nie runąłem w tym kraju, dopiero biologia mnie powaliła, wobec niej nie ma mocnych. Nie runąłem nawet po mojej wycieczce amerykańskiej, choć wtedy byłem bardzo blisko krachu.

– Często bywał pan w Stanach?

– Tylko raz, pani Krystyno, w sześćdziesiątym czwartym. Kilka lat wcześniej zwiął do Stanów zastępca szefa polskiego wywiadu wojskowego, pułkownik Michał Goleniewski. Wydał zachodnim służbom sowieckich agentów pracujących w Anglii, w Izraelu i w Stanach. Jednak Amerykanie nie byli pewni czy mówi prawdę, bali się, że to prowokacja. Sprawę miała rozstrzygnąć Komisja Senatu do Spraw Bezpieczeństwa Wewnętrznego, przesłuchując uciekiniera i weryfikując jego zeznania. Wówczas...

– Jak weryfikując?

– Różnymi metodami, nie odbiegajmy od tematu. Mnie tam wysłano, żebym załatwił sprawę. Byłem wtedy majorem KGB, ledwo skończyłem czterdzieści jeden lat...

– I polecono panu zabić tego człowieka bez hałasu.

– Przeciwnie, droga pani. Zabicie Goleniewskiego świadczyłoby o wiarygodności jego zeznań. Miałem zrobić lepszy numer – miałem

ukraść mu wiarygodność.

– Jak?

– Tego mi nie powiedziano, kazano mi coś wymyślić. Zlecono to właśnie mnie, bo byłem kagiebiwą najlepiej mówiącym po polsku i uchodziłem za dowcipnisa, którego wariackie wygłupy okazują się czasami rewelacyjnie skuteczne.

– I co pan wymyślił?

– Najpierw musiałem wymyślić jak dotrzeć do człowieka strzeżonego przez CIA i FBI niczym żrenica oka albo prezydent Stanów. To było najtrudniejsze, pani Krystyno.

– I co pan wymyślił?

– Był tylko jeden sposób. Proszę zgadywać.

– Nie mam pojęcia, nie zgadnę!

– Sam nie mogłem zbliżyć się do niego, każda próba byłaby samobójcza, mógł to zrobić tylko pośrednik. Jaki?

– Nie wiem!

– Kobieta. Wymyśliłem kobietę, pani Krystyno.

– Jaką kobietę?

– Wiceszefową Biura Korespondencji Senatu. Polkę ożenioną z Amerykaninem.

– Zwerbował ją pan?

– Zwerbowali ją werbownicy rezydentury, pracowała już dziesięć lat dla KGB. Wcześniej była zacieklą antykomunistką, jednak dała się zwerbować.

– Jak komunistom udaje się werbować antykomunistów, panie pułkowniku? Pieniędzmi?

– Są różne sposoby, każdy ma słaby punkt, tu wystarczył szantaż.

– Jaki był jej słaby punkt?

– Miała niegasnące zamiłowanie do architektury: przyjrzała się uważnie tyłu sufitom w hotelach i motelach, że mogłaby napisać o sufitach rozprawę doktorską. Upublicznienie tego hobby byłoby

kresem jej kariery politycznej.

– I co zrobiła?

– To co trzeba, dotarła do Goleniewskiego. Stare polskie przysłowie mówi, że gdzie diabeł nie daje rady, tam wyśle babę, pani Krystyno. Żadna tajna służba nie może sobie pozwolić na kalectwo, którym byłoby zatrudnianie samych mężczyzn. Kobiety mają więcej kobiecych talentów.

– Kobięcych talentów? Czyli co – do uwodzenia, kuszenia, ogłupiania?

– Do wszystkiego, do mordowania również. W KGB zrobił dużą karierę pewien wic, opowiadany pół żartem, pół serio. KGB prowadzi rekrutację kandydatów na zabójców. Po ostrej selekcji zostaje trójka: jedna kobieta i dwóch mężczyzn. Ostatnia, finałowa seria sprawdzianów. Pierwszy mężczyzna ma wejść do pokoju i zastrzelić własną żonę. Odmawia, więc zostaje wyeliminowany z konkursu. Drugi mężczyzna ma zrobić to samo. Wchodzi do pokoju, lecz chwilę później wraca chlipiąc i mówi, że nie może zabić swojej ukochanej. Kobięcie polecają wejść do pokoju i zabić swego męża. Wchodzi, słycać strzały, później głuchy łomot i robi się cicho. Gdy drzwi się otwierają, instruktor pyta kobietę jak jej poszło. Ta tłumaczy: „– Nie wiedziałam, że daliście mi ślepe naboje, musiałam krzesłem go zatłuc”.

– Trzeba się teraz śmiać?

– Śmiać się pani będzie, gdy opowiem o indagowaniu Goleniewskiego przez komisję senacką. Zgodnie z procedurą musiał najpierw podać dla protokołu swoje dane. Oznajmił, że jest Aliksiejem Nikołajewiczem Romanowem, cudownie uratowanym carewiczem, synem cara Mikołaja II, pretendentem do tronu Rosji.

– Co?! Mówi pan poważnie?

– Łatwo to pani sprawdzi w archiwach Senatu. Członkowie komisji żądali, by się nie wygłupiał, lecz on się upierał, że jest carską

pociechą, więc przesłuchanie zostało zawieszono, i tak skończyła się „afera Goleniewskiego” – kompromitacją CIA. Nawet nie leczono wariata, osiadł gdzieś na prowincji. To są fakty, pani redaktor.

– Czym go zastraszyliście?

– Groźbą zmasakrowania całej jego rodziny zostawionej w kraju.

– A czemu pan znalazł się wówczas w kłopotach? Pańscy szefowie winni byli pana nagrodzić za ten kapitalny pomysł z carską pociechą.

– Numer z carską progeniturą rzeczywiście wart był Nobla i Oscara razem wziętych, no ale cóż... Widzi pani... dopadła mnie wdzięczność człowieka. Czyli zwyczajna ludzka niewdzięczność.

– Jak mam to rozumieć?

– Powinna pani zrozumieć coś, co rozumieją ludzie, którzy przeżyli szmat czasu: że człowiek wyrządzając drugiemu człowiekowi przysługę stwarza sobie wroga, bo przysługi produkują jad – wdzięczność. Wdzięczność to podświadoma nienawiść – broń psychologiczna gorsza od biologicznej. Czyż jest coś gorszego niżli małżeństwo z wdzięczności? Młodzi tego nie rozumieją, grzeszą naiwnością, chyba że czytają klasyków i wierzą w mądrość klasyków.

– Których klasyków?

– Już starożytnych – Greków, Rzymian, Żydów. Grecki filozof, Arystoteles, pisał: „Najszybciej starzeje się wdzięczność”. Rzymski literat, Publiusz Syrus, powiedział: „Mały dług stwarza dłużnika, duży – wroga”. Żydzi lubią powtarzać starą mądrość: „– Jakie dobrodziejstwo ci uczyniłem, że mnie tak nienawidzisz?...”. U schyłku wojny wyrzuciłem dobrodziejstwo młodemu sowieckiemu lejtnantowi, zatajając przed zwierzchnikami jego wpadkę, chociaż mieliśmy obowiązek wszystkie takie rzeczy meldować. Dałby łeb, bo spowodował śmierć trzech naszych ludzi. Później zrobił karierę i został szefem rezydentury GRU w waszyngtońskiej ambasadzie Sowietów. Po mojej amerykańskiej misji wykorzystał fakt, iż nie

wróciłem od razu, bo trudno mi się było rozstać z pewną kelnerką baru hotelowego. Złożył donos, iż zostałem przez nią zwerbowany dla CIA. Takie donosy traktowano bardzo poważnie, nie patyczkowano się w tych sprawach. Zaaplikowano mi wielomiesięczny konwejer...

– Co to jest konwejer, panie pułkowniku?

– Młyn całodobowych przesłuchań, dzień i noc, piekło na ziemi. Także bicie, tutaj nie ma żartów... Jakoś to wszystko zniosłem, przetrwałem do momentu, gdy ludzie KGB sprawdzili, że ta moja kelnerka nie pracuje dla CIA. Lecz było już cholernie blisko – o mały włos, a wdzięczność-nienawiść wykopałaby mi grób.

– I ten donos oraz ten konwejer nie wykopały nienawiści w panu? Czemu nie znienawidził pan KGB?

– A co ja teraz robię?

– Dopiero teraz, po kilkudziesięciu latach. Czemu już wtedy nie ugryzł pan KGB przez nienawiść?

– Musiałbym znienawidzić siebie samego, żeby już wtedy gryźć KGB. Nienawiść agenta KGB do KGB oznacza samobójstwo, kochana pani. To po drugie, zaś po pierwsze: nikt oprócz KGB nie dałby mi tak pasjonującego życia i równie wielu okazji do robienia ludziom psikusów, czyli do uprawiania mojego hobby. Staralem się wystrzegać wszelkiej nienawiści, bo nienawiść to głupia, autodestrukcyjna energia, rodzi pragnienie zemsty, a zemsta jest pasją kretynów. Nigdy nie zabiłem dla samego odwetu, robiłem to tylko gwoli pragmatyzmu, decydowała użyteczność vel konieczność.

– Mówił pan przecież, że nienawidzi pan Francuzów, Polaków, Żydów...

– Niczego takiego nie mówiłem, pani znowu źle słuchała. Mówiłem, iż nie lubię Francuzów, Polaków, Żydów, to kwestia sympatii bądź antypatii. W ogóle nie lubię ludzi, gdyż to głupi gatunek, chociaż lubię Bacha czy Szekspira – to akurat kwestia

wyjątków. Nienawidzę tylko kilku rzeczy: miernoty, wtórności, brudu za paznokciami, smrodu, taniego wina i posiłków na chybcika, pani Krystyno. Aha, nienawidzę jeszcze sofizmatów, choć niektóre mnie rozbawiają. Za najpiękniejszy uważam: „– *Prawie zdążyłem*”.

– To aluzja do tego, że dzisiaj spóźniłam się kilka minut?

– Nie, pani redaktor, nie jestem złośliwy wobec pani.

– Robiłam zakupy, i wpadłam w straszny korek.

– Zakupy... Ulubiony sport dam. Wolicie zakupy od seksu. Marilyn Monroe ładnie powiedziała: „– *Pieniądze szczęścia nie dają. Dopiero zakupy*”. Cierpi przez to każdy małżonek.

– Ile razy był pan żonaty, pułkowniku?

– Ani razu.

– Dlaczego?

– By nie mieć teściowej.

– A serio?

– Mówię serio.

– Nawet wtedy, gdy robi pan sobie jaja?

– Zwłaszcza wtedy. Pytanie: jak długo można przymykać jedno oko na teściową, która tyranizuje wszystkich?... Odpowiedź: póki się muszka nie zgra ze szczerbinką.

– To też kagiebowski dowcip?

– Nie, żołnierski, armijny, z tak zwanego Ludowego Wojska czasów PRL-u.

– Służył pan w tym wojsku?

– Pracowałem tam jako instruktor przez etap kwarantanny, którą mi zaaplikowano po misji amerykańskiej i donosie rezydenta.

– Czego pan uczył?

– To były lekcje i ćwiczenia z zakresu psychologii, między innymi dotyczące przesłuchiwania więźniów.

– W polskim wojsku uczono szeregowych żołnierzy

przesłuchiwania więźniów?

– Szeregowych żołnierzy to uczono maszerować, śpiewać, strzelać i kochać marksizm-leninizm. Żołnierzy elitarnych jednostek uczono więcej. Żołnierzy elitarnych grup uczono dużo więcej. Najwięcej uczono gierojów superelitarnego komanda, będącego tajną formacją WSW. Ja uczyłem tych ostatnich.

– Co to jest WSW?

– Dzisiaj to jest WSI – Wojskowe Służby Informacyjne. Wtedy to były WSW – Wojskowe Służby Wewnętrzne. Tajna grupa najlepszych komandosów WSW musiała umieć walczyć w każdy sposób i w każdych warunkach, tudzież znosić genialnie przesłuchania w razie wzięcia do niewoli.

– Znosić konwejerę?

– O właśnie. Ja miałem nie tylko wiedzę teoretyczną, lecz i praktykę wypisaną już na własnej skórze, więc mogłem tam robić za belfra. Wszystkie dobre służby świata posiadają takie grupy. Zwyczajny żołnierz, bądź zwyczajny agent, jest tylko człowiekiem, pani Krystyno. Dlatego ci zwyczajni, choć pieczołowicie szkoleni, ciągle się kompromitują – blamaż goni blamaż. Cały świat widział żołnierzy rosyjskich kompromitujących się w Czeczenii i w Afganistanie, kubańskich obrywających w Angoli i w Namibii, jankeskich dających dupy w Somalii, w Iranie i w Iraku, bądź żołnierzy europejskich „sił pokojowych”, całego tego UNPROFOR, kompromitujących się w Bośni, gdzie Serbowie wyróżnili kilka tysięcy bezbronnych muzułmanów na oczach holenderskich wojsk, które miały tych cywilów ochraniać, a francuska wojskowa eskorta wiceprezydenta Bośni nie kiwnęła palcem kiedy mordercy wywlekali dygnitarza z samochodu i zabijali. Dlatego szefowie wszystkich dobrych „firm” starają się tworzyć tajne grupy, do których rekrutuje się nadludzi, twardzieli, co nigdy nie pękają. W Anglii to była kiedyś jednostka SO 14, która wyrosła z SO 13, antyterrorystycznej komórki

Scotland Yardu. W Stanach wcielano takich herosów do Sekcji Zadań Specjalnych Wydziału Operacyjnego CIA, zwanej potocznie albo „*mission impossible section*”, gdy chciano pochwalić, albo „*murder commando*”, gdy chciano opluć. Ów zespół istotnie robił obie te rzeczy – uprawiał bohaterstwo, realizując „*misje niemożliwe*”, i uprawiał skrytobójstwo jako „*szwadron śmierci*”.

– A u Rosjan?

– U Rosjan to jest najtajniejsza grupa operacyjna GRU, do której rekrutuje się kandydatów spośród czempionów Specnazu. Wiem, że mają podobne grupy tajlandzka NIA, kanadyjska CSIS, rumuńska SRI, niemiecki MAD, francuski DGSE, kubańska DGI, słowacka SIS...

– Pewnie to samo mają wszystkie „*firmy*” świata. Dlaczego wymieniał pan akurat te, pułkowniku?

– Bo znam nazwy tych akurat tajniaków, zawiodła u nich tajność.

– Czy amerykańska tajność zawiodła również?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Po zdemaskowaniu Amesa najtajniejszy zespół wyjęto z CIA. Nie podlega żadnej spośród waszych „*firm*”, ani NSA, ani DIA, ani NRO, ani USAI, ani nikomu znanemu. KGB podejrzewa, iż dzisiaj nadzór nad tą grupą sprawuje wiceprezydent Cheney, faktyczny twórca irackiej wojny. Ale proszę pamiętać, że ja już od dobrych kilku lat jestem emerytem, nie mam dostępu do wszystkiego. Przez te kilka lat sporo się zmieniło w grze wywiadów.

– Mówi pan o ciągle wzrastającej roli elektroniki?

– Nie, nie mówię o roli komputerów czy satelitów, tylko o sprawach personalnych, pani Krystyno. Za moich czasów większość agentów to byli dyplomaci różnych szczebli, pracownicy ambasad. Często też wędrujący dziennikarze, akredytowani u wrogów. Dzisiaj liczbowo górują agenci typu NOC – „*non-official cover*”. Pracownicy przedsiębiorstw instalujących swe filie za granicą w ramach

globalizacji. „Białe kołnierzyki” ze spółek, fabryk, biur, banków. Taka nowa moda, bardzo zresztą użyteczna.

– Panie pułkowniku...

– Słucham panią.

– Rozmawiamy w sumie krótko...

– Dzisiaj rozmawiamy długo, dłużej niż...

– O Boże, to już ponad dwie godziny!

– Zakochani nie liczą czasu. Rozmawia się nam tak miło, że czas fruwa.

– Idę!

– Bez pośpiechu. Chciała pani przecież jeszcze o coś spytać.

– Jutro spytam.

– Proszę mówić, czuję się dziś wyjątkowo dobrze.

– Chciałam tylko powiedzieć, że ta dzisiejsza rozmowa, panie pułkowniku...

– Ta rozmowa była przeze mnie sterowana... aby uzmysłwić pani, że historia jest tragikomedią śmieszniejszą niż się ludziom wydaje. Już Szekspir to wiedział, pisząc, że jest ona „*klechdą idioty*”.

– Ta rozmowa uświadomiła mi coś innego... Jestem pod wrażeniem. Mówi pan o tych sprawach, o których pan mówi, jakby był pan encyklopedią tych spraw... Do widzenia, panie pułkowniku.

– Do jutra, i proszę się nie przejmować spóźnieniami. Mam nadzieję, że kolejne zakupy będą równie udane.

– Panie pułkowniku, pan wie wszystko, ale czy pan rozumie wszystko?

– Droga pani, tylko idioci rozumieją wszystko.

Sesja 3

- Dzień dobry, panie pułkowniku.
- Dzień dobry, dzień dobry. Jak tylko panią widzę, od razu robi się dobry.
- A przed południem był zły?
- Nie, jednak kiedy panią widzę, od razu robi się lepszy. Ładna bluzka.
- Pieniądze szczęścia nie dają, panie pułkowniku.
- Oczywiście. Wieczorne zakupy?
- Przedwieczorne, między pana willą a moim hotelem jest tyle sklepów... Zaczniemy jak wczoraj?
- A jak zaczęliśmy wczoraj?
- Od recenzowania moich wywiadów i reportaży.
- Niestety, tym razem klops. Dość trudno mi było zasnąć wczoraj, więc kazałem puścić jeden z moich ulubionych filmów, zasnąłem późno i późno się obudziłem, potem męczyły mnie pielęgniarki, i tak jakoś zeszło, nie zdążyłem nic przeczytać.
- A ten ulubiony film, co to jest?
- Mam dużo ulubionych filmów, lecz większość to są starocie, nowe kino mnie nie grzeje. Bywają wyjątki, rzadkie jak kolibry na Syberii, jednakże generalnie – kino ostatnich piętnastu lat to według mojej głowy chłam w dziewięćdziesięciu pięciu procentach. Pierdoły o kosmitach i psycho-dziwolągach, szmirowate łubudu, denne porno i tandetne wyciskacze łez „dla kucharek”, jak się dawniej mówiło. Do tego ci nowi aktorzy, którzy zastąpili kapitalną starą gwardię – ta generacja Cruise’ów, Afflecków, Damonów, Pittów, Farrellów, Kilmerów! Beztalencia, półamatorzy wykreowani na

gwiazdy, z braku kogoś lepszego. To szkolny teatr, pani Krystyno. W Polsce zresztą sytuacja jest identyczna. Odeszły dwie wcześniejsze generacje świetnych zawodowców, brylują młodzi tandeciarze, których aktorski pseudokunszt sprowadza się do deklamacji, strojenia min, seplenienia i sztucznych ruchów, czyli do mowy ciała i mowy języka na poziomie „prowincjonalnym”, jak się dawniej mówiło. Czym oni się różnią od statystów i od gwiazdek pornosów? Różniatkę może i rozumieją, lecz nie zagrają miłości bez sztuczności.

– A pan chciałby, żeby to było jak w „Casablance”?

– Owszem. Lub jak w „Gildzie”, moja droga... „Casablanke” wypromowano do rangi króla kultowych romansów kosztem równie świetnej, a może i nawet lepszej „Gildy”, cztery lata późniejszej, z czterdziestego szóstego. Rita Hayworth i Glenn Ford są dla mnie ciekawszym duetem kochanków niż Ingrid Bergman i Humphrey Bogart, a Charles Vidor przeskoczył Michaela Curtiza reżyserią, gdyż wykreował oniryczność filmu. Przy tym w „Gildzie” są dwie dobre piosenki, a w „Casablance” tylko jedna. I w „Gildzie” jest scena najlepszego strip-teasu świata, zdejmowanie rękawiczki, żadna scena „Casablanki” nie dorównuje temu arcydziełu. Curtiz stworzył melodramat, Vidor stworzył grę namiętności, to dla mnie wyższa szkoła jazdy.

– Nie lubi pan melodramatów?

– Pani redaktor, znałem kagiebiistów i esbeków, którzy bez zmruczenia oka zamordowaliby dziecko, a łzawili się oglądając melodramaty jeden po drugim. Ja nie lubię sercowych „wyciskaczy łez”, choć wszelka reguła ma wyjątki, więc lubię dwa: „Casablanke” i „Romans w Orient-Expressie”. Bo pyszne „Pożegnania” to nie melodramat ani romansidło, to film obyczajowy.

– Powie mi pan wreszcie jaki film koił wczoraj pańską bezsenność, pułkownika?

– „Nagi instynkt” Verhoevena... Co ma znaczyć ten uśmieszek?

– Uśmieszek dotyczył kultowej sceny filmu, sceny przesłuchania na policji i zagładania między uda Sharon Stone. Ta scena grzeje dzisiaj panów równie mocno, jak dawniej grzało zdejmowanie rękawiczki w „Gildzie”.

– Chce pani powiedzieć: starszych panów?

– Wszystkich! No i, oprócz Sharon Stone, jest tam druga dama, ta rodem z dowcipu kagiebowskiego, gotowa krzesłem eksterminować mężczyzn. Ale to przecież nie starość, ten film ma nie więcej niż dziesięć lat.

– Ma trzynaście lat, pani Krystyno, należy do wspomnianych wyjątków. Oglądałem go już kilka razy, wcale nie dla sceny przesłuchania policyjnego.

– Co pana w nim tak rajcuje?

– Sam też popełniam ten językowy błąd, robi to wielu.

– Jaki błąd?

– Mówię o „rajcuje”. Rajcować, znaczy: gadać, paplać między sobą, rajcują kumoszki lub sąsiadki, tymczasem nie wiadomo kiedy przyjęło się używać tego słowa w znaczeniu: podobać, lubić coś, wedle dzisiejszej grypsery młodzieżowej: kręcić.

– No dobrze... Cóż pana tak kręci w „Nagim instynkcie”?

– Kobiecość, genialna projekcja kobiecości. Pełnej kobiecości... Jest tam wszystko: i libido, i perwersja, i zbrodnia, i zemsta, i słodycz, i nienawiść – wszystko!

– Ale żeby pokazać to wszystko, scenarzysta i reżyser musieli użyć dwóch kobiet – tej od łóżka, i tej od krzesła, pułkownika.

– Ta od krzesła też dała niezły popis seksu. W oczach miały to samo.

– Rozwiązłość i zbrodnię?

– Pani Krystyno, czy zna pani wiersz Kiplinga „Samica swego gatunku”?

- Nie znam.
- Noblista dał tam pyszny popis mizoginii, kończąc każdą zwrotkę refrenem: „*Gdyż od samca dużo bardziej śmiertelnością jest samica*”⁷.
- Częściej słyszałam refren, iż dużo głupszą jest samica.
- Też go słyszałem, pani Krystyno, ale tu mam wątpliwości, bo samice w sposób niezrównany potrafią ogłupiać samców, co dowodzi, że inteligencja tych drugich jest mizoginicznie przereklamowana. Chętniej już skłaniam się do refrenu, że samice są prowodyrkami powszechnej rozwiązłości.
- „*W oczach mają to samo*”!
- Właśnie. Alan Jenkins, charakteryzując najpiękniejsze aktorki francuskie, od Brigitte Bardot, przez Jeanne Moreau i Catherine Deneuve, po Isabelle Hupert i Fanny Ardant, znalazł jedną cechę wspólną, która uwidocznia, lub raczej syndromizuje pełną kobiecość: „*W ich oczach widziałem głębię nienaprawialnej rozwiązłości*”.
- Proszę zerknąć w moje oczy, pułkowniku... Też to widać?
- To zawsze widać, nie tylko u aktorek, zresztą każda kobieta jest aktorką.
- A czy każdy samiec nie jest komediantem o duszy satyra, co widać, gdyż zdradzają to ślepia? Pańskie również, pułkowniku.
- Bo pani ma takie piękne nogi, pani Krystyno...
- Eeeech! Nie chce mi się słuchać starych bredni, że baby to kurwy, a faceci to baranki o czystym wzroku!
- Zna pani piosenkę: „*Czy te oczy mogą kłamać?*”...
- Wszystkie mogą.
- Pewnie, że wszystkie! Nawet te okazywane czytnikom wzroku, skanerom, które bronią wstępu do pomieszczeń zabezpieczanych. Chłopcy z KGB umieli wykiwać każdy taki czytnik, również japoński skaner tęczówki, głośny Authenticam firmy „Panasonic”, uchodzący

za „opus magnum”⁸ wśród czytników. Robili teleobiektywem zdjęcie ślepi użytkownika, drukowali je z dużą rozdzielczością i w rozmiarze rzeczywistym, wycinali dziurki na źrenice i trzymali przed sobą niczym maskę. Skaner rejestrował obecność ludzkich źrenic, później czytał tęczę, i akceptował wchodzącego. Jeszcze łatwiej poradziłyśmy sobie z czytnikami odcisku palca. Niektóre można było wykiwać chuchem: gdy chuchało się na czytnik, ukazywały się linie papilarne osoby, która wcześniej korzystała z systemu. Systemy trudniejsze, jak Bio-Touch firmy „Identix”, załatwialiśmy w inny sposób, posypując płytkę proszkiem grafitowym, co ujawniało linie papilarne wcześniejszego klienta. Trzeba było zdjąć ten obraz taśmą klejącą, przycisnąć do czytnika, i droga wolna, pani Krystyno. Równie łatwo ośmieszaliśmy czytniki twarzy, nawet króla tych urządzeń, system Face Vacs-Logon firmy „Cognitec”, i to kiedy pracował w trybie ekstremalnej czujności. Wyświetlaliśmy laptopem cyfrowy film, przysuwaliśmy monitor do czytnika, i po krzyku. Jak to w historii wojen: na każdą nową tarczę i nowy mur forteczny wynajdywano nową broń. Dostała pani drugi hit.

– Po to tu przychodzę, a nie po złośliwości na temat bab, Panie pułkowniku.

– Zaraz, zaraz, pani redaktor, nie taka była umowa! Miałem gościć tu Szeherazadę, ja również chcę się bawić.

– W mizoginizm?

– W cokolwiek. Spytała pani o film i wywiązał się dialog. Dialog prokuratora i obrońcy, dla mnie ciekawy, gdyż chętnie przetestuję pani deklarowany antyfeminizm, czyli procentową zawartość feminizmu w antyfeministce, pani Krystyno.

– Nie trzeba być feministką, żeby wyśmiać zwalanie na kobiety win za wszystkie nieszczęścia tego świata!

8 Dzieło wspaniałe, cudowne (łac)

– Mówiliśmy nie o wszystkich problemach „homines sapientes”, a tylko o erotycznej rozwiązłości naszego gatunku, w której kobiety wiodą prym, bo bez ich przyzwolenia nie ma teatru seksualnego, one decydują.

– One jedynie współuczestniczą, panie Heldbaum. Ale rozumiem, że późna starość wyzwala w mężczyźnie moralistę lansującego cnotę, tak jak w niektórych kobietach starość wyzwala dewocję religijną, i wtedy szuka się wroga do atakowania, do piętnowania grzechu.

– Starość? Kobieto, ja zrozumiałem wszystko dawno temu, tuż po wojnie, gdy przeczytałem, że w Neapolu, kiedy weszli tam alianci, prostytutką parała się jedna trzecia Neapolitanek między piętnastym a pięćdziesiątym rokiem życia. Nie z biedy, lecz dla forsy, dla nylonowych pończoch i szalonego blichtru. Późniejsze lektury tylko mnie utwierdzały, że się nie myłę.

– I teraz zacytuje pan filozofów, począwszy od starożytnych?

– Musowo. Platon pisał: „*Suki prowadzą się tak, jak ich panie*”.

– A koledzy Platona prowadzili się tak, jak święty Franciszek z Asyżu?

– Święty Franciszek w młodości był playboyem.

– No to jak Szymon Słupnik! Tak się prowadzili, pułkowniku?

– Nie sądzę, aby gwałcili te damy. Brak żeńskiej zgody, brak chycicy u pań, równałby się surowości obyczajów, pani Krystyno. Dawniej jakimś hamulcem była groźba ciąży i groźba publicznego ostracyzmu, jednak postęp techniczny zerwał wszystkie pęta. Runięcie Muru Berlińskiego odmieniło świat w znacznie mniejszym stopniu niż dużo wcześniejsze runięcie muru fałszywej skromności u kobiet, gdy na ekrany weszła „Emanuelle”, zaś do aptek pigułka przeciw ciążyom. To, co dawniej robiły tylko prostytutki, dzisiaj robi każda nastolatka. Mój przełożony, nieboszczyk od roku, skomentował to kiedyś ładnie. Widząc telewizyjną reklamę

superszminek o cudownych właściwościach, westchnął: „– *Ale jak trudno zmyć to z penisa, stary!*”. Za czasów mojej młodości było inaczej.

– Rzeczywiście, pułkowniku – za czasów pańskiej młodości nie było Billy’ego Crystala, który twierdzi, że kobiety potrzebują powodu, by uprawiać seks, a mężczyźni potrzebują jedynie miejsca.

– Przecież Crystal to zawodowy komik, kpił sobie.

– Moim zdaniem kpił z mężczyzn, z mizoginów! W tej deprawującej telewizji.

– Za czasów mojej młodości...

– Za czasów pańskiej młodości nie było telewizji.

– Tak, nie było domowego kina, i w ogóle żadnego kina, które reklamowałyby bezwstyd i rozwiązłość seksualną. Dymanko nie wychodziło z burdelu i spod koldry, czyli z klauzury i z enklawy. Panienki dbały o dziewictwo i o ślub. A dzisiaj panienka pyta: „– *Ożenisz się ze mną?*”. Facet mówi: „– *Nie*”. Więc ona mówi: „– *To złaź!*”. Poślubić kobietę nieużywaną jest dziś trudniej niż wygrać w lotka milion dolarów.

– Skoro dawniej było to łatwiejsze, bo glob roił się od „*kobiet nieużywanych*”, czemu nie wziął pan ślubu wówczas?

– Mówiłem pani już.

– Mówił pan dowcipy o teściowej. Jakoś mnie nie przekonały.

– Widziałem małżeństwa moich kolegów. One miały dużą siłę przekonywania. Nie bardzo wtedy rozumiałem czemu wszystkie tak szybko zamieniają się w piekło. Myślałem, że te związki koroduje nuda. Dziś wiem, że nie decyduje tu nuda, tylko chemia. Konkretnie: fenyloetyloamina.

– Co takiego?

– Fenyloetyloamina. Naukowcy dowiedli, że mózgi zakochanych wydzielają tę substancję, a ona działa niczym amfetamina, stymulując uniesienie. Przez nią zakochani czują się jak na rauszu. Szybciej biją im serca, pocą się im ręce, dudnią głowy. Trzeba mniej

więcej dwóch lat, aby organizm ludzki uodpornił się na ten hormon, i wówczas kochankowie przechodzą pierwszy kryzys ich związku. Po czterech latach organizm nie produkuje już fenyletyloaminy, i wtedy zaczynają się zdrady, pani Krystyno. Odkąd to wiem, nie tęsknię do dawnych czasów erotycznego romantyzmu, a tylko do dawnych filmów, dawnego malarstwa, dawnych restauracji... i jeszcze do paru dawnych rzeczy.

– Na przykład?

– Na przykład do dobrych manier, które zanikają. Do słownictwa bez „mięsa”, do grzeczności...

– Podczas naszych rozmów nie unika pan „mięsa”, pułkowniku...

– Ale raczej w wersji „soft”⁹, i nie rzucam nim często, nie robię z „kurwy” przecinka. Czasami inkrustuję zdanie brzydkim wyrazem, bo po pierwsze mam kagiebowski garb chamskich śledztw i rozmów, po drugie mam za sobą wieloletni staż w półświatku kryminalnym, czyli w rynsztoku, gdzie operowało się „kminą” i „łaciną”, a po trzecie... cóż, może chcę się dzięki temu wydać pani młodszy, nowocześniejszy, współcześniejszy, wszyscy coś żałośnie gramy, pani Krysiu... Czy wie pani, że marszałek Piłsudski bez przerwy kłął jak szewc? I wszyscy czcili go jak boga, nic im to nie przeszkadzało.

– A panu jednak przeszkadza dzisiejszy uwiad dobrych manier.

– Tak, i to jest dziwne, bo generalnie mam złą opinię o rytuałach „savoir-vivre’u”¹⁰. Reguły „savoir-vivre’u” wymyślono, żeby lizusostwo i hipokryzja zyskały elegancką szatę. I by dawały towarzyski sukces. Dla zdobycia poklasku salonów gładka durność nie wystarcza, konieczne są również właściwe maniery. Jeśli mimo ich kultuwowania droga idioty jest ciężka, to dlatego, że jest bardzo zatłoczona. Ten medal posiada wszakże rewers – są nim codzienne

9 Miękkiej, łagodnej (ang.)

10 Formy towarzyskie, zasady dobrego wychowania (franc)

formy grzecznościowe, nie mające dużo wspólnego z etykietą dworów i salonów arystokratycznych, a już nic wspólnego z burleską hipokryzycznego czy lizusowskiego komedianstwa. To wroga ceremonialnemu pajacowaniu uprzejmość, zwykła grzeczność między człowiekiem a człowiekiem. Gdy trzeba – ze szczyptą kurtuazji, pani Krystyno. Ten rodzaj dobrych manier, zanikający, budzi moją nostalgię. Mierzi mnie dzisiejszy zbrutalizowany świat.

– I to mówi kagiebiista, eks-kryminalista, filar brutalnego reżimu!

– Jeśli Żyd może być antysemitą, to czemu zbir nie może być estetą? Tamto pierwsze przydarza się częściej, drugie niezwykle rzadko, lecz się zdarza, w każdym gatunku istnieją albinosy.

– Wśród diabłów też?

– Pani redaktor, Mefistofeles był nie tylko geniuszem przebiegłości – był również arystokratą kultury i rozumu! Bez tego nie mógłby być triumfotorem w kontaktach z elitą intelektualną.

– Czyli z doktorem Johannesem Faustem, który go wymyślił. Przecież żaden Mefisto nie istniał, to twór literacki, panie pułkowniku.

– Jest pani pewna?

– Jestem po lekturach do późnej nocy. Zrobiłam się strasznie mądra w temacie: Mefistofeles.

– A w temacie: Faust? Przecież doktor Johann Faust żył. Urodził się Anno Domini 1480, i umarł sześćdziesiąt lat później. Zyskał renome wielkiego maga. Jego dzieło „Höllenzwang” zawiera informacje o Mefistofelesie jako o autentycznym Fausta współpracowniku.

– Większość tych konfabulacji, drogi panie, Faust wziął z wcześniejszych klechd ludowych. A jeśli mamy ufać tym klechdom, to czemu nie mielibyśmy ufać również późniejszym ludowym bajdom, które mówią, że zły duch towarzyszył Faustowi pod postacią czarnej suki, która go w końcu zagryzła?

– Mogło tak być. Grecka bogini zemsty, Hekate, przybierała postać

czarnej suki, pani Krysiu...

– Niech pan da spokój, pułkowniku, to bezsens!

– Nie może być bezsensowne coś, czym przez kilka wieków zajmowało się tylu poetów, tylu dramaturgów, tylu pisarzy! Szekspir, Marlowe, Weidmann, Lessing, Klinger, Muller, Goethe, Schöne, Heine, Grabbe, Lenau, Hoffmann, Moser, Yischer, plus jeszcze setka!

– I co z tego? Tu ilość nie przechodzi w autentyczność. To już prędzej Robin Hood był figurą autentyczną, bo nie był diabłem.

– A diabeł lub szatan to hipostaza, według pani?

– Podobnie jak anioł, pułkowniku.

– Trzeba kiepsko znać historię ludzkości, by nie dostrzegać ręki Lucyfera...

– To literacka, czy poetycka, czy teologiczna personifikacja Zła, nic więcej!

– Co z tych nocnych lektur najbardziej panią zainteresowało?

– Zdziwi się pan, pułkowniku: tłumaczenie imienia. W dramacie Marlowe'a jest...

– W „The Tragical History of Doctor Faustus”.

– Tak. Jest tam Mephistophilis, co tłumaczono jako „*lubiący zapachy mefityczne*”. Nie miałam pojęcia o „*zapachach mefitycznych*”. Sprawdziłam, i wiem już, że są to wonie działające szkodliwie na organizm, takie jak siarkowodór, kwas węglowy czy kwasy gnilne. Z kolei w dramacie Szekspira jest...

– „The Merry Wives of Windsor” – „Wesołe kumoszki z Windsoru”.

– Tak. Jest tam Mephostophilus, i tutaj tłumaczenie oparto na grece, twierdząc, że znaczy to: „*Nielubiący światła*”, „*Nieprzyjaciel światła*”.

– Czyli wróg Lucyfera.

– Dłaczego?

– Dlatego, że Lucyfer znaczy: „*Niosący światło*”, „*Roznosiciel światła*”.

- Nie wiedziałam o tym, pułkowniku.
- Czytałem trochę więcej niż pani, mam trochę więcej lat. Ale wróćmy do imienia Mefistofeles...
- Chciałam zapytać, które tłumaczenie tego imienia jest prawidłowe.
- Spośród tych dwóch, jakie pani wymieniła?
- Tak.
- Żadne. Analogicznych rozszyfrowań było mnóstwo, stek bredni. Imiona diabłów mają pochodzenie hebrajskie, trzeba więc stosować język hebrajski, nie zaś grekę, łacinę czy inne języki europejskiego Antyku. W hebrajskim Mefistofeles to „*Usta kłamstwa*”, lub „*Niszczyciel kłamliwy*”, bo „*mephir*” vel „*mephez*” znaczy: niszczyciel, a „*tophel*” znaczy: kłamca. Można jednak tę zbitkę dwóch hebrajskich wyrazów tłumaczyć odwrotnie, jako „*Niszczyciel kłamstwa*”, „*Niszczący kłamstwo*”.
- Pan wybrałby to ostatnie, pułkowniku?... A którą wizję literacką Mefistofelesa pan najbardziej lubi? I którego literackiego Fausta?
- Fausty były mi raczej obojętne, prócz pewnego Jankesa, Fredericka Schillera Fausta. Lubilem go jako młodociany czytelnik.
- Nie rozumiem...
- To był taki amerykański pisarz, który pod pseudonimami Baxter i Brand produkował opowieści z Dzikiego Zachodu. Uczniacy szaleli wtedy za westernową mitologią. Zbierałem tomiki Branda i Baxtera.
- A Mefistofeles?
- Najbardziej lubię wizję pióra Goethe’ego. Czytała pani „Fausta” Goethe’ego?
- Nie.
- A szkoda... U Goethe’ego Mefistofeles jest dowcipnym sceptykiem i prześmiewcą – zgrywusem, jajcarzem, według dzisiejszej terminologii... Kpi również z siebie. W chwilach szczerości zawęża swą rolę do roli kółka olbrzymiej maszyny

wszechświata. Faust zwie go mieszaniną „błota i płomieni”. A propos: mógł być z Polski rodem.

– Goethe tak napisał?

– Nie, pewien Polak, Michał Wiszniewski, napisał roku 1842 w swej „Historii literatury”, że doktor Faust pochodził z Krakowa. Jeśli taka była prawda, wówczas może i Mefisto był Krakusem...

– A pan skąd pochodzi, pułkowniku?

– Ze Lwowa. To było przed wojną polskie miasto, wielka metropolia, centrum polskiej kultury równie silne jak Warszawa, Kraków i Wilno... Dzisiaj Wilno jest litewskie, a Lwów ukraiński. Rzekomo od wieków. Historię zawsze można stworzyć na nowo... „Bałko” Stalin ukradł Polakom jedną trzecią ich ziem...

– Co pana cieszy.

– Dlaczego miałoby mnie cieszyć?

– Mówił pan, że nie lubi pan Polaków.

– Ale jeszcze bardziej nie lubię Kacapów.

– Kogo?

– Kacapów. Tak się dawniej w Polsce nazywało Rosjan.

– Jak długo był pan funkcjonariuszem KGB ?

– Z górą pół wieku. To się wprawdzie zwało NKWD, potem KGB. Dzisiaj FSB.

– Pół wieku pracy dla Rosjan, których pan nie lubi...

– Ale lubię zabawę, grę, hecę, pani Krystyno. KGB dawał większe pola rozrywki niż mogłaby dać jakakolwiek inna służba. I to na terenie przyfrontowym, bo tu leży granica ważniejsza od granic międzypaństwowych, granica międzycywilizacyjna, duża rzecz.

– Chyba znowu nie bardzo rozumiem, panie pułkowniku.

– Czytała pani tę nader modną ostatnio pracę Huntingtona, „Zderzenie cywilizacji”?

– Miałam w ręku, ale nie przeczytałam strona po stronie.

– Rzecz uchodzi za nowatorską, za odkrywczą, tymczasem wcale

taka nie jest, miała prekursorkę wiele lat temu. Analogiczny przypadek jak równie modna ostatnio „Śmierć Zachodu” Buchanana...

– Czytałam tę książkę.

– Lecz z pewnością nie czytała pani wcześniejszej o prawie sto lat książki Spenglera „Upadek Zachodu”. Buchananowi łatwo było pisać, bo istnieje już mnóstwo analogicznej treściowo eseistyki i publicystyki, podczas gdy dzieło Spenglera było quasi-prorocze. On przewidział, że Zachód musi upaść.

– Dlaczego musi?

– Dlatego, że cykl rozwoju każdej kultury kończy się dekadencją i śmiercią. Zwiastuny upadku są łatwo rozpoznawalne – to przejście od prostoty do luksusu, od ascetyzmu do hedonizmu, od harówki do nieróbstwa. Życie hedonistyczne – takie, jakie kulturowe dzisiaj Zachód – to korozja woli, siły, odporności, solidarności i braterstwa, pani Krystyno. To agonia danej cywilizacji. Lecz myśmy mieli mówić o cywilizacyjnym zderzeniu. Huntington rozpatruje nieuchronność międzycywilizacyjnych napięć, występując jako twórca tezy, tymczasem trzy czwarte wieku przed nim Polak Feliks Koneczny głosił już to samo. Swoim dziełem „O wielości cywilizacji” tłumaczył, iż różnica norm moralnych, kulturowych, religijnych, edukacyjnych, estetycznych, wszelkich – choćby drastycznie różne pojmowanie dobra i zła – wyklucza nie tylko bliskość duchową czy syntezę dwóch cywilizacji, lecz nawet pokojową koegzystencję między nimi. Dla Huntingtona dowodem jest obecna wrogość cywilizacji muzułmańskiej wobec cywilizacji Zachodu; dla Konecznego głównym przykładem była nienawiść między „cywilizacją turańską” a łacińską.

– Turańską?

– Takie miano Koneczny nadał cywilizacji prawosławnej, a więc rosyjskiej, uwypuklając jej charakter bandycki, czego dowodem

trwająca od wieków agresja skierowana przeciw Zachodowi, vulgo: przeciw Polakom, bo Polska była tarczą Zachodu. Zawsze na wschodniej rubieży polskich ziem przebiegała granica międzycywilizacyjna: tu kultura łacińska, a tam barbarzyńska despotia, dzicz. Przy takiej granicy zabawa ma więcej smaku. Teraz pani rozumie co mnie rajcowało?

– Kiedy zaczęło pana rajcować?

– Już w młodości.

– Czyli kiedy?

– Podczas Wojny Światowej.

– A co pan robił przedtem, pułkowniku?

– Dzieciństwo i wczesną młodość spędziłem we Lwowie, to były piękne czasy. Chociaż nie dla każdego. Dużo więcej było wówczas biedy niż dzisiaj. Gloryfikatorzy marszałka Piłsudskiego czy Bolka Długoszowskiego, wszyscy ci romantyczni chwalczy „sanacyjnej Polski”, nie mają bladego pojęcia jak rozległe były wówczas obszary straszliwej nędzy, zwłaszcza chłopskiej. Widziałem dużo tej biedy, lecz mnie ona nie tknęła, gdyż moja rodzina należała do zamożnych, żyliśmy bez kłopotów. Już jako uczniakowi nigdy nie brakowało mi gotówki, rodzice dawali mi solidne kieszonkowe. Ale nie wyrosłem na „*bananowego młodzieńca*”, czyli na utracjusza. Dzisiejsza młodzież z bogatych domów jest zupełnie inna, pani Krystyno. Jest demoralizowana leseferyzmem, ultratolerancją i telewizją, całkowicie nieprzygotowana do odpowiedzialnego życia i do pracy. Tym gówniarzom się wydaje, że pieniądze rosną na drzewach zwanych rodzicami, wystarczy łupić zgredów.

– Uogólnia pan.

– Mówię o „*złotej młodzieży*”, której jest milion razy więcej niż niegdyś było dzieci arystokratów i bankierów.

– Gdzie pan się uczył?

– Tam gdzie wszyscy. W szkole powszechnej, a później w

gimnazjalnej.

– Żydowskiej?

– Jakiej żydowskiej?! Pani redaktor!...

– Przepraszam, myślałam, że wtedy...

– Wtedy we Lwowie Polacy, Żydzi, spolszczeni Niemcy, spolszczeni Ukraińcy, Wołosi, Rosjanie, Ormianie chodzili do tych samych...

– Skąd tam Włosi, pułkowniku?

– Nie Włosi, lecz Wołosi, ludność południoworumuńska, częściowo mołdawska, nie było ich we Lwowie zbyt dużo. Żydów czy Ukraińców, nawet Ormian i Niemców, było więcej. Wszyscy chodzili do tych samych szkół, chyba że nie chcieli mówić po polsku. Oczywiście, były lepsze i gorsze szkoły, zwłaszcza gimnazja. Dla bogatszych były elitarne gimnazja. Pełno w nich uczyło się Żydów... Ja byłem Żydem z ojca, z nazwiska, ale moja matka była Polką, miała panięskie nazwisko Żendziakiewicz. Co nie znaczy, że moje żydostwo było połowiczne. Niby ważniejsze jest żydostwo z matki, a nie z ojca, pewnie wskutek reguły „*pater semper incertus*”¹¹, lecz matka mojej matki, czyli moja babka po kądzieli, była Żydówką. Ojciec dowcipkował, iż ja jestem „*Żydem na trzy czwarte*”. W mojej klasie gimnazjalnej było pięciu Żydów.

– A ile dziewcząt żydowskiego pochodzenia?

– W ogóle nie było tam dziewcząt, bo to było gimnazjum męskie! Koedukacja rozszalała się po wojnie i przyniosła równie fatalne skutki jak feminizacja zawodu nauczyciela.

– Znowu pan zaczyna, pułkowniku?

– Nie, ale jak wczoraj usłyszałem w telewizji o tej nauczycielce, która przez ćwierć wieku klaruje dzieciakom, iż Krzysztof Kolumb był polskim naukowcem i opłynął świat tysiąc lat temu, to...

– A belfrów równie głupich nie ma w szkołach?

¹¹ Ojciec zawsze nieznan, niepewny (łac)

– Chyba nie aż tak, pani Krysio... Zresztą coraz ich mniej w szkołach, męski belfer to zawód wymierający. Tymczasem wymrzeć powinna koedukacja. U was, w Stanach, coraz częściej się pisze o tym, bo coraz częściej badania naukowe tego dowodzą. Wbrew dawnemu głędzeniu lewicowych mędrków, i wbrew dzisiejszemu kłapaniu apostołów „poprawności politycznej” – mieszanie płci w szkole źle służy jakości kształcenia.

– Czytałam tyłko, że mieszanie ras źle temu służy.

– Mieszanie białych i czarnych dzieci owszem, to zaniża poziom kosztem białych, lecz Azjaci są bardzo zdolni, mieszanie białych i azjatyckich uczniów nie szkodzi nikomu.

– Zetknął się pan w szkole z antysemityzmem?

– Zetknąłem się z nim poza szkołą.

– Na ulicy?

– Nie, na ulicznicy... Miałem sympatię, gojkę, panienkę z pensji dla dziewcząt. Moja pierwsza miłość, szczeniacki romans.

– I była prostytutką?!

– Wtedy jeszcze nie. Odeszła, wołac innego szczeniaka, goja, który lepiej tańczył. To znaczy w ogóle tańczył, bo ja nigdy nie lubiłem tańczyć. Kilka lat później przyjechała do Warszawy i została prostytutką. Miała wśród alfonsów bezwstydną ksywkę rodem z mapy przemysłu niemieckiego: „Zagłębie rury”,

– A gdzie tu antysemityzm, panie Heldbaum?

– Wtedy, we Lwowie, kiedy mnie zdradziła, podszedłem do niej na deptaku, bo chciałem, żeby oddała mi akwarelowe farby, które stryj przywiózł dla mnie z Włoch. Towarzyszył jej ten nowy „absztyfikant”, tak się mówiło, pani Krysio. I on warknął: „– Spadaj, parchu!...”, a ona wybuchnęła śmiechem. To był właśnie antysemityzm.

– I przez to zaczął pan nie lubić Polaków?

– Nie, nie przez to. Przez teatr. Mój ojciec był krytykiem literackim i teatralnym. Chciał być literatem, czyli pisarzem i poetą, jednak nie

miał dość talentu. Mieszkaliśmy na Halickiem, w dzielnicy inteligencji, a nie na Żółkiewskim, które było dzielnicą żydowską. Na Halickiem roilo się od twórców, artystów, sama śmietana, co drugi Żyd. Wzajemna niechęć nie przebiegała tam rasowo, lecz branżowo, zdolnościowo, sukcesowo i honoraryjnie: zazdrościli sobie, podgryzali, obmawiali, jak to u parnasistów. Głównym wrogiem mojego ojca był pan Dutram, znany aktor, gwiazda scen lwowskich. Ojciec uważał go za beztalencie, a tamten uważał ojca za idiotę... Pewnego wieczoru, podczas uroczystej premiery „Ryszarda III” Szekspira, grający króla Dutram doszedł do tej legendarnej frazy: „– *Królestwo za konia!*”, i wówczas mój tatuś krzyknął z widowni: „– *Osiół panu nie wystarczy, panie D.?*”. Sala buchnęła śmiechem, lecz jeszcze większym śmiechem i huraganem braw nagrodziła gwiazdora, gdy ten odwinął: „– *Wystarczy! Włóż na scenę, Mośku!...*”. No i salony przylepiły Heldbaumowi przydomek „*Osietbaum*” vel „*Oślibaum*”. Umarł wskutek tej ksywki – dostał ataku sercowego. Wtedy zacząłem nie lubić Polaków.

– I co było później?

– Później, lecz jeszcze przed śmiercią ojca, studiowałem w Wiedniu, zaledwie rok, dwa semestry. Na wakacje wróciłem do Lwowa. Sierpień przyniósł zgon starego, a wrzesień wojnę. Z zachodu uderzyli Niemcy, ze wschodu Ruscy, i Polska była kaput.

– Co?

– Nie zna pani tego słowa?

– Nie.

– „Kaputt” to niemiecki wyraz oznaczający bankructwo, ruinę, zniszczenie. Przeszedł do polszczyzny jako „*kaputt*”, czyli klops, kłapa, klęska. Lwów zdobyli Rosjanie i zaczęli dręczyć każdego, kto nie był komunistą. Lub kto nie chciał lizać tyłka komunistom. Represjonowano zwłaszcza inteligentów i Żydów. Rozpoczęły się masowe wywózki do Kazachstanu i na Syberię. Ja, moja matka i

moja siostra trafiliśmy na Sybir. Obie tam zmarły, ja przeżyłem, uratował mnie alkohol. Zacząłem wtedy pić. Tam króluje wódka.

– Podobno w całej Rosji króluje wódka...

– To prawda, ale gdzie indziej ona zabija lub degeneruje, a Sybirakom nie wyrządza krzywdy, służy ich zdrowiu. Rosjanie mieszkający na dalekiej północy i na wschodzie Rosji to ciekawi ludzie, pani Krystyno. Nie uprawiają bananów ni pomidorów, i nie hodują świń, tylko łowią sobie zakąski. Piłują taflę jeziora, lub siekierami wycinają dziurę, rzucają do tej dziury linkę z haczykiem, i czekają. W międzyczasie piją. Czekają i piją. Po kilku godzinach raptownie wstają i wracają do domu, gdyż skończyła się wódka. Wracają wolno, drogą okrężną, przez drzwi przydrożnego baru, a później też bez pośpiechu, bo chociaż ich żony nie lubią zrzędzić, ale umieją bardzo wymownie patrzeć... Nie, nie zostałem alkoholikiem, jednak bywało, także później w kraju, że potrafiłem się solidnie schlać. Bez utraty przytomności. A gdy ktoś zarzucał mi nietrzeźwość, umiałem się zgrabnie odszczekiwać słowami mojego stryja. Stryj był malarzem, malował portrety lwowskich Patrycjuszów i baronów. Czasami przychodził do klienta wstawiony. I zdarzało się, że klient fukał: „– *Pan jest nietrzeźwy, mistrzu!*”. Wtedy stryj odpowiadał: „– *No pewnie. Ale pijak się prześpi i wytrzeźwieje, a dureń pozostanie durniem, panie radco*”. Teraz pijam tylko soczki, proszę mi nalać...

– Wiem już jak zaczął pan nie lubić Polaków, ale dużo bardziej mnie ciekawi jak zaczął pan nie lubić Żydów.

– To proste. Czołówkę kolaborantów uformowała we Lwowie żydowska inteligencja twórcza. A represjami i wywózkami dyrygowali komisarze polityczni Armii Czerwonej. Każdy oddział wojskowy miał komisarza. Prawie wszyscy oni byli Żydami, pani Krystyno.

– Dlaczego?

– To mnie wtedy dziwiło, natomiast nie dziwiło gojów. Później, po wojnie, gdy Stalin stworzył PRL, mianował szefem państwa swego agenta, enkawudzystę Bieruta, goja, lecz bezpieka, która terroryzowała tu społeczeństwo, składała się w dziewięćdziesięciu procentach z Żydów. Dzisiaj już można o tym pisać, ale każdy historyk czy publicysta, który napomyka o tym, momentalnie zostaje mianowany antysemitą. Za PRL-u cenzura nie puściłaby o tym ani słówka, tylko jednemu poecie, Rafałowi Wojaczkowi, udało się przemycić rymem kilka słów: „*Piach w nasze oczy, cały Synaj piasku, By nie powiedział kto, że widzi jasno*”. Polacy widzieli ten Synaj jasno, jednak mówić o nim każdy się bał. Prócz pewnego inwalidy, żebraka spod kościoła na Starym Mieście. Przechodnie słyszeli jego krzyk: „– *Lucyfer zwyciężył znowu!... O Panie, czemu zwyciężasz tylko w sercach, a na Ziemi ciągle zwycięża ten skurwysyn?!*”. Po paru dniach żebrak zniknął.

– Za sprawą pańskich kolegów?

– To oczywiste.

– Dla mnie bardziej oczywiste niż fakt, że pan się przyłączył do nich.

– Przyłączać się należy do zwycięzców, jeśli nie można ich pokonać, to stara mądrość. Ja wtedy zrozumiałem, że tutaj NKWD jest i będzie „*the only game in town*”¹².

– I dlatego, że chciał pan być „*najgorszy*”. Ale w istocie najgorszy był Stalin, więc pan mógł tylko zostać Mefistofelem w służbie Lucyfera. Stalin złośliwie dał Polakom żydowską bezpiekę, a pan chciał dzięki temu karmić własną złośliwość...

– Pani Krystyno, inna stara mądrość mówi, że człowiek złośliwy jest lepszy niż głupiec, bo złośliwiec czasami odpoczywa... Zdechłak też czasami musi odpocząć, więc dzisiaj urwiemy dyskurs. Kontynuować będziemy jutro. Może przeczytam do jutra jakiś pani

12 Jedyna gra w miasteczku (ang.). Przenośnie: główna siła, wiodąca formacja .

tekst, i jutro go pani zrecenzuję.

– Miłej lektury, panie pułkowniku.

– Miłych zakupów, pani redaktor.

– Dziś nie będę robiła zakupów. Też będę czytała, żeby nie baranieć zbyt często gdy pan mówi.

Sesja 4

- Dzień dobry, panie pułkowniku.
- Dzień dobry, pani Krystyno. Proszę siadać... Nie, proszę podejść do łóżka... Bliżej, bliżej!
- Czemu pan tak rusza nozdrzami, pułkowniku?
- Mówiłem już pani, że starość i agonia nie odebrały mi kilku zmysłów, wymieniłem wtedy słuch i wzrok. Powonienie mam również dobre.
- Ale czemu pan mnie tak wącha?... Czyżbym cuchnęła brzydko?
- Proszę się wystrzegać pleonazmów, inaczej pani polszczyzna będzie daleka od doskonałości. Spadać do dołu, wracać z powrotem, cuchnąć brzydko – wszystko to są niezręczne wyrażenia, bo nie można spadać do góry lub ładnie cuchnąć. Można ładnie pachnieć. Wczoraj wyczułem inne, a przedwczoraj jeszcze inne perfumy. Te dzisiejsze to?...
- „Shalimar”.
- A te wczorajsze?
- „Vétivier”.
- A te przedwczorajsze?
- „Jicky”.
- Ilu rodzajów perfum pani używa?
- Kilku, ale wszystkie one są jednej firmy – firmy „Guerlain”.
- Są według pani najlepsze?... Najskuteczniej podniecają samców? Bo jeśli się nie mylę – perfumy służą kobietom jako afrodyzjak dla mężczyzn...
- Zależy które.
- Od czego zależy?

– Od proporcji i od składu. Jeśli dać dużo składników afrodyzjakalnych, mogą to być wanilia, cybeta lub piżmo...

– Zna się pani na tym jak chemik!

– Mój ojczym był dyrektorem amerykańskiej filii „Guerlaina”. Dużo się nauczyłam od niego.

– I stąd wierność firmie „Guerlain”?

– Tak. Ale nie tylko dla sentymentalnej, również dla racjonalnej przyczyny. Dzisiaj prawie każda firma używa składników syntetycznych do produkcji perfum, a perfumy „Guerlaina” są ciągle, tak jak w XIX stuleciu, produkowane na bazie esencji naturalnych: ekstraktów kwiatowych, wyciągów owocowych, substancji zwierzęcych. Wiem o tym równie dużo co pan o KGB. Zaimponować panu?

– Koniecznie, pani Krystyno.

– Sama roślinność to Sezam woni. Każda cząstka rośliny daje skarb. Z kwiatów: jaśmin, żonkil, mimoza, wanilia. Z owoców: cedrat i bergamota. Z nasion: kolendra, ketmia piżmowa, gałka muszkatołowa, bób tonka. Z kłączy: irys, wetiweria, kozłek. Z liści i łodyg: bazylika, melisa, mięta, paczula, majeranek, oregano. Z drewna i kory: cynamon, brzoza, cedr, sandałowiec. Z żywicy: balsam peruwiański, mirra. „Guerlain” używa trzech tysięcy zapachów.

– Imponujące, pani redaktor!

– To wcale nie tak dużo, Chińczycy opisali dziesięć tysięcy zapachów.

– Fantastyczne!

– Jeśli to samo usłyszę o moich tekstach, panie pułkowniku...

– Usłyszysz pani. Są fantastyczne... Naprawdę znakomite. Przede wszystkim pod względem formy, bo z treścią bywa już ciut gorzej. Ale Oscar Wilde słusznie twierdził, że „prawda jest kwestią formy”, czyli stylu, więc nie musi się pani martwić, to się doskonale czyta.

Teksty, które się doskonale czyta, uwodzą czytelników bez względu na błędy merytoryczne autorów.

– O czym konkretnie pan mówi?

– O pani reportażu z ceremonii funeralnej Zastępcy Chrystusowego.

– Jakie są tam merytoryczne błędy?

– Wpierw spójrzmy na walory pani tekstu. Reportaży z tego pogrzebu było mnóstwo. Wszystkie nieomal identyczne, według jednej sztancy – ta sama płaska matryca dziennikarska. Tylko pani daje relację urzekającą, plus puentę dramatyczną, którą była metafizyka wiatru – ta święta księga na trumnie, kartkowana i zamknięta przez wiatr. Czysty mistycyzm, Boża obecność. I tak jak na bazie ekstraktów roślinnych powstają doskonale perfumy – tak na bazie tego reportażu mógłby powstać doskonały scenariusz filmowy. Ja tą właśnie kategorią oceniam zazwyczaj literaturę – czy można w oparciu o tekst literacki budować dobry scenariusz.

– Jakże tu ma znaczenie styl?

– Forma literacka to nie tylko styl. To również konstrukcja i logika wyводу.

– Przecież zarzucił mi pan błędy merytoryczne.

– Chodzi o błędy dotyczące ideologii papieskiej, wrócimy do nich. Mówiąc teraz o logice, mówię o żelaznej konsekwencji w montażu zdarzeń, faz czasowych, cytatów, dialogów et cetera. Widzę, że nie obejdzie się bez przykładu, pani Krystyno. Dam pani przykład scenariusza filmowego według powieści Agaty Christie. Oglądałem ten film tydzień temu. „Śmierć na Nilu”. Para kochanków dokonuje tam potrójnego morderstwa, planując pierwsze, a zarazem główne, w nieprawdopodobnie skomplikowany sposób. Mają trzy-cztery minuty, by dokonać tego, a realizacja planu wymaga precyzji wprost niesamowitej, i jeszcze większego szczęścia, gdyż wszystko musi się odbyć w ciasnocie stateczku, po którym bez przerwy kręci się

mnóstwo figur. Vulgo: planują zbrodnię wśród świadków, zakładając, iż jakimś cudem wszyscy towarzyszący im pasażerowie będą akurat odwrócenii lub chwilowo nieobecni. Jeden inny, niż planowany przez zbrodniarzy, ruch któregoś współpasażera, burzyłby całą tę misterną konstrukcję projektową. Lecz cud się zdarza: wszyscy postępują – ruszają się, wchodzą, wychodzą, znikają – akurat tak, co do sekundy, jak kombinował duet morderców. Słowem: kukielki dramatu grają precyzyjnie wedle oczekiwań zbrodniarzy, zachowując właściwe tempo, kolejność, et cetera. Jest to, z punktu widzenia logiki, czyli zdrowego rozsądku, rażący idiotyzm. Tego typu cudowności i niepodobieństwa mają prawo funkcjonować w bajkach, w „science-fiction”, w „fantasy”, lecz w realistycznym kryminale obrażają moją inteligencję, pani Krystyno.

– A jakie rzeczy dotyczące papieskiej doktryny w moim reportażu obrażyły pańską inteligencję?

– Bezmyślne powtarzanie przez panią tezy, która wszędzie jest klepana na okrągło – że Wojtyła był dogmatycznym konserwatystą, strażnikiem wiary i Pisma. To nieprawda – Wojtyła był pseudokonserwatystą. Chociaż nie uległ prezerwatywie, nie uległ pigułce, nie uległ aborcji i eutanazji oraz innym fetyszom „postępu” czy „wyzwolenia”, lecz uległ, zapewne podświadomie, głównej truciznie antychrześcijańskiej sączonej przez nowinkarzy, sekciarzy i amerykańskich pastorów-showmenów: że Bóg nie jest surowym sędzią, a piekło to tylko metafora. Lansował Boga jako dobrotliwego tatusia, wszechwybaczącego patrona o twarzy Wojtyły, reklamując bezwarunkowe miłosierdzie kosztem sprawiedliwego osądu, co jest w drastycznej sprzeczności z Pismem Świętym, starczy po nie sięgnąć. Wojtyła ocenzurował nie tylko „Stary Testament”, lecz i „Nowy”, przemilczając, vulgo: eliminując wszystko co tam można czytać o „bojaźni Bożej”, o nie wybaczeniu grzechów za brak skruchy i o mękach piekielnych dla zatwardziałców. Kupił tym sobie

tłumy fanów na całym świecie, i może nawet kanonizację, lecz ta zdrada Pisma Świętego nie zyskałaby aprobaty Jehowy i Chrystusa, gdyby oni istnieli, pani Krystyno. Hasło „*caritas maior iustitia*”¹³ to nic innego jak klucz otwierający służy bezkarnego grzechu. Bardzo niebezpieczna gra w takich czasach jak dzisiejsze – czasach kolczyka na obnażonym pępku, czasach pedalskich małżeństw, czasach hedonistycznego „*dolce vita*”¹⁴, które chcą mieć wszyscy.

– Czasy, gdy pan pracował dla KGB, były lepsze, panie Heldbaum? Zwłaszcza doba wczesnego PRL-u?

– To były straszliwe czasy. Ale nie jestem pewien czy to były gorsze czasy niż dzisiejsze czasy. Zamordyzm jest łatwiej przemijający i mniej trwale kaleczący jaźń ludzką niż publiczne wulgarne rozbuchanie erotyzmu.

– To demagogia!

– Nie, to koląca oko ludzkości prawda. Wtedy czasy były dla ludzi ciężkie, lecz dla ludzkości mniej groźne. Jako papierek lakmusowy wziąłbym tu... no właśnie papier. A jako hasło-klucz wziąłbym multiznaczeniowy termin „*dupa*”. Wtedy w ubeckich i w esbeckich katowniach niejednemu patriocie łojono dupę lagą lub pejczem gumowym, wymuszając przyznawanie się na papierze do wszystkiego czego chciała безпеka. Jednocześnie ówczesny papier toaletowy był dubeltowo „*do dupy*”, bo był do podcierania i był fatalny jakościowo. Dzisiaj nie ma tortur, papier toaletowy jest świetny, a chodniki ulic oraz wycieraczki szyb w wozach są pełne papierowych mini-ulotek „*agencji towarzyskich*”, czyli burdeli oferujących taniutką „*dupę*” każdemu, więc każde dziecko wracające ze szkoły kontempluje te pornograficzne papierki, które stają się dla dziatwy szkołą deprawacji absolutnej. Pytanie uzupełniające: co bardziej zabija, gumowy pejcz czy narkotyki? Pytanie główne: czy to są lepsze

13 Miłosierdzie ważniejsze od sprawiedliwości (łac)

14 Słodkie życie (włos.)

czasy, pani Krysiu?

– Pytanie jest inne: czy to, co pan teraz mówi, to tylko pusta błażenada, lub demagogia, lub może „rżnięcie głupa” wobec blondynki?

– Oooo! Widzę, że pani załapała już trochę slangu politycznego Trzeciej Rzeczypospolitej!

– Niech pan nie zmienia tematu!

– Nie kłóćmy się, pani Krystyno. Lepiej wróćmy do głównego tematu, czyli do mojego życiorysu.

– Okey. Ile czasu spędził pan na Syberii?

– Niecałe dwa lata. Kiedy Hitler zaatakował Rosję, polski rząd emigracyjny ułożył się ze Stalinem i w Rosji formowano polskie wojsko generała Andersa, zwalniając zesłańców jako rekrutów. Zwolniono mnie, lecz nie trafiłem do wojsk Andersa. Dużo później, w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, czasami bajerowałem frajerów, mówiąc, iż przeszedłem cały andersowski szlak i po wojnie wróciłem z Włoch do kraju, ale to nie była prawda. Nie chciałem zdobywać klasztoru Monte Cassino. Mundur, szereg, komendy bojowe, dyscyplina armijna – wszystko to uważałem za grę durniów. Żołnierka frontowa nie była moim powołaniem. Na froncie bitewnym hazard jest zbyt prymitywny: kiedy oberwiesz kulkę, dziś czy jutro? Nie chciałem w to grać.

– Wolał pan „*the only game in town*”, pułkowniku, już Pan to mówił. Gdzie i jak pana zwerbowano?

– W Moskwie, to był wrzesień 1942, pani Krysiu. Im się podobało, że młody człowiek zna kilka języków, potrzebowali takich ludzi.

– Już wtedy tyłoma językami pan władał?

– No! Łacinę i francuski znałem z gimnazjum, niemiecki z Wiednia, hebrajski i angielski z domu, rodzice najęli belfra prywatnego, a rosyjski z Sybiru.

– A włoski?

– Włoski od stryjka malarza, uwielbiał gadać po włosku. Mam predyspozycje językowe, szybko łapię.

– Kto pana zwerbował?

– Leon Andrzejewski, czyli Ajzen Lajb-Wolf. Bardzo ciekawa figura. Żyd z Zamojskiego, przedwojenny komunista, członek KPP, był nawet dygnitarzem KPP, sekretarzem tej partii w Łodzi.

– KPP to co takiego?

– Komunistyczna Partia Polski, sowiecka agentura w Polsce przedwojennej, dziewięćdziesiąt pięć procent Żydów. Andrzejewski był werbnikiem od dawna; razem z Bernardem Mendelbaumem, oficerem NKWD, werbował komunistów ze środowiska nauczycielskiego. Miał również bardzo dobre kontakty niemieckie w Berlinie, w Wiedniu, we Wrocławiu i na całym Śląsku. Już przed wojną pracował jako łącznik między NKWD a NSDAP i Gestapo. Po wybuchu wojny również, aż do 1944 roku.

– Zaraz, czy ja dobrze słyszę? Kontakty między Gestapo a NKWD w 1944 roku?!

– W tym roku to już szczątkowe, ale wcześniej, w 1942 i zwłaszcza w 1943, to były więcej niż kontakty – to była kooperacja.

– Przecież trwała wówczas wojna między Niemcami a Rosją, wojna na śmierć i życie!

– Uhm. Wojnę na śmierć i życie toczyli żołnierze frontowi, a tajne służby obu stron współpracowały w Polsce przeciwko polskiemu prawicowemu podziemi, zwalczając solidarnie Armię Krajową... Moskwa zrzuciła na teren okupowanej Polski swoich spadochroniarzy, i ci założyli tutaj PPR, Polską Partię Robotniczą, czyli lewicową konspirację antyniemiecką bolszewickiego chowu. Właściwie...

– Pan do niej należał?

– Gdybym do niej należał, to pewnie bym już wówczas w grobie leżał, bo tam wewnątrz porobiły się dwie frakcje, i oni się wzajemnie

wyrzynali. Pierwszym sekretarzem PPR był Marcei Nowotko. Towarzysza Nowotkę zastrzelili bracia Mołojcowie, towarzyszy Mołojców rąbnął towarzysz Janek Krasicki, towarzysza Krasickiego również wykończyli towarzysze, istny łańcuszek świętego Stalina. Dzięki temu bratobójstwu jedna po drugiej padały największe figury PPR – Małgosia Fornalska, Paweł Finder, „*e tutti quanti*”¹⁵. W Polsce Ludowej każdy spośród nich miał ulice i place, hołdowano ich jako superbohaterów zamordowanych przez „*reakcję londyńską*”, a o ich kontaktach z Gestapo mruknąć nie było można. W innych „Krajach Demokracji Ludowej” bawiono się identycznie. Największa ikona czeskiego ruchu oporu, działacz Komunistycznej Partii Czechosłowacji, Juliusz Fuczik, wzór dla kilku pokoleń czeskich pionierów i komsomolców – był agentem Gestapo. Przez kilkadziesiąt lat po wojnie Czechosłowacka Republika Ludowa gromko obchodziła każdą rocznicę jego „*męczeńskiej śmierci*”. A on sobie żył szczęśliwie w Paragwaju, bo z końcem wojny Niemcy ewakuowali swego pupila U-bootem za ocean, pani Krystyno. Mówiłem już pani, że historia ma duże poczucie humoru.

– Co dawała gestapowcom współpraca z enkawudzistami i z polskimi kukiełkami NKWD?

– Lepszą kontrolę nad AK, no i lepszą represję wobec AK. Formalnym celem utworzenia PPR była walka zbrojna przeciw Niemcom, lecz w praktyce partia zajmowała się głównie tępieniem Armii Krajowej. Przenikali do jej struktur, zdobywali listy członków AK, i wydawali gestapowcom. Bez pomocy PPR wężące Gestapo nie namierzyłoby tyłu drukarni i komórek AK, mimo że i Gestapo, i wojskowy wywiad hitlerowski, Abwehra, miały swoje wtyki w AK, i to na wysokim szczeblu.

– W kierownictwie Armii Krajowej ?!

– W ścisłym, wąskim kierownictwie, nie, lecz w wysokich kręgach

15 I wszyscy podobni (włos.)

okołokierowniczych. Zwłaszcza Abwehra miała tam konfidentów. Słyszała pani coś o abwehrowskiej „mapie AK”, zwanej też „topografią AK”?

– Nic.

– Widziało ją kilku aresztowanych polskich oficerów, których Abwehra chciała zwerbować nie do współpracy bieżącej, lecz do współpracy powojennej, po klęsce Hitlera – klęsce oczywistej już w 1943 roku. Dialog dwóch dżentelmenów, jak z filmu, pani Krystyno. Gabinet pułkownika Abwehry, gościem jest aresztowany pułkownik AK, brandy czy whisky?, cygaro czy pall mall?, i tak dalej. Polak odmawia mówiąc, że nie z nim te numery, nie będzie współpracował. Szwab się uśmiecha, daje akowcowi mapę Polski i pyta: „ – Czy czegoś tutaj brak, panie pułkowniku?”. Na mapie jest wrysowana cała struktura Armii Krajowej. Polak nie wie czy brakuje tu czegoś, bo zna tylko swój teren, swój okręg AK. W tym okręgu nie brakuje na mapie ani jednego schowka broni... Szwab gada dalej: „– Jak pan widzi, nie potrzebujemy od pana niczego. Nie potrzebujemy teraz. Hitler już przegrał wojnę, za rok będzie tu rządził Stalin. My zgłosimy się do pana za pięć lat, i wówczas pan spłaci dług”. Polak pyta: „– Jaki dług, komu?”. A Szwab: „– Mnie i sobie, obaj należymy do Europy. Jeśli podpisze mi pan zobowiązanie, dam panu uciec, odzyska pan wolność. Zgłosimy się za pięć lat i wtedy spłaci pan dług...”. Dialog Europejczyków, pani Krystyno.

– Chce mi pan powiedzieć, że służby Hitlera mogły zlikwidować AK w dwadzieścia cztery godziny?

– Właśnie to pani mówię.

– Więc dlaczego nie zrobiły tego?

– Bo „mapę AK” posiadała tylko Abwehra. Gestapo chętnie wycięłoby AK, lecz w 1943 roku Abwehra grała już przeciw Gestapo, przeciw Hitlerowi, za co zresztą rok później jej szef, admirał Canaris, zapłacił śmiercią na rzeźnickim haku, a sama Abwehra

likwidacją. Notabene Canaris już przed 1943 rokiem współpracował z wywiadem brytyjskim, łączniczką była tu kochanka Canarisa, Polka Halina Szymańska, żona polskiego oficera, sanacyjnego attache wojskowego Ambasady RP w Berlinie. We wszystkich tych grach, pani Krysiu, „*cherchez la femme*”¹⁶ zdaje się być elementem nieodzownym.

– Również we współpracy NKWD i Gestapo?

– Tak. Przykładem aresztowanie przez Gestapo generała Roweckiego, wodza Armii Krajowej. Gestapo nie potrafiło samo go namierzyć. Abwehra namierzyła, ale nie ruszyła i nie uruchomiła Gestapo. Gestapowcom pomogli agenci NKWD. Tutejsi historycy od kilkudziesięciu lat spierają się w kwestii: kto wydał „Grotę”? Hipotez jest kilkanaście, ciągle przybywają nowe, a faworytami są trzej zdrajcy: Kalkstein, Świerczewski i Blanka Kaczorowska, tylko że nie ma na to dowodów. Na nic nie ma tu twardych dowodów, są tylko przesłanki, plotki, insynuacje plus spekulacje. Konkurs hipotez. Ten konkurs wygrałaby Moskwa, gdyby zechciała wskazać Polakom, który agent NKWD dotarł do kochanki generała Roweckiego, pani Krysiu... Docieranie gdzie trzeba było specjalnością NKWD, a później KGB. Złote laury ta „*firma*” winna otrzymać już wtedy – za dotarcie, nie bez pomocy pięknych pań, do Martina Bormanna, prawej ręki Hitlera, i do Heinricha Müllera, szefa Gestapo.

– Pan chyba żartuje...

– Często żartuję, uwielbiam żartować, ale teraz mówię serio. Wiem, iż to brzmi jak przysłowiowa „*bajka o żelaznym wilku*”, lecz taka jest prawda: zastępca Hitlera i szef Gestapo byli sekretnymi kolaborantami NKWD. Co im się zresztą bardzo opłaciło. Wszystkich wodzów Wehrmachtu i wszystkich przywódców Trzeciej Rzeszy schwymano i skazano po klęsce Hitlera. Wszystkich,

¹⁶ „Szukajcie kobiety”, jeśli chcecie poznać prawdę o ukrytym mechanizmie i przebiegu zdarzeń (franc)

oprócz... tych dwóch – właśnie tych dwóch! Ci zniknęli bez śladu. Niech pani zgadnie jakim cudem...

– Chciałabym się napić...

– Alkoholu?

– Nie, chcę tylko przepłukać gardło.

– Ma tu pani czystą szklankę i sok. Ale może kawy?

– Nie, dziękuję, wystarczy sok.

– To co, wracamy do „*curriculum vitae*” Mieczysława Heldbauma?

– Tak, panie pułkowniku. Więc zwerbował pana ten Andrzejewski... Dlaczego właśnie on?

– Bo był werbownikiem, i dlatego, że znał mnie ze Lwowa. Kiedy ja tam wróciłem na wakacje po roku studiów wiedeńskich, i kiedy Lwów zajęli Rosjanie, on był fiszą, pracował dla nowych panów. Nie nosił jeszcze nazwiska Andrzejewski, tylko rodowe Ajzen Lajb-Wolf, vel Leon Ajzef. Spolszczył sobie nazwisko, kiedy w 1944 Rosjanie utworzyli komunistyczny polski rząd, PKWN, i zaczęli tworzyć RBP, Resort Bezpieczeństwa Publicznego. Ten resort miał też Wydział Ochrony Rządu, który powierzono Ajzenowi, lecz nie chciano, by szefował ktoś o takim nazwisku, więc właśnie wtedy Leon zmienił familijną godność. Kiedy później powstało Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego, MBP, został dyrektorem III Departamentu MBP i mnie tam zatrudnił. Ten departament zwalczał wszelkie konspiracje antykomunistyczne i tak zwany „*las*”, czyli partyzantkę kontrsowiecką... Oczywiście Andrzejewski był tylko szefem formalnym, no bo praktycznie, jak wszędzie, wodzem III Departamentu był sowiecki „*doradca*”, enkawudowski pułkownik Szaraburin. Formalnie układ hierarchiczny wyglądał następująco: Polacy– Żydzi– Rosjanie, a praktycznie tak: Rosjanie– Żydzi– Polacy, i to we wszystkich strukturach, od rządu, czyli od naczelnych władz państwa zaczynając .

– Wiem, Bierut był tylko marionetką Stalina.

– Ja nie o tym teraz mówię, pani Krysiu. Stalin był bogiem, antykomuniści przezywali go „Słoneczko”, bo tkwił nad wschodnią Europą niczym Słońce nad Ziemią, to wymiar nadpaństwowy, ja zaś mówię o wymiarze państwowym. Prezydentem sowieckiej Polski był Bolesław Bierut, lecz faktycznie rządził tą Polską Żyd, wicepremier Jakub Berman, partyjny nadzorca безпеki, który wszakże miał swojego pryncypała w Warszawie, generała NKWD, Iwana Aliksandrowicza Sierowa, późniejszego szefa KGB i GRU. Pomagierami Sierowa byli dwaj inni enkawudziści, generałowie Seliwanowskij i Lalin. Analogicznie sytuacja wyglądała w MBP: formalnym szefem resortu był goj, generał Stanisław Radkiewicz, lecz faktycznie resortem rządziła paczka Żydów: wiceminister Roman Romkowski, czyli Natan Grunspan-Kikiel, pułkownik Anatol Fejgin, pułkownik Józef Różański czyli Józio Goldberg, podpułkownik Józef Światło czyli Izaak Fleischfarb, plus jeszcze parunastu innych. Ale wszyscy oni musieli tańczyć do melodii granych w MBP przez enkawudzistów. Początkowo tym nadzorcą z ramienia NKWD był pułkownik Orechwa, vel Orechow, który miał przybocznych, Banulewicza, Wackiela, Orłowa i Bielowa, a później generałowie Lalin i Seliwanowskij, ważniejszy był ten pierwszy. Polski Żyd bezpieczniak musiał słuchać bezpieczniaka ruskiego.

– To zrozumiałe, jeśli prawdą jest co pan mówił o przedwojennych polskich komunistach pracujących dla NKWD: że dziewięćdziesiąt pięć procent wśród nich stanowili Żydzi.

– Czasami sto procent, pani Krysiu. Siedząc za biurkiem, jako urzędnik III Departamentu, otrzymywałem do weryfikacji różne sprawy z przeszłości, bo toczyły się gry wewnątrzpartyjne, chciano, między innymi, wykończyć Gomułkę, czyli towarzysza „Wiesława”. No i wpadły mi w ręce papiery sowieckiej gry o kryptonimie „Trojański Koń”. To było wysyłanie na Zachód całych rodzin, rzekomych emigrantów, wśród których znajdowali się agenci

NKWD. Mieli tam na Zachodzie osiadać, robić kariery, i później, zbudzeni z „uśpienia”, prowadzić działalność szpiegowską. W latach dwudziestych i trzydziestych polska komórka „Konia Trojańskiego” wyekspediowała tak prawie trzysta polskich rodzin. Każdy kierunek wysyłki miał swego szefa-koordynatora. Do Francji wysyłał Saul Amsterdam, do Hiszpanii – Łazarz Aronstein, Abram Rosenstein, Władysław Stein i Bernard Szapiro, do Wielkiej Brytanii – Izrael Geist, do Argentyny – Pinkus Pinc, do Finlandii i do Włoch – Zofia Unszlicht, do Kanady – Adam Kaufman, do Szwecji – Ludwik Rosenberg, do kolonii francuskich – Bernard Zaks vel Sachs, et cetera.

– Ma pan fenomenalną pamięć, pułkowniku...

– Długo studiowałem te archiwalne raporty, i rzeczywiście mam „komputerową pamięć”, jak to dziś mówią, lecz minęło już tyle lat... Pamiętam, że do kolonii brytyjskich wysyłał Rosenzweig, a do kolonii niemieckich Deutscher, lecz imion obydwu już nie pomnę, nie da rady.

– Wymienił pan jedną kobietę, Zofię Unszlicht...

– To była znana rodzina całkowicie bolszewickich komunistów. Jej brat Józef został członkiem zmontowanego przez Moskwę rządu Polskiej Republiki Rad, gdy armie Tuchaczewskiego i Budionnego szły na Warszawę w 1920.

– Nie o to mi chodziło, panie pułkowniku! Procentowy udział Żydów już znam, a jaki był udział kobiet?

– W MBP?

– Tak.

– Znikomy, lecz ważny.

– I Żydówki również stanowiły większość?

– Uhhh. Niektóre dobrze pamiętam... jak choćby Basię Giller, czyli Baszę Lee... i Helenkę Altenbergową, czyli Chaję Altenbergową. Obie pracowały długo w MBP, ta druga miała nawet stopień

oficerski, ale ich rola była tuzinkowa.

– Przed chwilą mówił pan, że ich udział był ważny...

– Ze względu na Julkę Bristigier, królową MBP. Ona trzęsła całym tym resortem, bardziej niż Berman. Formalnie kierowała tylko V Departamentem, departamentem do zwalczania zagranicznej dywersji w partii, w administracji i we władzach rządowych, lecz kiedy chciała, to przejmowała kompetencje każdego departamentu. Pani pułkownik bali się wszyscy prócz generała Iwana Sierowa, jej kochanka, ale chwilowego, bo to był ogier ciągle zmieniający klacze. Miał więcej bab niż regiment huzarów. Bristigierowa zresztą nie była gorsza w tej konkurencji, była nimfomanką, rznąła się z wieloma. Z Mincem, z Bermanem, z Szyrem, który przez jakiś czas był jej mężem...

– Z Bierutem też, pułkowniku?

– Chyba tak. Czy pani uwierzy, że potrafiła przy świadkach rugać Bieruta niczym gnoja, i on się kulił? Taką miała silną pozycję w NKWD! Dzięki temu V Departament jako jedyna komórka MBP nie posiadał sowieckiego „doradcy”, nie było trzeba. Znam tylko dwóch ludzi, którzy ośmielili się nazwać Julkę kurwą. Jednym był Goldberg-Różański, ale zrobił to po cichu, a drugim Fleischfarb-Światło, i dlatego musiał spieprzać, uciekł do Stanów. Ta baba to była czysta kobiecość! Nigdy nie chodziła w mundurze, nosiła super kiecki, malowała się, perfumowała, pindrzyła, grała seksbombę, a tajny lokal V Departamentu, na Saskiej Kępie, służył jej podobno do urządzania orgii.

– Pan też był jej kochankiem, pułkowniku?

– A fe! Pani Krystyno, nie wypada...

– Dziennikarzowi wszystko wypada.

– Dziennikarce również?

– Również.

– Ale dżentelmenowi nie wypada mówić o swoim intymnym życiu.

O kagiebowski – proszę bardzo.

– Niech pan się nie obrazi, lecz dżentelmen w KGB...

– Słyszała pani o francuskim „*dżentelmenie włamywaczu*”, Arsenie Lupin, i o brytyjskim dżentelmenie z Intelligence Service, Jamesie Bondzie, pani Krystyno?

– To literackie figury.

– Zupełnie jak ja. Zrozumie to pani, kiedy wreszcie opowiem jak z za biurka wskoczyłem z radością do rynsztoka, całkiem po literacku. Notabene – Julka Bristigier też była figurą literacką, nawet pisarką. Gdy już odeszła z resortu, w 1956, zajęła się pisaniem. Pod pseudonimem Julia Prajs wydała powieść „Krzywe litery” i dwa tomy opowiadań. Miała pióro! Ryła diablo inteligentna – chyba najinteligentniejsza spośród wszystkich pracowników bezpieczeństwa. Studiowała historię, doktorat zrobiła z filozofii, zawsze ciągnęło ją do inteligentów. Nie tyle werbowwała, ile obłaskawiała inteligentów, żeby zdobyć ich przychyłność dla nowej władzy. Pomagała jej w tym koleżanka-pisarka, też Żydówka, Izabela Czajka-Stachowicz, prowadząc salon, gdzie zbierali się twórcy i artyści, by się puszyć, mądrzyć i sycić swym statusem olimpijczyków. Mało kto wie, że to właśnie pułkownik Bristigier była cichą mamą Klubu Krzywego Koła – pierwszego za komuny forum dyskusyjnego dla inteligentów oraz intelektualistów. Pani rozróżnia oba terminy, pani Krystyno?

– Niezbyt.

– Trudno się dziwić, dorastała pani na Zachodzie, a tam nie funkcjonuje taki bełkot.

– Słowo „intelektualiści” funkcjonuje tam.

– Ale nie słowo „inteligenci”. Intelektualiści to myśliciele, tutaj zresztą również używa się owego terminu wobec dużych mózgów. Jednak tam wszelkie zawody twórcze tytułuje się branżowo: pisarze, dziennikarze, malarze, filozofowie, scenarzyści, reżyserzy, aktorzy, et cetera. A u nas wrzuca się wszystkich do jednego worka

„inteligentów”, który za komuny nosił oficjalne miano „*inteligencji pracującej*”. To ruski wynalazek – jedyny, pani Krysiu. Wszystko inne, wszystkie pozostałe swoje produkty – zegarek, samolot, samochód, żarówkę, aparat – Ruski zerznęły od „*imperialistów zachodnich*”. Te ruskie produkty notorycznie się wykpiwało, gdyż sowiecka propaganda bezczelnie głosiła, że są najlepsze. „– *Radzieckie zegarki są najszybsze!*” – drwiono w tym stylu. „– *Kto wynalazł mydło?*”. Odpowiedź: „– *Dwóch radzieckich uczonych – Brudów i Niemytow*”. Jedynym...

– Słyszałam, że za takie dowcipy wędrowało się wtedy do aresztu.

– Czasami to nawet do piachu, za „*szeptankę*”. Do piachu, kiedy przyłapano mundurowego. A niejeden cywil spędził w pierdlu za „*szeptankę*” kilka lat. Lecz nigdy nie przestano kpić sobie z rzekomych ruskich wynalazków. Jedynym autentycznym wynalazkiem Rosjan była owa kasta – po ichniemu „*klasa społeczna*” – tak sztuczna, że nawet jej nazwa, „*inteligencja*”, jest czytelna tylko w „*Krajach Demokracji Ludowej*”, a poza tym nieprzekładalna, vulgo: nierozumiana przez resztę globu. Wszędzie bowiem słowo „*inteligencja*” oznacza walory umysłowe jednostki, zdolności intelektualne danego człowieka, a pojęcie czy zjawisko inteligencji zbiorowej nie istnieje – nie ma inteligencji plemion, narodów, ras czy klas. Tymczasem w państwach komunistycznych termin ów dostał nowe znaczenie, równoznaczne z takimi pojęciami jak: mieszczaństwo, proletariat, rzemieślnicy, marynarze czy arystokracja. Gdyby ktoś chciał, szukając definicji wyróżniającej, odwołać się do pięknego łacińskiego terminu „*artes liberales*”... Wie pani co znaczy ów termin?

– Nie, pułkowniku.

– Oznaczał pracę niewymagającą wysiłku fizycznego, tylko mentalnego, tudzież wszelkie umiejętności twórcze, dla których rola mózgu, rola duchowego talentu, jest ważniejsza niż praca mięśni.

Lecz każdy, kto chciałby się do wspomnianego terminu odwołać, wpadałby w pułapkę, bo na przykład biurokracji, również partyjnej, nie zwano „*inteligencją pracującą*”, chociaż rękami się tylko podcierała i onanizowała. Zwykła biurokracja to byli „*urzędnicy*”, a biurokracja partyjna wyższego szczebla to był „*aparatus*”, zwany też „*nomenklaturą*”. Nigdy „*inteligencją pracującą*”. Vulgo: Bierut nigdy nie zaliczał się do „*inteligencji*”, a Bristigierowa, chociaż filozofka z wykształcenia, intelektualistka pełną gębą – zaczęła być „*pracującym inteligentem*” dopiero wówczas, kiedy wylano ją z MBP na fali gomulłowskiej „*odwilży*” i musiała pisać książki.

– Ile miała wtedy lat?

– Około pięćdziesięciu, plus minus. Ale trzymała się znakomicie, pod względem fizycznym, bo pod względem środowiskowym była już spalona, nie dano jej rej wodzić w warszawskim salonie „*pracujących inteligentów*”, który stymulowała przez całą pierwszą dekadę powojenną. Mimo książek – nie przyjęto jej nawet do ZLP, Związku Literatów Polskich. To była taka mała zemsta środowiska twórczego za to, że dali się skurwić prawie bez wyjątku. A dali się skurwić jak każda prostytutka – forszą. Dzisiaj mówi się: „*kasą*”, ten nowy żargon jest dla takich staruchów jak ja drażniący. Dawniej produkty sprzedawano, a teraz one „*schodzą*”, pani Krysiu. Dziewczyna to „*laska*”, gdy seks oralny to „*robić laskę*” facetowi – horrendum !... Lecz wróćmy do „*inteligencji pracującej*”. Rzeczona „*inteligencja*”, za wierną służbę komunistom, inkasowała od nich dużo przywilejów i nagród, a swoje skurwienie odreagowywała nocnymi dysputami, podczas których przenikliwie nicowała wszystkie zagadki bytu i zbawiała ludzkość. Te całonocne transcendentno-alkoholowe „*konspiracje*” miały analogiczny charakter we wszystkich krajach należących do bloku sowieckiego, i prócz języka różniły się wyłącznie tym co dźwigał blat stołu. W ZSRR był to spirytus pod talerz z ogórkami, w Polsce wódka lub

wino pod baleron, śledzia ze śmietaną oraz cebulką, sernik i „anchois”, w Czechosłowacji piwo i knedliczki, w Bułgarii nalewka plus papryka, i tak dalej. Kiedy po kilkudziesięciu latach komunizm, z przyczyn gospodarczych, runął – ci członkowie elity, którzy dożyli tego, zostali gronem „moralnych autorytetów”, uczących resztę społeczeństwa jak należy godnie żyć i co to jest honor. Wciąż opowiadam pani jaką satyryczką-figlarką bywa historia. To są wszystko jej kawały...

– A propos kawałów... Uraczył mnie pan wcześniej tym kagiebowskim, o funkcjonariuszce pracującej za pomocą krzesła... Czy w MBP też były takie damy?

– Taką damą była królowa MBP.

– Doktor filozofii, pułkownik Bristigierowa?!

– Ummm. Męskie jądra były jej specjalnością... Przesłuchiwanym rozbięła do golasa i waliła szpicrutą po jądrach, a gdy to nie skutkowało – miażdżyła im jądra w szufladzie.

– Wszystkich przesłuchiwanym?!

– Nie wszystkich, i nie od razu. To byli członkowie AK, głównie oficerowie AK. Najpierw zmięczano ich „psychologicznie”, i tu bardzo efektywny był zastępca Bristigierowej, major Wendrowski, który przeszedł do bezpieki z AK. Opornych lano, ale też nie wszystkich natychmiast, bo z co przystojniejszymi Julka lubiła się najpierw zmierzyć łóżkowo, i dopiero później ich wykańczała, wzorem modliszki... Gnębiąc akowców, realizowała operację „Czulent”. Wie pani co to jest czulent?

– Nie, panie pułkowniku. Chyba jakaś potrawa...

– Potrawa żydowska. Zapiekanka szabasowa z mięsa wołowego, kartofli, fasoli i kaszy perłowej, dodaje się przyprawy i czasami też śliwki albo gęsie szyjki. W szabas nie można rozpalać ognia i gotować, więc robi się ją w piątkowe popołudnie i na całą noc zostawia wewnątrz pieców. Operację „Czulent”, vulgo: katowanie

polskich patriotów rękami Żydów, wymyślił sam „bat’ko” Stalin, chcąc wzbudzić wrogość Polaków do Żydów. Również tak zwany „pogrom kielecki” organizowało NKWD. Jest on dla Żydów koronnym dowodem antysemityzmu katolików polskich. O, byłbym zapomniał! Pani pułkownik Bristigierowa przed śmiercią przyjęła katolicyzm, ochrzciła się.

– Nie do wiary!

– Dlaczego? To się często zdarza u Żydów. Legendarny „bard «Solidarności»”, Jacek Kaczmarski, który w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych przypomniał sobie, że jest Żydem i pluł ile wlezie na „polski antysemityzm” oraz na gojów jako gojów – tuż przed śmiercią został katolikiem, ku zaskoczeniu swoich pobratymców. Ale Bristigierowa to casus dużo ciekawszy, bo to ona w 1947, podczas odprawy kierownictwa MBP, przedstawiła referat z propozycją dławienia religii i sekowania kleru. Fascynująca kobieta! Czysta kobiecość! Każda kobieta chciałaby robić to samo.

– Nonsens, panie pułkowniku, ja bym nie chciała... Nie chciałabym również sypiać z każdym, zwłaszcza z nieznanymi mężczyznami, choć czytałam, że według seksuologów wszystkie baby o tym marzą.

– Pani Krysiu, już bardzo dawno temu francuska pisarka, Marguerite Duras, twierdziła, że wszystkie baby marzą o tym. Duras nie była seksuologiem, była kobietą.

– Ja też jestem kobietą, a nie marzę o tym, pułkowniku!

– Cóż, we wszystkich grupach społecznych, politycznych, płciowych istnieje mniejszość...

– Baaardzo dowcipne! Pan rzeczywiście lubi „robić sobie jaja”! Mieliście tam w bezpiecie pseudonimy?

– Niektórzy tak. Partyjne, na przykład Andrzejewski miał partyjne ksywki „Franek” i „Stefek”, lub zadaniowe, w terenie, podczas sekretnych misji, taką ksywkę, „Zygmunt”, miał Wendrowski, as III Departamentu.

– A pan miał ksywkę „Jajcarz”?

– Nie, pani redaktor. Julka Bristigier miała w swym życiu aż cztery pseudonimy: „Daria”, „Maria”, „Ksenia” i „Luna”... Najbardziej upodobała sobie tę „Lunę” – tak się do niej przywiązała, że wreszcie zaczęła jej używać jako imienia wielu znało panią pułkownik jako Lunę Bristigierową. Myślę, że upodobała sobie właśnie tę ksywkę, bo „luna” to księżyc a księżyc jest według astrologów symbolem kobiecości. Widocznie nikt jej nie powiedział, że już dla starożytnych i dla średniowiecznych astrologów księżyc był dubeltowym symbolem: symbolizował głupotę i kobiecość. Hieronim Bosch, malując sławną „Łódź głupców”, ukazał sierp księżycy na proporczyku łodzi. Biblijny Eklezjastyk powiada, że kobieta jest durna, bo *„odmienia się jako księżyc”*.

– Bardzo pan miły, pułkowniku.

– Dla blondynek zawsze, pani Krystyno.

– Mam dosyć na dziś, żegnam!

– Gdybym nie leżał jak zwalony snopek, mógłbym powiedzieć, iż nisko się kłaniam. See You later, my lady¹⁷.

17 Do zobaczenia, moja pani (ang.)

Sesja 5

- Dzień dobry panu.
- Dzień dobry, pani Krysiu, i przepraszam.
- Za co?
- Za wczoraj, I'm terribly sorry, and I beg Your pardon¹⁸. To i starcza żółć, i chorobowa żółć...
- W porządku, panie pułkowniku, przyjmuję przeprosiny. Od czego zaczniemy? Rytualnie od recenzowania?
- Tak, lecz nie od recenzowania pani tekstów, tylko naszych rozmów. Wysłuchałem tych nagrań...
- I co?
- I widzę, że Szeherazadą jestem ja, a nie pani. Właściwie gadam tylko ja, pani mówi bardzo niewiele.
- Bo to jest wywiad z panem, a nie ze mną, panie pułkowniku! Uczono mnie, że dobry dziennikarz prowadząc „interview” pyta krótko i wcina się tylko gdy trzeba, a źli dziennikarze gadają dużo, by się popisać erudycją przed czytelnikami. Zauważyłam, że niestety polscy dziennikarze robiąc wywiad plotą więcej niż rozmówcy. To błąd warsztatowy, który u nas nie dostałby zgody kierownika działu.
- Ale zawarliśmy pakt o wzajemnym rozbawianiu interlokutora, tymczasem ja nie jestem rozbawiany, dziewięćdziesiąt procent nagrań to mój słowotok.
- A o czym ja mam mówić, panie pułkowniku?
- O czymkolwiek. O swojej pierwszej miłości.
- Nie będę mówiła o żadnej swojej miłości.
- No to o swoim facecie.

18 Jest mi strasznie przykro, proszę o wybaczenie (ang.)

- Nie, pułkownik!
- No to... jakie filmy pani lubi?
- Dobrze.
- Niech pani da przykład.
- „Co się zdarzyło w Madison County”.
- Rzeczywiście, to dobry film. A jaką grupę wokalną pani preferuje?
- „Dire Straits” i „Vaya con Dios”.
- A piosenkarza?
- Leonarda Cohena.
- A piosenkarkę?
- Teresę Salgueiro.
- Nie znam. To jakieś latynoskie rytmy?
- Portugalskie. Ona jest solistką zespołu „Madredeus”.
- Co to za muzyka?
- „Fado”. Portugalska muzyka ludowa, chociaż nie wiejska, raczej miejska, pełna nostalgii, tęsknoty...
- Czyli kobiecości?
- W dużym stopniu.
- À propos nostalgii... Tęskni pani do dzieciństwa?
- Nie.
- Tak źle było?
- Było jakie było.
- Przecież dzieciństwo to prezenty, zabawki, baśnie! Jakie baśnie pani lubiła?
- Brzydkie. Baśnie braci Grimm.
- Fakt, nie są humanitarne. Pełne trumien, zwłok, odciętych głów, przekłutych oczu, palonych żywcem winowajców, nordycka jatka. Dlaczego akurat to panią rajcowało?
- Właśnie dlatego, z powodu karanych winowajców. Żli czarownicy i złe czarownice, zbóje i wszelkie łotry nie unikały tam

okrutnej kary.

– Więc domyślałam się, że „Hrabia Monte Christo” to pani ulubiona książka.

– Nie czytałam tego, pułkownika... Widziałam tylko film z Richardem Chamberlainem, taki sobie.

– Nareszcie powiedziała mi pani coś ciekawego... Syndrom zemsty u nieletniej dziewczynki!... Z pewnością miał jakiś powód.

– Miał. Mój ojciec...

– Ten Norweg?

– Tak. Był związkowcem, a wtedy związkami zawodowymi dyrygowała mafia... Znalezione go powieszono, lecz, wbrew gadaniu gliniarzy i koronerów, on się sam nie powiesił. Chciałam, żeby tych drani spotkał los złych czarowników, żeby spłonęli żywcem.

– Rozumiem... Odwet jest jak seks, to prasiła. Ale wyzwala najgorsze instynkty.

– Z ust matki usłyszałam to samo.

– Ja widziałem to niejeden raz. Za okupacji i po okupacji. Wszyscy się tu mścili bez ustanku. Akowcy na gestapowcach, gestapowcy na akowcach, komuniści też na akowcach, i vice versa, diabelski kocioł. Kągiebiści bez przerwy ścigali swoich zdrajców, dopadali ich wszędzie, również za oceanem – zemsta to był rytuał NKWD, KGB i GRU. Stalin dopadł Trockiego aż w Meksyku – to była najgłośniejsza zemsta osobista „Przywódcy światowego proletariatu”, który zresztą mścił się bez przerwy, mordując starych leninowców i czołowych generałów armii sowieckiej. Bucharin, Zinowiew, Tuchaczewski i inni. Za okupacji niemieckiej najbardziej dramatyczną, choć mało znaną, była zemsta Horodyńskiego, pokłosie „rozstrzelanego dworu” alias „krwawego wesela”. Słyszała pani o tym?

– Nie, pułkownika.

– Horodyńscy to wiekowa familia szlachecka oraz majątek

Zbydniów pomiędzy Sandomierzem a Stalową Wolą. Za okupacji sąsiedował z Horodyńskimi Niemiec Fuldner, właściciel majątku w Charzowicach czy Chorzewicach, który Szwabym odebrały hrabiemu Lubomirskiemu. Pragnął capnąć i Zbydniów, więc naślął tam oddział SS. Przypadkowo tego akurat dnia w Zbydniowie było wesele. Esesmani rozwalili dziewiętnastu weselników, również dwójkę dzieci, ocaleli tylko Zbigniew i Andrzej Horodyńscy, bo zdążyli się schować na strychu, pod podłogą. To był 1943 rok, czerwiec. Kilka miesięcy później Zbigniew, członek AK, przyjechał wraz z kumplami do Charzowic. Byli ubrani w esesmańskie mundury, więc ich nie zatrzymywano. Rozwalili całą rodzinę Fuldnerów, nie oszczędzając żony i małego dziecka. Ta zabawa nazywa się po testamentowemu „oko za oko, krew za krew”. Każda wojna to są takie gry.

– Kiedy pan pracował w MBP, wojny już nie było.

– Ależ była, pani Krysiu, równie okrutna. Nosiła miano „wojny domowej”.

– Pani pułkownik B. tłukła przesłuchiwanym po jądrach, a pan które części ciała walił?

– Nikogo nie przesłuchiwałem, nikogo też nie uderzyłem, pani Krystyno. Z biciem miały czasami kontakt jedynie moje uszy – dobiegał skowyt aresztantów.

– Katowanych akowców?

– Nie tylko akowców. Także eneszetowców i winowców.

– Kto to był?

– Żołnierze plus oficerowie „band leśnych”. Partyzanci Narodowych Sił Zbrojnych, czyli NSZ-u, tudzież konspiracji pod nazwą Wolność i Niezawisłość, czyli chłopcy z WiN-u.

– Jeśli pan nie bił, nie torturował, nie katował, to dlaczego określa się pan mianem „najgorszy”?

– Bo ja robiłem rzeczy gorsze od bicia, pani Krystyno. Siedziałem

za biurkiem.

– Wydawał pan rozkazy katowania?

– Nie ta ranga, pani Krysiu. Ja cyzelowałem gry łowieckie koncyptowane przez zwierzchników, miałem duży udział w głównej grze bezpieczeństwa, noszącej kryptonim „Cezary”. Wątpię czy pani o niej słyszała.

– Dobrze pan wątpi, pułkowniku.

– To była superprovokacja, utworzenie fałszywej konspiracji antyreżimowej. Takie zabawy robi się od dawien dawna, od Starożytności, dla wyłapywania wrogów i dla dezinformowania przeciwnika, którego nie można osiągnąć. W tym przypadku robiliśmy frajerów z Anglików i z Amerykanów. Już Czeka, poprzedniczka NKWD, stworzyła fałszywą konspirację antybolszewicką Trust, dzięki której dorwała wielu brytyjskich emisariuszy. To samo robili Niemcy. Podczas okupacji wydawali, rękami swojego agenta, Stefana Majchrzaka, „konspiracyjną”, „antyniemiecką” gazetę „Sprawy Polskie”, a w Warszawie założyli organizację „niepodległościową” Nadwywiad, która werbowała patriotów. Myśliwi zwą to wnykami, pani Krysiu.

– Uczciwi zwą to brudami, panie Heldbaum.

– Wszystkie gry wszelkich bezpiek, czy mistyfikacje tajnych służb całego świata, są zawsze brudem, pani redaktor. Departament Tajnych Operacji w Dyrektoriacie Planowania CIA nosił, i chyba dalej nosi, przezwisko: „Department of Dirty Tricks”¹⁹. Dlaczego NKWD, KGB, MBP czy Gestapo miałyby pracować wedle przykazań Dekalogu? „Ciel uświęca środki”. Notabene, tak mówiono już w Antyku, tego wcale nie napisał Machiavelli, jak zazwyczaj plotą dziennikarze. Bez wątpienia w Antyku greckim, a głowę daję, że i w Babilonie i w starożytnym Egipcie również, pani Krystyno.

– To pańska ulubiona dewiza?

¹⁹ Departament Brudnych Sztuczek (ang.)

– Nie. Moja ulubiona dewiza to: „*Pecunia non olet*”²⁰. Dlatego później uciekłem z biurka w złoty rynsztok. Debiutowałem w nim już podczas okupacji. Wtedy złote dolarówki były lepszym kluczem niż terror czy szantaż, co umieli wykorzystać i Germanie, i Rosjanie. Jak mówił Aleksander Wielki: „*Nie ma takiej fortecy, która by się oparła dźwigającemu worek złota osłu*”. Żadna polska organizacja podziemna nie oparła się penetracji ze strony NKWD i Gestapo, a zdrajców, czyli konfidentów, kaptowano nie tylko stosowaniem gróźb, lecz i płaceniem. Z tym, że na terenach Generalnego Gubernatorstwa władzę wykonawczą miało Gestapo, bo rządziły tu Szwaby, więc NKWD był cichym kooperantem Gestapo, gwoli eksterminacji patriotycznego podziemia.

– Już pan o tym mówił, pułkowniku.

– Ale bez smacznych detali, a teraz dam piękny przykład. Słyszała pani o konspiracji Miecz i Pług?

– Nie.

– Tę antyniemiecką organizację wojskową założyli tuż po wrześniu 1939 działacze chrześcijańsko-narodowi. Gestapo rozbiło ją już w 1940, ale rok później się odrodziła i zaczęła wchłaniać inne grupy konspiracyjne. Było ich wtedy mnóstwo, nim w ramach tak zwanej „*akcji scaleniowej*” nie przystąpiły do AK. Miecz i Pług wchłonął Gryfa Pomorskiego, Komendę Obrońców Polski, Wilków, Konfederację Narodu na Podlasiu i Zbrojne Pogotowie Narodu. To było łącznie prawie trzydzieści tysięcy ludzi, znaczna siła. Mieli wywiad kontrniemiecki i kontrsovietcki, siatka wywiadowcza ich Okręgu Pomorskiego zdobyła informacje o szwabskim ośrodku doświadczalnym w Peenemünde, produkującym rakiety V-1, dzięki czemu angielskie lotnictwo mogło go zbombardować. W 1943 roku Sowietom udało się wprowadzić do sztabu Miecza i Pługa swojego agenta, Bogusława Hrynkiewicza, przedwojennego komunistę z

²⁰ Pieniądze nie śmierdzą (łac.)

Łomży. Wówczas organizacją kierowali Anatol Słowikowski i Mikołaj Grad. Hrynkiewicz wykończył obu, podrzucając „defensywie” Armii Krajowej fałszywe dowody ich współpracy z Gestapo. Obu rozwalono, i Hrynkiewicz został samodzielnym wodzem Miecza i Pługa. Nad sobą miał tylko speckomandira Polskiej Sekcji wywiadu NKWD, pułkownika Szklarenkę. Głównym zadaniem Hrynkiewiczza była kontrakowska współpraca z Gestapo. Informacje przekazywał funkcjonariuszowi Gestapo, Ritterowi, który również był zasłużonym agentem NKWD!

– Czy wśród Polaków i Niemców był tam wtedy ktoś, kto nie był agentem NKWD?

– Celny żart, pani Krysiu!... Byli, byli tacy, było ich dużo... Zaraz, o czym to mówiłem?

– O duecie Ritter-Hrynkiewicz.

– A tak, o nich! Pierwszorzędny łup dał im napad bojowców Miecza i Pługa na centralne archiwum kontrwywiadu AK przy ulicy Poznańskiej. Ubrani w mundury Gestapo wdarli się do mieszkania i zdobyli kartotekę akowską, która bezzwłocznie trafiła do centrali Gestapo przy alei Szucha. Wiedza gestapowców o Armii Krajowej wzrosła natenczas bardzo, pani Krysiu.

– Jednak nie aż tak bardzo, by wykończyć Armię Krajową i tym samym nie dopuścić do wybuchu Powstania Warszawskiego.

– Jest pani tego pewna?... Bo ja wcale nie jestem pewien czy Szwabom zależało na niedopuszczeniu do tego wybuchu. Powiedziałbym, że raczej im na tym nie zależało, mieli inny plan...

– Sam pan mówił, że Abwehra mogła wykończyć Armię Krajową, lecz nie chciała, natomiast Gestapo nie mogło!

– Cóż... to wszystko nie jest takie zupełnie proste, pani Krysiu... Nasza rozmowa to dziennikarski wywiad, dlatego ja sporo rzeczy upraszczam, skracam, aby nie głądzić bez końca – aby nie zarzucić pani hektolitrami informacji, pośród których pani zgubiłaby się

zupełnie. Gestapo prowadziło wobec Sowietów grę dziwną, rzekłbym dubeltową. Fakt współpracy z NKWD, gwoli kontrolowania i represjonowania AK, nie zmieniał innego faktu – że Gestapo zwalczało w Polsce komunistów ze wszystkich sił.

– Przecież tłumaczył mi pan, że szef Gestapo, Muller, był agentem NKWD!

– Muller królował w Berlinie, w centrali Gestapo, no i jak pani sobie to wyobraża? – miał się zdemaskować dając swoim komórkom prowincjonalnym rozkazy niezwalczania Ruskich? Terenowi wodzowie Gestapo realizowali twardą politykę Rzeszy wobec komunistów. Gra była dubeltowa, wieloletni po wojnie szef kontrwywiadu CIA, Angleton, zwał takie gry „*dzunglą luster*”. Przy pomocy NKWD Niemcy polowali na akowców, zaś przy pomocy akowców rozprawiali się z komunistami. Dam pani taki przykład: ostatni londyński Delegat Rządu na Kraj, wicepremier rządu emigracyjnego, Jan Stanisław Jankowski, ksywka „Sobol”, został przez Gestapo namierzony, lecz nie został aresztowany. Czemu? Bo w jego Delegaturze funkcjonował Komitet Antykomunistyczny, zwany „Antykiem” oraz „Blokkiem”, infiltrowany przez Gestapo, będący dla Niemców kopalnią informacji o Ruskach i o ich polskich lokajach, więc Gestapo nie chciało sobie tego sezamu psuć głupim aresztowaniem.

– Pierwszy raz nazwał się pan lokajem, pułkowniku...

– Niektórzy lokaje, pani Krystyno, plują swoim pryncypałom do zupy.

– Już wtedy pan to robił, panie Heldbaum?

– Zdarzało się, w drobnych sprawach – dla jajcarskiego zgrywu. Lecz wróćmy do gier, o których mówiliśmy: Gestapo zyskało mniejsze niż Abwehra rozeznanie wobec sieci AK na terenie całej Polski, jednak przeważało mnóstwo lokalnych tajników. W Krakowie znakomity był Robert Weissman, kierownik IV Referatu N

Gestapo, czyli sekcji zajmującej się konfidentami. Gestapo miało w Polsce około sześćdziesięciu tysięcy świetnie uplasowanych konfidentów! I wybornych oficerów „prowadzących” tych konfidentów. I doskonałych przełożonych tych oficerów. Pośród przełożonych „karetą asów” była następująca czwórka: Wolfgang Birkner, szef Referatu IV N w Warszawie, plus trzech SS-Hauptsturmführerów – Bernard Papee, Paul Fuchs, szef Referatu IV N w Radomiu, oraz Alfred Spilker, szef Sonderkommando IV AS w Warszawie. Spilker to był geniusz, później MBP kopiowało jego metody. Gdy pragnął odwrócić podejrzenia od jakiegoś swojego agenta, cennego agenta – zamykał go, rozpuszczał wieści, że biedak jest torturowany, i wreszcie fingował, też przy pomocy swoich wtyczek, akcję zbroją dla uwolnienia „bohatera”, bez skrupułów zabijając w trakcie tej strzelaniny niemieckich żołnierzy lub wachmajstrów. A gdy chciał „spalić „ jakiegoś patriotę – uwalniał go i odwoził pod dom samochodem Gestapo, przez co facet robił się w konspiracji zadzumiony. Taki gość miotał się później jak Warszawa długa i szeroka, próbując reaktywować zerwane kontakty z podzieleni, a Spilker śledził go i łowił biedaków. Jego cennym agentem był głośny Żymierski, Michał „Rola”-Żymierski, o nim pani chyba słyszała?

– To... ten generał, taki generał w PRL-u...

– W PRL-u to nawet marszałek, pani Krystyno. Generałem on był już przed wojną, ale został zdegradowany, skazany i wydalony z armii za malwersacje. Uciekł do Francji, gdzie zwerbowała go Moskwa. Podczas okupacji przerzucono go do Warszawy i kazano mu współpracować z Gestapo. Kontaktował się bezpośrednio ze Spilkerem i z Birknerem. Dawał gestapowcom nie tylko własne raporty, lecz i meldunki nadsyłane dla Gestapo z Moskwy przez pułkownika Szklarenkę, kierownika Sekcji Polskiej sowieckiego wywiadu. Szklarenko dostał tę funkcję, bo za Sanacji był

głównodowodzącym rezydentury wywiadu w warszawskiej ambasadzie ZSRR... Ja wiem, pani Krystyno, jeszcze raz to powtarzam – to wszystko brzmi jak „*bajka o żelaznym wilku*”, lub jak baśnie Szeherezady z „*tysiąca i jednej nocy*”, lecz to wszystko jest prawda, czyściutka prawda i nic jak tylko śmieszna prawda.

– Znowu mi tu kogoś brakuje, panie pułkowniku.

– Kogo?

– „*Cherchez la femme*”.

– Toż dałem już pani tyle przykładów! A zresztą Klio jest babą, to jej poczucie humoru, jej zgrywy!

– Kto?

– Brak klasycznego wykształcenia, pani Krysiu!... Pięta achillesowa młodzieży powojennej. Klio jest muzą historii.

– Głupio mi, panie Heldbaum...

– Forget it²¹ ... zgrabne nogi są ważniejsze! Chce pani usłyszeć o damskich gierkach, o bohaterkach tych anegdot – proszę bardzo. Żymierski nie mógł łązić do centrali Gestapo przy alei Szucha, gdzie pracowali Birkner oraz Spilker, i nie chciał używać pośredników, wolał mieć kontakt bezpośredni. Więc niejaka madame Mieszkowska robiła w swym domu eleganckie „parties”²² dla przyjaciół, i tam się spotykali na brydzyku panowie Spilker, Birkner oraz Żymierski. Podobno na jednym z takich wieczorków towarzyskich znaleźli się razem szef warszawskiego Gestapo, pułkownik Hahn, i dowódca Armii Krajowej, generał „Bór”-Komorowski, ale za tę informację głowy nie dam, pani Krysiu. Dam głowę za inną: Niemcy wtrynili swoją agentkę, Ukrainkę, nie pamiętam nazwiska, bardzo blisko Głównej Kwatery AK, do budynku, gdzie Wydział Operacyjny AK przechowywał swoje archiwum. Ona fotografowała co tylko się dało, no więc – i to znowu

21 Proszę zapomnieć o tym (ang.)

22 Przyjęcia (ang.)

jest kupa śmiechu – niektóre meldunki wróg czytał prawie równocześnie z głównym dowództwem Armii Krajowej. Jakim więc cudem Niemcy mieli nie wiedzieć o rychłym wybuchu Powstania Warszawskiego? Wiedzieli o tym z kilku źródeł. Już w roku 1943 do Berlina trafił meldunek Londynu, pismo polskiego pułkownika ze sztabu generała Sikorskiego, zawierające sugestię, że najlepszym momentem wybuchu powstania byłoby lato 1944. Również w 1943 Gestapo ujęło szefa poznańskiego wywiadu AK, majora Jerzego Kurpisza, a on miał przy sobie dokumenty pełne powstańczych planów. Różne szczegóły planowanego powstania Niemcy zdobyli dzięki agentce o kryptonimie V-168, Danucie Zemście, nomen omen, pani Krysiu, mówiliśmy dzisiaj o zemście...

– To dlaczego Niemcy nie przeciwdziałali wybuchowi powstania?

– Gdyż z pewnych przyczyn było im ono na rękę – pod warunkiem, że wybuchnie w Warszawie tylko. Niemcy znali akowski „Plan «Burza»”, który powstał jesienią 1943 roku, kiedy armie niemieckie cofały się już z Rosji, pędzone tankami i bagnetami krasnoarmiejców. Ten plan zakładał opanowanie wschodniej Polski przez Armię Krajową nim wejdzie tam Armia Czerwona. Szwaby, chcąc nie dopuścić do tego, by im AK gryzła tyły, rozpoczęli z Polakami pertraktacje. W lutym 1944 szef niemieckiego kontrwywiadu na Litwie, major Christiansen, spotkał się w Wilnie z dowódcą tamtejszego zgrupowania AK, podpułkownikiem Krzyżanowskim. Było z kim rozmawiać, bo Krzyżanowski miał pięć i pół tysiąca partyzantów. Christiansen tłumaczył mu, że po odejściu Niemców Polska zostanie zgwałcona przez Sowieców, więc lepiej do spółki stawić tamę „czerwonej zarazie”, Niemcy dadzą Polakom nowoczesną broń, et cetera. W podwarszawskiej willi identycznie komendanta głównego AK przekonywał Hauptsturmführer Fuchs. „Bór” odmówił – nic z tych rozmów nie wyszło, kuszenie się nie udało. „Burza” zaczęła się zimą na Wołyniu, ale prędko zwiędła, nie

opanowano Lwowa, nie opanowano też Białostoczczyzny i Lubelszczyzny, a jedyny sukces, lipcowe opanowanie Wilna przez Krzyżanowskiego, zakończył się kilka dni później katastrofą: ruscy „sojusznicy” zdradziecko aresztowali pułkownika i jego sztab, likwidując litewskie zgrupowanie Armii Krajowej. Wiedząc już, że Polacy nie zechcą współpracować, a mają w lasach całego kraju mnóstwo ludzi gotowych do walki – Niemcy marzyli o tym, by nieuniknione powstanie wybuchło w Warszawie, a nie na rozległych terenach kontrolowanych przez partyzantów. Tu, w mieście, Gestapo i Wehrmacht były panami sytuacji. Miasto można było zamknąć, odciąć, zlokalizować rebelię w kotle, i zdusić, a tam, na prowincji, powstanie przecięłoby wiele linii kolejowych zaopatrujących wschodni front. Mieli rację, pani Krysiu.

– Ojciec mojego ojczyma walczył wtedy w Warszawie. Mówił, że „Godzina «W»”, wybuch powstania, całkowicie Niemców zaskoczyła...

– Gówno prawda! Byliby trochę zaskoczeni kilka tygodni wcześniej, bo znany im „Plan «Burza»” wykluczał Warszawę jako powstańcze centrum – sztabowcy AK rozumeli, że walki w stolicy mogą przynieść hekatombę cywilnej ludności grodu. Decyzję, iż jednak Warszawa, podjęto tydzień przed wybuchem. I Niemcy o tym wiedzieli. Najważniejsze, pierwszoplanowe, było dla AK zdobycie mostów i obu lotnisk, żeby alianckie samoloty mogły lądować z pomocą. Nic się nie udało, pani Krysiu. Nie zdobyto ani jednego mostu, i ani jednego lotniska, gdyż tak okęckie, jak i bielańskie, zostały tuż przed wybuchem dodatkowo ufortyfikowane czołgami. Dzięki temu szwabskie samoloty latały wahadłowo między Bielanami a Okęciem i bombardowały miasto bez ustanku. Nie zdobyto również ani jednego ważnego gmachu. Drobne sukcesy rozdmuchiwano jako wielkie triumfy, co zresztą później kontynuowała propaganda patriotyczna, ta „naukowa”. Już po

niespełna dwóch tygodniach walk było absolutnie jasne, dla każdego myślącego, że jest klops, finito, reszta będzie dorzynaniem rebelii!

– Pańska „firma” miała w tym swój haniebny udział, pułkowniku?

– Miała, i to spory. Radiostacje sowieckie judziły Warszawiaków do buntu, do wzniesienia rebelii, a gdy powstanie wybuchło, Stalin zatrzymał swe armie na drugim brzegu Wisły i czekał aż miasto obróci się w ruinę.

– Pan gdzie był wtedy?

– Wtedy to ja byłem chwilowym członkiem AK, pani Krystyno, lecz nie brałem udziału w powstaniu, no bo tuż przed wybuchem ewakuowano mnie aż na Lubelszczyznę, gdzie już od lipca panowała „władza ludowa”. Tam zatrudniono mnie w RBP, później w MBP, i dostałem swoje biurko.

– Żeby niuansować prowokację-mistyfikację „Cezary”?

– Właśnie. Miałem pani opowiedzieć o tym, lecz rozgadaliśmy się o współpracy między NKWD a Gestapo, i o powstaniu... Gra „Cezary” to był majstersztyk MBP. Fałszywa konspiracja, bazująca na prawdziwej, wcześniejszej – na Zrzeszeniu Wolność i Niezawisłość. WiN powstało jesienią 1945 roku, kiedy Londyn skasował krajową Delegaturę Sił Zbrojnych. Dwa lata później bezpieka wykończyła tę organizację. Konkretnie jej IV Zarząd Główny, bo do roku 1947 winowcy, ciągle prześladowani, odbudowywali się po każdej łaźni, jaką im sprawiono. Cztery pierwsze Zarządy, vel Komendy, czyli sztaby WiN-u, były patriotyczne, autentyczne. W 1948 roku bezpieka postanowiła utworzyć V Zarząd Główny WiN, strukturę fikcyjną. Wymyślił to pupil Bristigierowej, jej zastępca, major Henryk Wendrowski, późniejszy ambasador PRL w Danii oraz Islandii, eksakowiec. Bardzo inteligentny typ, Julka lubiła inteligentów. Studiował psychologię, malował ładniutkie akwarelki – intelektualista, jak ona. Takich nie mianują generałami, dochrapał się tylko szarzy pułkownikowskiej.

– To identycznie jak pan.

– Ano. Mnie przeszkodziło w zdobyciu kolejnej gwiazdki...

– Ja mówię nie tylko o awansach, pułkowniku. Także o intelektualistach w bezpieczeństwie.

– Fakt, iż rzadkość, lecz nie szokująca. Wracając... mnie przeszkodził dochrapać się generalstwa mój złoty rynsztok, o którym później pani opowiem. Wendrowskiemu jego akowska przeszłość. Służył solidnie, i był bezpieczeństwu bardzo potrzebny do łowów, bo jako psycholog i jako eks-członek AK fenomenalnie bajerował aresztowanych rycerzy konspiracji. Bez tortur, samym namawianiem, zmiękczył niejednego. Miał pomysły czasami tak genialne, że uznawano je za wariackie, ale ten pomysł z fałszywym nowym sztabem rozbitej już WiN kupiono. Stworzono ów sztab „przekręcając” pod groźbą śmierci kilku byłych członków AK i prawdziwego WiN-u. Bristigierowa chciała, aby całą hecę firmowało duże nazwisko, jakiś tuz konspiracji. Akurat wówczas dopadnięto sławnego generała AK, Fieldorfa -„Nila”, i ona wymyśliła, że to będzie idealny kandydat, ale jej wynalazki nie były równie mądre co wynalazki Wendrowskiego, a pech Fieldorfa polegał na tym, iż zdążyła mu zaproponować udział w tej mistyfikacji. Przesłuchiwała „Nila” poza gmachem MBP i Rakowiecką, wewnątrz swej willi saskokępskiej...

– Co to jest Rakowiecka, panie pułkowniku?

– Ulica. Przy Rakowieckiej mieściło się więzienie, gdzie trzymano aresztowanych i gdzie wykonywano niektóre egzekucje, pani Krystyno. Fieldorf odmówił, został skazany i powieszony. Formalnie za działalność antysowiecką, lecz ja myślę, że dlatego, iż wiedział już o prowokacji, a wróg, który o niej wiedział, nie mógł pozostać przy życiu, inaczej by się nie udało. A udało się fantastycznie, cztery lata kiwano tym rzekomym podziemiem Londyn i Waszyngton.

– Generał Fieldorf odmówił. Więc kto nie odmówił, kto został

dowódcą waszego WiN-u?

– Z tym był problem... Wymyślono tajemniczego szefa, który miał pseudonim „Kos”. Bardzo trafne pseudo, bo po arabsku „kos” to intymna część ciała niewiasty... W zależności od tego, jaki emisariusz Londynu przyjeżdżał do kraju – „Kosa” grał albo Wendrowski, albo drugi nasz człowiek, tak bardzo utajniony, że nawet ja, chociaż koncykowałem różne detale operacji „Cezary”, nie znałem jego nazwiska, pani Krystyno. Generalnie przyjęto wariant superkonspiracji, która miała uchronić V Zarząd Główny przed wpadką analogiczną do tych, co rozwały cztery Zarządy wcześniejsze. Według tego wariantu „Kos” miał być nietykalny, więc z emisariuszami Londynu spotykali się zazwyczaj jego współpracownicy, inni członkowie czteroosobowego kierownictwa V Komendy WiN, przede wszystkim jej „kierownik organizacyjny”, o pseudonimie „Wiktor”. Ów „Wiktor” to był Stefan Sienko, akowiec którego złowił Wendrowski. Zaś najczęstszym emisariuszem Londynu, przywożącym papiery, sprzęt i pieniądze, był cichociemny, Adam Boryczko...

– Jaki?

– Cichociemny. Tak zwano komandosów, których podczas wojny Londyn zrzucał spadochronowo na tereny okręgów Armii Krajowej. Boryczko został zrzucony, by pełnić funkcję szefa Kedywu Okręgu Wileńskiego AK.

– Przepraszam, pułkowniku, lecz ciągle muszę pytać, gdy czegoś nie wiem.

– Proszę pytać.

– Co to był Kedyw?

– To było Kierownictwo Dywersji, wydzielony pion organizacyjny Armii Krajowej do zadań specjalnych i do sabotażu. Jego komendantem głównym był generał Fieldorf. Fieldorf po wojnie wpadł, a Boryczko zdołał prysnąć na Zachód, i kiedy bezpieczeństwa

utworzyła lewą, V Komendę WiN-u – z całą ufnością kursował pomiędzy Londynem a krajem jako emisariusz londyńskiej delegatury WiN-u. No, może nie od razu z całą ufnością, lecz wreszcie nabrał zaufania i do „Wiktora”, i do V Komendy. A nabrał, bo major Wendrowski znowu wymyślił chwyt pierwszorzędnego gatunku. Proszę zgadywać...

– Domyślam się, że kobieta...

– Tak jest, pani Krystyno! Znowu „*cherchez la femme*”! Ile razy Boryczko lądował w kraju, tyle razy „Wiktor” dawał mu łącznika, człowieka codziennie opiekującego się emisariuszem. Najpierw był to agent o pseudonimie „Roman”, później agentka „Maria”, śliczna dziewczyna, która wylądowała w łóżku Boryczki. Między innymi dzięki temu zabawa trwała ponad cztery lata. I mogłaby trwać dłużej, lecz zerwano ją z przyczyn politycznych, wbrew chętkom MBP.

– Czyli wbrew chętkom pani pułkownik?

– Nie, pani Krysio. Bristigierowa nie miała tu już nic do gadania, bo chociaż grę „Cezary” wymyślono w jej folwarku, w V Departamencie MBP, to nasz folwark, III Departament, zdołał odebrać zabawkę bristigierowcom.

– Przecież mówił pan, że Bristigierowa była królową MBP, i że słuchał jej sam Bierut...

– Ale wszyscy musieli się słuchać Moskwy. Kiedy już stało się jasne, że operacja „Cezary” to ósmy cud świata, kura znosząca złote jaja – każdy dygnitarz MBP pragnął kierować nią. Nie wiem jakie swoje wpływy w NKWD uruchomił Andrzejewski, lecz wygrał, to jemu, czyli III Departamentowi, oddano tę grę. Bristigierowa była wściekła. A ja miałem co robić za biurkiem, bo pracowałem dla Andrzejewskiego.

– Te „złote jaja”, to co konkretnie było, panie pułkowniku?

– Blamaż amerykańskich i angielskich służb specjalnych, które

przez kilka lat brały ów fałszywy WiN za dobrą monetę i współpracowały z nim ochoczo. Fura sprzętu szpiegowskiego, który ślano z Zachodu, radiostacje i tak dalej. Fura pieniędzy na „działalność podziemną” – łącznie prawie dwa miliony przejętych dolarów, a to była wówczas suma gigantyczna. No i mnóstwo konspiratorów antyreżimowych, których bez tej gry trudniej byłoby łapać, nawet połowy nie dałoby się capnąć. Ich cierpienia, ich krew, dramaty ich rodzin – to także moje konto. Pracowałem przy biurku, ale dzięki takim biurkom trwała tu apokalipsa, więc kiedy mówię, że byłem członkiem klubu „najgorszych” – nie konfabuluje, pani Krystyno.

– Dawało to panu radość, pułkowniku?

– Ta krew? Nie, nie, to nie tak, pani redaktor, Mefisto nie jest wampirem, jest zgrywusem.

– Ale to był „zgryw” prowadzący do rzezi.

– Cała ludzka egzystencja jest rzezią, przyroda jest rzezią, takie są prawa natury.

– A to gadanie jest jarmarczną filozofią, pseudofilozofią, pułkowniku!

– Co pani wie o filozofii! Czytała pani Ludwika Wittgensteina?

– Nie.

– No to może zna pani filozofię azjatycką? Buddyzm zen choćby?

– Też nie.

– Stamtąd płynie nauka, że wszelkie ludzkie przesady, dogmaty czy rytuały stanowią drabinę, którą trzeba odrzucić jako zbędną, gdy ma się już poczucie absolutnej prawdy, vulgo: poczucie nierealności bytu. To przychodzi z wiekiem, ja takie poczucie mam teraz, gdy jestem bardzo bliski śmierci. Wtedy natomiast miałem inne poczucie – poczucie bezsensowności bytu. I wymyśliłem sobie panaceum na tę dolegliwość – zabawę, hecę, zgryw. Operacja „Cezary” to był dla mnie wielki zgryw. A dlaczego? Ponieważ to była

fantastyczna mistyfikacja, wprost münchhausenowska.

– Jaka?

– Osiemnastowieczny niemiecki hultaj, baron Münchhausen, to symbol konfabulacji, uosobienie kłamstwa, pani Krysiu. Może zrozumie pani lepiej co mam na myśli, kiedy powiem pani co byłoby tematem mojego doktoratu, gdybym pisał doktorat. Byłyby to wielkie mistyfikacje literackie, genialne apokryfy, które omamiły ludzkość.

– Jak „Protokoły Mędrców Syjonu”?

– Właśnie. Brawo! Wie pani, że to apokryf!

– Co nieco wiem, chociaż im dłużej z panem rozmawiam, tym bardziej czuję się głupia. Czytałam esej w „New York Timesie”, dzięki temu wiem, że to sfabrykowała carska tajna policja na początku ubiegłego wieku.

– Tak, to sfabrykowała Ochra, a własnoręcznie wypichcił geniusz – dziennikarz i szpicel Matwiej Gołowiński. Miał dużo równie genialnych prekursorów. Wśród tych prekursorów najbardziej adekwatnym wobec Gołowińskiego był Polak, Hieronim Zahorowski. No bo cóż zrobił Gołowiński? Wysmażył tekst przypisujący Żydom chęć owładnięcia globem dla eksploatawania głupich gojów, i to rzekome „wyznanie wiary” Żydów było tak wiarygodne, iż długo w nie wierzono, stało się jedną z przyczyn Holocaustu. Zresztą i dzisiaj wierzą w to miliony ludzi. Zwłaszcza gdy widzą co widzą, gdy wiedzą co wiedzą, i gdy czytają takie zdania jak te, które premier Izraela, Ariel Szaron, rzucił swemu koledze, byłemu premierowi, Szymonowi Peresowi: *„– Powiem ci jasno: zupełnie się nie przejmuję naciskami Amerykanów. My, Żydzi, kontrolujemy Amerykę, i Amerykanie doskonale zdają sobie sprawę z tego”*. No ale „Protokoły Mędrców Syjonu” to istotnie apokryf. Trzysta lat wcześniej Zahorowski odwalił identyczny numer. Wypichcił antyjezuicki pamflet „Monita secreta”, przypisując jezuitom

spiskową chęć rządzenia globem ówczesnym. Ten apokryf, podobnie jak „Protokoły”, miał kilkaset wydań i doprowadził do kasacji zakonu jezuitów.

– Przecież jezuici istnieją...

– Bo papieżstwo zrehabilitowało i reaktywowało zakon na początku XIX wieku. Te mistyfikacje to często były gry kościelne, choćby „List kapłana Jana”, główny średniowieczny apokryf. Mówił o istnieniu cudownego chrześcijańskiego mocarstwa, płynącego mlekiem i miodem, gdzieś u rubieży Dalego Wschodu. Długo w to wierzone... Niektóre, zgrabne zresztą mistyfikacje, miały króciuteńkie nogi, były szybko demaskowane, jak chociażby rzekome pamiętniki Mussoliniego czy rzekome pamiętniki Hitlera. Ale były i takie, które długo robiły głupców z ekspertów i z publiczności. W XIX wieku czeski bibliotekarz, profesor Vaclaw Hanka, na specjalnie preparowanym pergaminie wykaligrafował dwa rzekomo średniowieczne, czeskojęzyczne teksty. Miały uszlachetniać czeską przeszłość, gdyż Czesi bardzo cierpieli z powodu braku takich zabytków. I oba te rękopisy – „Manuskrypt kralodworski” i „Manuskrypt zielonohorski” – zostały przez ekspertów uznane za autentyczne relikty Średniowiecza, a ich „odkrywcę” hołdowano. Dopiero po siedemdziesięciu latach Hanka został zdemaskowany. U was zabawa trwała krócej.

– U nas?...

– U was, w Stanach, pani Krysio. Wasz czołowy apokryf to opublikowany roku 1928 falsyfikat pod tytułem „Miłosna korespondencja prezydenta Lincolna”. Rzekoma epistolografia wodza narodu i jego kochanki. Spreparowała to pani koleżanka, dziennikarka Wilma Minor, która przysięgała, że ma owe listy w spadku po swojej mamie. Dopiero tuż przed Wojną Światową udowodniono, iż jest to apokryf. Tytuł „Pieśni Osjana” coś pani mówi, pani Krystyno?

– Niestety nie.

– A powinien, bo to były dla Europejczyków i dla Jankesów najmodniejsze, vulgo: najgłośniejsze rymy drugiej połowy XVIII i pierwszej połowy XIX stulecia. Świat wariował na punkcie tych rymów, chociaż ich rzekomy twórca, staroceltycki bard Osjan, nie istniał nigdy. „Odkrył” jego teksty szkocki poeta James Macpherson, i ludzie – również fachowcy, eksperci – uwierzyli w to, dali się nabrać jak kółko przedszkolaków. Wielbicielem poezji Osjana był cesarz Bonaparte. Innym wielbicielem – prezydent Jefferson, pani Krysiu. Sam Goethe kazał swemu Werterowi mówić: „– Osjan wyparł Homera z serca mego”. Zwano Osjana „Homerem Północy”. Tak genialnie Macpherson przyrządził tę mistyfikację, wykorzystując staroceltyckie wątki legendowe i język dawnych Celtów! Nie tylko on próbował kreować fikcyjnych rymopisów, lecz innym się nie udawało. Dokładnie w tym samym czasie, kiedy Macpherson przedstawił światu rymy Osjana, czyli w latach sześćdziesiątych wieku XVIII – inny brytyjski rymokleta, Thomas Chatterton, przedstawił rzekomo renesansowe sonety nikomu nieznanego Thomasa Bowleya, uznane za świetne, lecz oszustwo błyskawicznie zdemaskowano i wyszydzony Chatterton popełnił samobójstwo, ze wstydu. Tymczasem Macpherson długo swój triumf smakował – do śmierci, i w grobie również. Jego Osjan uskrzydlił wszystkich Romantyków, uwiódł wielomilionową publiczność, znani mistrzowie pędzla malowali Osjana z harfą na Parnasie, i trwało to prawie sto lat! Teraz pojmuje pani?

– Nie do końca...

– Operację „Cezary” będzie się analizowało dłużej niż sto czy dwieście lat.

– Co nie zmieni jej ze zbrodniczego kłamstwa w cnotliwy uczynek.

– Pani Krysiu... Kłamstwo bywa sztuką, a wielka mistyfikacja rozkoszą. Diabelską rozkoszą, wiem, lecz gdy ktoś chce grać

Mefistofelesa... Pożegnamy się już chyba dziś?

- Przyjdę jutro, panie Heldbaum. Do widzenia.
- Do widzenia, pani redaktor.

Sesja 6

- Dzień dobry, panie pułkowniku.
- Dzień dobry, pani redaktor.
- Pańska „firma” zachowuje się jak chuligan!
- Słowo „chuligan”, pani Krysiu, kiedyś było modne, ale dzisiaj wyszło już z mody, mówi się raczej: żulik, żul. Dawniejsza chuliganeria to dzisiejsza żulia. Mało kto tutaj wie, iż „chuligan” jest źródłowo angielski. Chodzi pani o te klapsy w Moskwie?
- Klapsy, pułkowniku? Tam na ulicach codziennie leją waszych dyplomatów, a wasza władza kuli pod siebie ogon, mimo że wszystkim wiadomo, kto urządza te łomoty.
- Słowo „łomot” również pani zna, pięknie!...
- Tak, znam z Chicago.
- Proszę się nie dziwić. Tutaj dwa tygodnie temu jakaś łobuzeria pobiła czterech nastolatków, synków funkcjonariuszy ambasady rosyjskiej, no to Moskwa wyrównała rachunek, lejąc trzech pracowników polskiej ambasady oraz polskiego dziennikarza. Remis. KGB zawsze wyrównywał rachunki, a prezydentem Rosji jest teraz kagiebista, były oficer KGB, więc...
- Bratnia dusza, pułkowniku?
- Kto, Putin?
- Putin.
- Bez przesady, pani Krystyno, z tym braterstwem... Nazwisko Petain, marszałek Petain, coś pani mówi?
- To Francuz, sojusznik Hitlera.
- Bardzo ładnie, piątka z plusem!... Francuzi długo warczeli: „Ce vieux Putain!” – „Ta stara Kurwa!” – bo po francusku „putain” to

ladacznica, a wymawia się prawie identycznie jak Petain. Analogiczną grę słów, równie wzgardliwą, będzie można kiedyś stosować wobec Putina, to nawet fonetycznie bliżej, a dalej przez to, że on nie Francuz. Lecz charakterem kurwa, jak prawdziwy Francuz.

– Czemu tak bardzo nie lubi go pan?

– Zepsuł moim ludziom pewien duży interes gazowo-naftowy, kij mu w oko! Gra twardziela, a jest tylko dupkiem. Nasyłanie bandziorów na dyplomatów to jego styl, styl kaprański, normalka.

– Ta „normalka” to przecież międzypaństwowy skandal! Aż się trzęsłam czytając dzisiejszą gazetę!

– Bo pani czyta nie te gazety. Ja również się trzęsłem czytając dzisiejszą gazetę, ale ja się trzęsłem ze śmiechu, bo czytałem przedruk z „Los Angeles Times”.

– Nigdy nie publikowałam w „Los Angeles Times”...

– To nie był pani artykuł, to jest przedruk tekstu prokuratora Minera w polskiej gazecie. Przedruk zawartości taśm, jakie Marilyn Monroe nagrała dla swego psychoanalityka, doktora Greensona. Właśnie je odtajniono. Zwierza mu się z rzeczy szczególnie intymnych. Głównie z tego, że dopóki jej nie wyleczył, nigdy nie miała orgazmu, chociaż miała kochanków bez liku. A gdy już ją wyleczył, orgazmy miała dzięki lewatywom, które brała codziennie, tak jak i jej koleżanki, równie sławne aktorki. Proszę spojrzeć, oto cytat: „– Rozkoszuję się lewatywami, cóż w tym złego, doktorze!”.

– I cóż w tym śmiesznego, pułkowniku?

– Dużo, pani redaktor. Choćby takie zwierzenie: „– Skoro już mówię o orgazmach, to powiem panu jeszcze, doktorku, że w cuglach wygrałabym, gdyby Akademia przyznawała Oscary za udawanie orgazmu. Wznosiłam się na aktorskie wyżyny, by moi partnerzy w łóżku zyskali pewność, iż właśnie przeżywam seksualną ekstazę”... Ciężka lektura dla wielu facetów przekonanych o swej orgazmorodnej jurności, a dla wielu bezorgazmowych nieszczęśniczek istny balsam. Jeśli sama Marilyn

musiała udawać, to ja nie muszę się tym gnębić bez ustanku...

– Niech pan wreszcie odłoży gazetę, to jest przecież zupełnie nie na temat!

– Jaki temat?

– Temat wywiadu, temat naszej rozmowy! Przychodzę tu rozmawiać o pańskim życiu, a nie o życiu Marilyn Monroe, które nie ma z naszym dialogiem nic wspólnego!

– Przeciwnie, pani Krystyno. Wczoraj gadaliśmy o wielkich mistyfikacjach. Pani zdaniem ów cytat nie ma z tym nic wspólnego?

– Może i ma, ale pan wie o co chodzi!

– Dawniej się mówiło: „– *O co chodzi? O ten tramwaj co nie chodzi!*”.

– Nie jestem dziś w nastroju do żartów!

– Przez te mordobicia w Moskwie? Tak się pani tym sfrustrowała?

– Nie, sfrustrowałam się czymś innym. Wczoraj wieczór i dziś rano.

– Udawaniem orgazmu?

– Wypraszam sobie, panie Heldbaum!... Te pańskie kagiebowskie maniery! Ma pan poczucie humoru rodem z rynsztoka!

– Trudno się dziwić, kilkadziesiąt lat tkwiłem w prawdziwym, chociaż złotym rynsztoku... Ale to był rzeczywiście głupi żart. Przepraszam, pani Krystyno. Co pani dopiekło wczoraj i dziś?

– Brak wody, była jakaś awaria... Kąpałam się w butelce wody mineralnej!

– To się wszędzie zdarza. U was niedawno awaria elektrowni pozbawiła prądu kilka stanów.

– Zanim do pana przyjechałam, usłyszałam przez radio, że awarię spowodowała koparka, która w wykopie rozerwała rurę, a rozerwała, bo kierowca koparki był pijany.

– To też się wszędzie może zdarzyć, pani Krysiu.

– U nas nie może się zdarzyć, by kierowca autobusu był pijany jak bela.

– Przecież panią wozi własny szofer.

– Mówię o zdarzeniu sprzed dwóch lat, kiedy byłam tutaj pierwszy raz, pułkowniku. Jechałam do Częstochowy, do klasztoru, i samochód się zepsuł wieczorem. Nie wiedzieliśmy co robić. Kilkadziesiąt kroków dalej był przystanek autokarowy, więc postanowiłam dojechać do najbliższej miejsciny i tam szukać ratunku bądź noclegu. Na przystanku czekało kilku ludzi. Wreszcie wóz zajechał, ale jechał zygzakiem. Wewnątrz byli tylko pan kierowca i pan kontroler czy konduktor. Drzwi się otwały, i ten drugi mówi do nas takim ochryplym, pijackim głosem: „– *Jeśli ktoś ma mocne nerwy, to zapraszamy!...*”. Nikt się nie ruszył, każdy bał się wsiąść. Więc ten powiada: „– *Józek, nie ma chętnych, jedziemy!*”.

– „*To jest Polska właśnie*”, jak pisał Wyspiański, pani Krystyno.

– To wasza „*firma*” zbudowała taką Polskę, panie pułkowniku.

– A czy ktoś się wypiera? Żeby tylko taką! Do tego jaką, dojdziemy jeszcze, pani Krysiu. Mnie nie dziwi, że panią bulwersuje fakt pobicia dyplomaty, albo pijany kierowca tak zwanego „*transportu publicznego*”, tu zresztą pijany jeździ co piąty kierowca. Nie dziwi mnie, bo pani jest cudzoziemką, odwiedza pani kraj swoich przodków. Ale dlaczego obywatele tego kraju są ślepi? Ich też podnieca w tym roku „wojna rusko-polska”, i „wojna białorusko-polska”, i wybory parlamentarne, i wybory prezydenckie, i rewelacje ujawniane przez komisje śledcze Sejmu, i mnóstwo różnych rzeczy, różnych głupot sportowych i głupot rozrywkowych, a spraw ważnych prawie nikt nie dostrzega. Czy wie pani co, moim zdaniem, było tego roku rzeczą tutaj najważniejszą? Styczniowa drobna zmiana w kodeksie karnym. Od stycznia prokuratorom ścigającym przestępców nie wolno zajmować współwłasności małżeńskiej. Dokładnie na odwrót niż tam, gdzie się chce realnie likwidować dużą przestępczość. W Anglii każdemu skazanemu za handel narkotykami odbiera się wszystko, i to nie tylko jemu, lecz i

jego rodzinie. U was tak samo – zupełna konfiskata mienia przestępców, a służby skarbowe rekwirują każdego centa niewykazanego w dochodach legalnych. Włoska policja finansowa, Guardia di Finanza, zajmuje wszystko co było zyskiem z mafijnego procederu, również dzieciom, żonie i kochance mafiosa, więc przepisywanie łupów na rodzinę nic nie daje. A w Polsce rekiny gangsterskiego biznesu przepisują co chcą – konta, wille, jachty, samochody, fabryki, sklepy – i tym same stawiają prokuraturze szlaban. Sama tylko „mafia paliwowa”...

– Czyli pan?

– Nie.

– Nie? To ile jest tutaj „mafii paliwowych”!

– Aż dwie. Nasz benzynowy i olejowy biznes jest większy i lepiej chroniony, dlatego my nie wpadamy, a oni wpadli jak śliwka w kompot. Wpadli, gdyż przeszkadzali, psuli nam interes. Ale wracając do tematu: ich „mafia paliwowa”, i to są dane oficjalne, przepisywaniem majątków uchroniła kilkanaście miliardów złotych wyprowadzonych z kasy państwowej. Miliardów, a nie milionów, pani Krystyno! Takie sumy zawsze będą dla przeciętnego Polaka niewyobrażalne. A ludzie pasjonują się pobiciem kilku dyplomatów przez chłopców Włodka Putina.

– Jest pan z nim na „ty”?

– Byłem, kiedy pracował w NRD jako podrzędny kagiebista ambasady Sowiec, miał niższy stopień, musiał Heldbaumowi salutować. I był przy mnie żebrakiem, bo miał pensyjke rządową, ja zaś królowałam wówczas w złotym rynsztoku, pani Krystyno.

– To znaczy w czym? W przestępczym podziemiu?

– Tak, w peerelowskim półświatku.

– Od kiedy?

– Desantowałem się tam po roku 1956, gdy dawne MBP dogorywało i robiono czystkę, sądzono bossów, na przykład Różańskiego i

Fejgina, bo tryskała „odnowa”, „gomułkowska odwilż”, „Październik”. Gomułka miał dużo fartu. Wskutek dyrektywy Stalina, no i wskutek porachunków wewnętrznych, tamto MBP zapuszkowało Gomułkę, cudem przetrwał. I kiedy Stalin zdechł, a ferment wyniósł Gomułkę na szczyt – gomułkowcy wznieśli odwet, a ja skoczyłem do złotego rynsztoka.

– Tak się to nazywało?

– Nie, tak ja to nazywam.

– Miał pan inne wyjście?

– Miałem, mnie by nie ruszyli, mogłem dalej robić karierę bezpieczniacką urzędową. Siedząc za biurkiem, wewnątrz urzędu. Czystka była kosmetyczna, a ludzie bezpieki byli potrzebni. Lecz ja wolałem złoty rynsztok.

– Ze względu na większe dochody, panie Heldbaum?

– Tak, ale ważna była również inklinacja, którą zrodziły fascynacje literackie. Czytałem dużo. Zawsze czytałem dużo. Od młodości. Lubilem czytać półświatkowe romanse Francuzów. Dumas, Sue, Nerval. Hugo i jego „Katedra”. Albo „Tajemnice Paryża” Sue’ego. Albo Balzac – balzakowski Vautrin w „Komedii ludzkiej”. Postać autentyczna, „król galerników”. Nazywał się Vidocq, a Balzac zrobił z niego swojego Vautrina. Później, już jako student, zacząłem czytać literaturę historiograficzną. Wie pani co to był „dziedziniec cudów” vel „dwór cudów”?

– Nie.

– To było podziemne przestępcze państwo w średniowiecznym i renesansowym Paryżu – tajemne imperium zbrodni. „*La cour des miracles*”. Miasto w mieście, państwo w państwie, królestwo w królestwie, gdzie aż po XVII wiek urzędnicy magistratu nie mieli wstępu.

– A policja?

– Wówczas jeszcze Europa nie знаła policji tego rodzaju, jaki

znamy dzisiaj, bo takie policje, a właściwie ich załączki, przyniósł dopiero XVII wiek, i dopiero XIX wiek wytworzył policję prawdziwą. Wcześniej magistrat miał komórki dysponujące gwardią miejską dla pełnienia funkcji policyjnych, to było dość prymitywne. I przekupne jak każda żandarmeria czy policja. Dopiero król Ludwik XIV zadał pierwszy mocny cios królowi „dziedzińca cudów”, gdyż totalizm „króla Słońce” nie mógł znieść totalizmu „księcia Egiptu”, identycznie jak w przedwojennej Italii, gdzie pierwszy mocny cios zadał sycylijskiej mafii „Duce”, bo dyktatura faszystowska w Rzymie nie chciała konkurencji ze strony Palermo. Wszystkie te ksywki są dla pani jasne, pani Krysiu?

– Prawie wszystkie. Wiem, że „Duce” to Benito Mussolini, a „królem Słońce” zwano francuskiego króla.

– Ludwika XIV. Stalina zwano podobnie, „Słoneczkiem”, o czym już pani mówiłem.

– A domyślam się, że „książę Egiptu” to był szef „dziedzińca cudów”.

– Tak. Zwany był „wielkim Koezre” lub „księciem Egiptu”, i jak każdy monarcha miał swój dwór, swoją służbę, swoją straż przyboczną i swoje nałożnice-faworyty. No i swój luksus, który się skończył, gdy w drugiej połowie XVII wieku szef policji króla Ludwika, pan La Reynie, otoczył wojskiem dzielnicę hultajską. Wojsko zaatakowało ten kwartał i zdobyło główny bastion „księcia Egiptu”. Ale jeszcze przez całe sto lat „cour des miracles” funkcjonował, tylko trochę sekretniej i skromniej. W Polsce również były takie bandyckie państwka. W osiemnastowiecznej Warszawie sztab gangu zajmował podziemia ruin pałacu Ordynackiego, a po roku 1820 gnieździł się wewnątrz ruin pałacu Na Dynasach. Jednak to nie była ta skala co w renesansowej Francji.

– Mam rozumieć, iż panu zachciało się wypróbować ów model w PRL-u?

– Zachciało się władcom PRL-u. Prawdziwym, bezpieczniackim władcom PRL-u... I to było bardzo mądre. Bo, po pierwsze, przestępczości zorganizowanej nigdy nie da się do szczeru wydusić, można ją tylko kontrolować, lub samemu scalać małe grupki w jeden duży gang, który kontroluje się łatwiej niż przestępczość rozproszoną. A po drugie – to daje zyski, przy których pensje gliniarzy i bezpieczniaków są nędznymi napiwkami, pani Krysiu... Oczywiście, tego nie można robić „na chama”. Nie można przyjść do szefów gangu z rozkazem, że mają się podporządkować bezpiece lub milicji, bo inaczej pójdą do pierdła. Wybuchnie chryja, rzecz się rozniesie, zaś rwetes i gwałt nie służą interesom. W ten sposób można było dyscyplinować cinkciarzy, ale cinkciarze to tylko jedna branża podziemnego przemysłu, a wobec całości prowadziliśmy te gry koronkowo – zupełnie tak samo, jak wcześniej wobec akowskiego czy winowskiego podziemia. Przydała się rutyna tamtych gier okresu „domowej wojny”. Pozyskiwaliśmy konfidentów, wprowadzaliśmy agentów, puszkowaliśmy kogo trzeba, a innych opornych wysyłaliśmy „na łono Abrahama”, i tak do skutku, czyli do przejścia gangu. Ja zostałem szefem gangu grochowskiego.

– Jakiego?

– Grochów to dzielnica prawobrzeżnej Warszawy. Duże tradycje bandyckie, jeszcze przedwojenne.

– W którym roku?

– W 1959.

– Mówił pan, że pański „rynsztokowy” debiut to czas okupacji hitlerowskiej...

– Fakt, lecz to była zupełnie inna sprawa. To nie był mój własny wybór. To była gra polityczna, skierował mnie do bandy Leon Andrzejewski. Chyba dlatego mnie, iż nie wyglądałem na Żyda, po matce miałem gojski wygląd. Plus gojskie matczyne nazwisko: Żendziakiewicz. Sudeczko nie wzięłby Żyda. Nawet nie pytam czy

nazwisko Sudeczko coś pani mówi, bo ono w dzisiejszej Polsce nikomu nic nie mówi, może kilku historykom, no i kilku weteranom AK, którzy słysząc o Sudeczce, umierają ze wstydu. Zresztą... dużo większa liczba akowców umarłaby nie ze starości, lecz ze wstydu, gdyby ktoś opublikował rzetelną historię AK, pani Krystyno.

– Opublikowano mnóstwo prac na temat AK, i wszystkie są nierzetelne?

– Wszystkie.

– Jak to wszystkie? Mówi pan serio?

– Tak. Wszystkie, i te lewicowe, opublikowane w PRL-u, i te prawicowe, publikowane za granicą.

– I te pisane po 1989 w Trzeciej Rzeczypospolitej, bez rygorów cenzury?

– Wszystkie. I te „naukowe”, i te „popularyzatorskie”. Wszystkie! Wszystkie bowiem skwapliwie przemilczają ciemne strony akowskiego podziemia, lub jedynie napomykają o nich jako o tragicznym marginesie zbrojnej walki bohaterskiego narodu, marginesie zwyczajnym dla każdej konspiracji, w każdej nieuchronnym.

– Mówi pan o zdrajcach, o kolaborantach?

– Nie, teraz mówię o ciągłych bratobójstwach, o mordach wynikających z wewnętrznej niespójności Armii Krajowej... Mówiłem już pani co to jest „*gra luster*”, gra dubeltowa, polegająca na prowokacjach, dzięki którym Gestapo wykańczało akowców rękami komunistów, zaś komunistów rękami akowców. Lecz dużo obfitsze efekty dawało wykańczanie komunistów rękami komunistów, zaś akowców rękami akowców. Zwłaszcza to drugie. Proszę bowiem pamiętać, że Armia Krajowa, czyli siła zbrojna Polskiego Państwa Podziemnego, była definitywnym rezultatem wielkiej „*akcji scaleniowej*”. A co to była ta „*akcja scaleniowa*”? To było wrzucenie do jednego worka, skomasowanie pod jedną czapą – pod

kierownictwem Komendy Głównej AK – wszystkich konspiracji politycznych i wojskowych, jakie się zawiązały od czasu klęski, od września 1939 roku. Wszystkich prócz komunistów. Nie dziesiątki, lecz setki konspiracji i konspiracyjek! Wywodziły się z wszelkich politycznych organizacji, partii, ruchów, związków i towarzystw Rzeczypospolitej przedwojnia, harcerzy nie wyłączając. Często były to polityczne ekstrema, od lewicy patriotycznej do faszystujących nacjonalistów. I całą tę menażerię zjednoczono – różnymi sposobami, siłą, perswazją, handlem – w jednej strukturze, w AK!... To tak, jakby pani do jednego worka wrzuciła kozę, tygrysa, wróbla, susła, orła, szpaka, węża, kota, psa, ropuchę i bociany, całą Arkę Noego. W Biblii ten koktajl się udał, zwierzyniec współżył na Arce zbiorowo-wzorowo, lecz w realnym świecie takie bajki bezkolizyjnie nie funkcjonują.

– Jak to nie funkcjonują? Armia Krajowa przetrwała, zrobiła Powstanie Warszawskie, i dopiero klęska powstania oraz inwazja Sowiec...

– Przetrwała dlatego, że była strukturą ogromną, zbyt dużą, aby cokolwiek – szwabskie represje bądź wewnętrzne waśnie i porachunki – mogło ją wykończyć. Mimo ciągłych represji – Niemcy aż do powstania byli bezradni wobec Armii Krajowej. W pewnym momencie zrozumieli nawet, że więcej niż przy użyciu ołowiu zyskają podsycaniem waśni politycznych wewnątrz AK. Istnieje dokument potwierdzający to, zachował się w zbiorach Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich: tekst przemówienia dowódcy Sipo i SD na terenach Generalnego Gubernatorstwa, SS-Oberführera Bierkampa, pani Krysia. Ów Bierkamp tam mówi: „Dajmy Polakom zwalczać się wzajemnie. Nie ma lepszej metody. Z przyczyn politycznych sami spośród siebie eliminują tyle ważnych dla konspiracji figur, ile my nigdy nie moglibyśmy wytłuc, bo brak nam środków i sił”.

– Cytuje to pan? Trzeba mieć rzeczywiście „komputerową pamięć”, pułkowniku...

– Raczej to streszczam... To nie jest dokładny cytat, ale tak właśnie mówił, „*expressis verbis*”²³ SS-Oberführer, pani Krystyno. I miał słuszność. W tej gigantycznej konspiracji, jaką była AK, rozmaite nurty ideologiczne ciągle się wzajemnie wadziły i podejrzewały, więc gęsto padał trup. Zwłaszcza że roilo się od „*podwójnych agentów*”. Mnóstwo ludzi pracowało dla Szwaba wskutek konspiracyjnego przydziału, bo różne komórki i piony AK chciały mieć swoje wtyczki w Gestapo, w Abwehrze lub w innych służbach czy urzędach niemieckich. Lecz tacy fikcyjni kolaboranci musieli być bardzo dobrze utajnieni, to znaczy: mogło o ich pseudokolaboranctwie wiedzieć bardzo niewielu członków AK – tylko ich szefowie, ich komórka lub ich pion. Więc gdy zostali namierzeni jako współpracownicy Szkopów przez inny pion lub inną komórkę – byli rozwalani jako zdrajcy, bo wewnętrzna komunikacja Armii Krajowej szwankowała, ciągle się rwała, posiadała luki, pełno było niedociągnięć i błędów. To normalne – w wojennych, frontowych grach tak dużej i skomplikowanej struktury konspiracyjnej nie może być ona idealnie funkcjonującą maszyną, precyzyjnie sterowaną przez jedno panujące nad wszystkim centrum. A jeśli dodać do tego problemy rywalizacji, zawiści, wzajemnej wrogości partyjnej, mściwości czy bałaganu... Nic, co ludzkie, nie było im obce, pani Krystyno. Lecz historiografia patriotyczna buduje monolityczny pomnik armii kryształowych herosów.

– Może tak jest lepiej...

– Dla zbiorowej pamięci i świadomości narodu – z pewnością. Ale dla historycznej prawdy – niezbyt. No i dla tych pechowców, którzy dali łeb przez pomyłkę lub przez partyjny, bratobójczy zapal. Zbyt

²³ Dobitnie, wyraźnie (łac)

dużo było tych pechowców. Można jeszcze zrozumieć takie przypadki, jak rozwalenie przez Gwardię Ludową nadkomisarza policji „granatowej”, pułkownika Reszczyńskiego, bo czerwoni nie wiedzieli, że był on cennym informatorem kontrwywiadu AK. Lecz rozwalenie Wandy Kronenberg przez żandarmerię AK... Kronenberg pracowała dla AK jako sekretarka warszawskiego biura Abwehrstelle. Rąbnęli ją nieświadomie koledzy z własnej organizacji, co później zostało uznane za tragiczną pomyłkę przez niepanujących nad wszystkim szefów.

– Ile mogło być takich przypadków, pułkowniku?

– Pani chce, żebym powiedział: cztery, albo osiem, czyli istotnie margines. Tymczasem nikt nie wie ile, właśnie dlatego, że nikt nie chce zbyt dokładnie tego sprawdzać, nikt nie chce się babrać kompromitującym „*marginesem*”. Historycy zwą takie problemy – problemy „*podwójnych agentów*” – „*konspiracją w konspiracji*”. Według mnie, winno się raczej mówić o konspiracji w historiografii, i o szukaniu łatwych rozwiązań maskujących prawdę.

– Jakich rozwiązań, pułkowniku?

– Choćby takich, jak szermowanie antysemityzmem, pani Krystyno.

– Antysemityzmem?

– Tak. W czerwcu 1944 zastrzelono pracowników BIP-u, Biura Informacji i Propagandy Komendy Głównej AK. Docenta Widderszala, inżyniera Makowieckiego i żonę Makowieckiego. Ponieważ Widderszal i żona Makowieckiego byli Żydami, ukuto łatwą wersję: mord został dokonany rękami bandytów Sudeczki, lecz z inspiracji lub wręcz z rozkazu nacjonalistów, eneszetowców pracujących w AK, gdyż Narodowe Siły Zbrojne, NSZ, chociaż weszły w skład AK, nie zaprzestały antysemickiej działalności. Tymczasem taka wersja nie ma dowodów, wskazuje się różnych możliwych inspiratorów mordu, wiadomo tylko, iż była to prowokacja.

– Pan wie czyja?

– Wiem, enkawudowska. Sudeczko dał swoich chłopców do tej egzekucji, bo go przekonano, że Makowiecki i Widerszal są zdrajcami pracującymi dla czerwonych lub dla Szkopów.

– Jeśli dobrze wcześniej zrozumiałam, ten Sudeczko był szefem bandy. Zwykłej bandy?

– Tak, rabunkowej bandy, gangu, zespołu rewolwerowców, ale to nie była zwykła banda, tylko największa w Warszawie, królewska, a do tego przybierająca pozy patriotyczne i współpracująca z Armią Krajową. AK podnajmowała Sudeczkę do „mokrych robót”.

– Czyli do zabójstw?

– Tak, do egzekucji. Z problemem tych akowskich egzekucji zrobił się w pewnym momencie kłopot, bo zbyt dużo było tych egzekucji. Na hitlerowskich dygnitarzach i oprawcach, na Volksdeutschach, na wszelakich kolaborantach, zdrajcach, domniemywanych zdrajcach, szmalcownikach i kapusiach, na kimkolwiek oskarżonym lub podejrzanym. Formalnie była to egzekucja wyroków ferowanych przez podziemne sądy AK, a więc „w majestacie prawa”, czyli praw Polskiego Państwa Podziemnego. Nie wolno było uprawiać samowoli – musiał tu być „legalny” wyrok, pani Krysiu. Jednak nie każdy się tym przejmował, „samowolki” były częste... Muszę się napić, może i pani zwilży gardło...

– Tak, napiję się...

– Alkoholu?

– Nie, soku.

– Kazałem przygotować dla pani kilka rodzajów soku.

– Dziękuję... wezmę pomarańczowy.

– Tyje się od niego, to pani nie przeraża?

– Przeraża mnie to, co pan mówi, panie pułkowniku.

– A o czym mówiłem?

– Że z egzekucjami zrobił się w pewnym momencie kłopot.

– Tak, bo wyroki podziemnych sądów wykonywała akowska młodzież ze specjalnych komórek egzekucyjnych. I ta młodzież coraz częściej pękała. Egzekucji dokonywano na ulicy, na podwórku, na klatce schodowej, w bramie lub mieszkaniu. Jeśli okoliczności zezwalały, trzeba było najpierw czytać skazanemu wyrok, i dopiero strzelać. Ale ten skazany już klęczał i błagał o litość, płakał, ślinił się, żebrał, całował buty. Nierzadko płakały przy nim jego dzieci i skowyczała żona. Zdarzało się, iż żona zasłaniała go lub szarpała się z egzekutorami, więc ginęła również. To był koszmar, a rutyna częstego zabijania nie mogła tu pomóc – im częściej, tym robiło się gorzej. Ci chłopcy byli szczęśliwi, kiedy danego dnia nie musieli pracować splaną, tylko brzytwą...

– Jak to brzytwą?! Byli szczęśliwi, że nie muszą danego dnia strzelać, tylko podrzynać gardła?!

– Nie, pani Krysiu. Brzytwami golono łby dziwkom, kochankom Niemców, a było dużo takich szwabskich utrzymanek. To też jest wstydliva karta, gdyż mnóstwo Polek żyło z Niemcami, każdy niemiecki oficer i prawie każdy podoficer miał kochankę, od groma było takich „szwabskich dup”. Golono im te fryzury „na łysą palę” – [to siazywało - „na nul” – B.P.M.] musiały potem chodzić w chustach, jak wiejskie baby. Egzekutorzy woleli robić to, niż strzelać. Zabijanie ludzi nie podczas bitwy, zabijanie płaczących, błagających, czołgających się, przy żonach i dzieciach, to koszmar, pani Krysiu. A gdy nie raz okazywało się później, iż nastąpiła „tragiczna pomyłka” – że rozwalono niewinnego – chłopcy pękali. Uświadamiali sobie, że są bardziej komandem zwykłych katów, niż patriotyczną grupą bojową. Pękali również z innego powodu. Każda wykonana przez nich egzekucja skutkowała niemieckimi masowymi represjami. Za każdego rozwalonego Szwaba bądź Volksdeutscha Niemcy stawiali pod mur kilkudziesięciu „zakładników”, często ludzi zgarniętych z ulicy w łapance. Ten rachunek był fatalny – ta matematyka, chociaż

nie gnębiła dyspozytorów, lecz dobijała egzekutorów. Wielu koło stres alkoholem, pili na umór, morale się waliło. A upadkiem morale szefowie się martwili. Podjęcie bandziorów uznano za niezłe rozwiązanie, Sudeczko był jak znalazł.

– Oficjalnie to zrobiono?

– Nic nie robiono oficjalnie. Dzisiaj żyjący jeszcze starszycy z różnych komórek AK wzajemnie się oskarżają o cichą współpracę z szajką Sudeczki, co tylko znaczy, że współpracowały z nim różne pioniry Armii Krajowej. Przede wszystkim kontrwywiad AK, tak zwany referat 996 Komendy Głównej AK. Ale nie tylko oni, Sudeczko był „złotą rączką” dla różnych akowskich nurtów.

– Jak długo to trwało?

– Od wiosny 1943 roku... Kontakty akowców z Sudeczką początkowo ograniczały się tylko do tego, że wykorzystywano jego lokale, których miał w Warszawie kilka. Chodziło głównie o lokal przy placu Krasieńskich. Tam była restauracja-kawiarnia Sudeczki, na pierwszym piętrze dawnego magazynu futrzarskiego żydowskiej firmy „Karmazyn”, blisko ulicy Długiej. Z okien świetnie było widać fronton „Hotelu Polskiego” przy Długiej, który akowcy pragnęli mieć pod stałą obserwacją. I Sudeczko zezwolił im zrobić u siebie punkt obserwacyjny. Obserwowali Żydów.

– Więc to był teren getta?

– Nie, na zewnątrz getta. „Hotel Polski”, pani Krysiu, to jedna z większych afer doby okupacyjnej. Zwabiano tam ukrywających się bogatych Żydów, którzy mieli paszporty cudzoziemskie, głównie południowoamerykańskie. Żydzi kolaborujący z Gestapo rozpuścili wieść, iż Niemcy będą posiadaczy takich paszportów wymieniać na niemieckich obywateli internowanych w Ameryce, bo została zawarta specjalna umowa między aliantami a III Rzeszą. Właściciele paszportów musieli się zgłaszać do „Hotelu Polskiego”, skąd miano ich ekspediować do niemieckich obozów przejściowych.

Pierwszą grupę rzeczywiście wyekspediowano do miasta Wittel, a przysyłane z Wittel listy tych szczęśliwców upewniły kolejnych kandydatów, że to jest prawdziwa szansa ocalenia. Lecz następne transporty z „Hotelu Polskiego” szły już do komór gazowych Sobiboru Łącznie ośmuset bogatych Żydów, których majątki zagarnęła Rzesza.

– Powiedział pan: „Żydzi kolaborujący z Gestapo”...

– Mnóstwo Żydów kolaborowało z Gestapo... Ja wiem, że to brzmi strasznie, ale taka jest prawda. Bez żydowskiej policji Szkopy nie dałyby rady spacyfikować żydowskich tłumów wywożonych z gett do krematoriów. A brutalność tej policji grubo przekraczała brutalność żandarmerii niemieckiej – to były prawdziwe bestie, pani Krystyno. Podobnie działo się ze szmalcownikami wyłapującymi ukrywających się Żydów. To byli i goje, i pracujący dla Gestapo Żydzi, lecz ci kolaborujący Żydzi byli groźniejsi, bardziej zawzięci. Szmalcownik goj chciał tylko oskubać schwytanego Żyda, zaś kolaborujący Żyd wydawał współplemieńca gestapowcom. AK rozwalala szmalcowników gdzie mogła, lecz ten proceder piecił się cały czas.

– Czy AK coś zrobiła z owym „Hotelem Polskim”?

– Nie zdążyła. Kiedy było już po wszystkim, ukarała winowajców, grupę Lolka Skosowskiego. To był Żyd z Łodzi. Gestapo aresztowało go w Łodzi i zwerbowało. Przerzucono go do Warszawy, dano żydowskie mieszkanie przy ulicy Nowogrodzkiej, i on stworzył dwudziestoosobową grupę kolaborantów, samych Żydów, którzy zajmowali się łowieniem swych pobratymców ukrywających się na stronie aryjskiej miasta. Mistyfikacją z „Hotelem Polskim” kierowała właśnie ta grupa, oczywiście nie bez udziału funkcjonariuszy Gestapo. Kontrwywiad AK zaczął rozpracowywać grupę Skosowskiego inwigilując młodą Żydówkę o nazwisku Jezusek, sekretarkę w biurze handlowo-transportowym. Do tego biura

wprowadzono członkinię kontrwywiadu, Alicję Hübner, kryptonim „Lilka”, siostrę znanego później dyrektora teatru. W listopadzie 1943 zespoły egzekucyjne Kontrwywiadu Okręgu Warszawskiego AK rozwały całą tę grupę żydowskich renegatów. Samego Lolka zastrzelono wewnątrz restauracji, przy rogu Nowogrodzkiej i Marszałkowskiej. Resztę grupy – w gestapowskim lokalu przy ulicy Solec. Ponieważ rozwalono wszystkich tam zebranych, zginęła również, z rąk swych kolegów, agentka Oddziału III Komendy Głównej AK, która właśnie penetrowała grupę, a egzekutorów nikt o tym nie poinformował. Bałagan, jak to podczas wojny – gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą. Proste, pani Krysiu?

– Bardzo proste...

– Otóż wcale nie tak bardzo, droga pani. Dużo wcześniej Lolek Skosowski został ranny, bo inna komórka AK próbowała odstrzelić łobuza jako szefa gestapowskiej siatki na terenie getta. Cudem przeżył, udając martwego, ale się wystraszył. Dotarło doń, że Niemcy mogą przegrać wojnę, więc trzeba się zabezpieczyć. Nawiązał wówczas kontakt i z czerwonymi, to jest z Gwardią Ludową oraz PPR-em, i z akowcami, to jest z Wydziałem Bezpieczeństwa Spraw Wewnętrznych Delegatury Rządu londyńskiego, tak zwanym „Stożkiem”, tudzież pono z BIP-em. Lolus został więc „potrójnym agentem”: agentem GL, AK i Gestapo! Grał na trzy strony. Kiedy Gestapo aresztowało szefa „Stożka”, adwokata Myślińskiego – jego zastępcę, Gitterman, pseudo „Günther”, chcąc uwolnić pryncypała nawiązał kontakt z Gestapo za pośrednictwem Skosowskiego. Interwencja się udała – Gestapo wyraziło zgodę. Ale nie darmową, pani Krysiu. Ceną miała być znana Delegaturze lista pracujących w Warszawie komunistów. I „Günther” tę listę dostarczył, a Gestapo uwolniło Myślińskiego. Takie handelki kontynuowano później – Myśliński toczył dialogi polityczne z SS-Hauptsturmführerem Spilkerem; kapitan

Kozubowski, pseudo „Mocarz”, szef Kontrwywiadu Okręgu Warszawskiego AK, notabene znajomy Andrzeja Sudeczki, dialogował z SS-Hauptscharführerem Müllerem, pracownikiem Referatu IV N Gestapo; Gitterman-„Günther” dostarczał informacje SS-Scharführerowi Kurtowi Steigerowi, notabene Łodzianinowi, byłemu podchorążemu Wojska Polskiego; i tak dalej, i tak dalej. Część „*dubeltowych agentów*” została przez AK rozwalona. „Günthera” zastrzelono na terenie Krakowa, w maju 1945 roku, bo Delegatura bała się, iż może ujawnić triumfującej „*władzy ludowej*” tajniki kontaktów roboczych między AK i Gestapo. Wcześniej, za Powstania Warszawskiego, rozstrzelano Ryszarda Sędka, pseudo „Jedenasty Palec”, współpracownika Referatu 996, czyli kontrwywiadu Komendy Głównej AK, i równocześnie agenta Gestapo oraz Abwehrstelle... Ten „Jedenasty Palec”, prowadzony przez SS-Hauptsturmführera Fuchsa, to materiał na cały romans sensacyjny, mógłbym opowiadać pani o nim długo, lecz chyba pani się już w tym wszystkim gubi...

– Gubię się w tym kompletnie, panie pułkowniku.

– I pewnie nie wierzy mi pani do końca. A ja przecież opowiedziałem pani tylko drobny ułamek tych gier i spraw czasów okupacji. To była prawdziwa dżungla...

– „Dżungla luster”?

– Dżungla tysiąca luster, pani Krystyno... Kiedyś się dziwiłem, że komuna, mająca przecież tylu usłużnych historyków – Garlickiego, Holzera i spółkę – nie drukuje sążnistych prac na temat akowskich brudów. Zwalczali AK podczas wojny i po wojnie – represje, egzekucje, tortury, farsy sądowe, et cetera – aż do 1956 roku. A później przestali. Zastanawiając się dlaczego, znalazłem tu dwie przyczyny, lecz nie wiem, która z nich była ważniejsza. Moda na kontrhitlerowski patriotyzm, na kultywowanie pamięci o walce przeciwko niemieckim okupantom, skłoniła partię do fałszu – do

równania zbrojnego wysiłku czerwonych i akowców. Wysiłek czerwonej partyzantki – Armii Ludowej i Gwardii Ludowej – był żalosny, tudzież tragiczny, bo to były głównie rzezimieszki napadające bezbronych wieśniaków i mordujące Żydów, a wkład tych band w walkę z hitlerowcami był prawie żaden. Tymczasem organizacje kombatanckie pękały od alowców, których dzięki temu równano jako bohaterów z akowcami. Akowcy, „*nolens volens*” [Chcąc nie chcąc (łac)], przystawali na to. Za jaką cenę? Czy tylko za cenę pieśczenia przez władze tych kombatanckich organizacji, brania kombatanckich rent i emerytur, dostawiania orderów?... Czy może również za cenę milczenia przez władze o akowskim „*marginesie*” walki zbrojnej?

– Takie demitologizujące książki nic by wówczas nie dały, społeczeństwo wzięłoby je za propagandę komunistyczną, panie pułkowniku.

– Być może. A teraz druga hipoteza: oba kluby, i czerwony, i biało-czerwony, zawarły cichy pakt w kwestii brudów, czyli „*marginesów*” – żadnego wielkiego prania, nie obrzucajmy się zbyt gromko błotem. Pakt mądry, bo walenie butem w błoto jest jak plucie pod wiatr.

– Widocznie partia miała więcej do ukrycia, pułkowniku.

– Tak, jej sowiecki, stalinowski, enkawudowski rodowód był garbem straszliwym w społeczeństwie, któremu głoszone, że PRL to niepodległy kraj. Kraj demokracji, tyle że „*ludowej*”. Partyjni „*towarzysze*” wstydzili się, iż są chowu bolszewickiego. A że PRL jest krajem suwerennym, nie wierzył nikt ani tutaj, ani u was, prócz prezydenta Geralda Forda.

– Naprawdę?!

– Nie wiedziała pani o tym?... Ford był takim samym niedoukiem jak większość prezydentów. Idiocyzm o PRL-u, kraju całkowicie suwerennym, palnął na konferencji prasowej, podczas dialogu z dziennikarzami... My dzisiaj chyba już kończymy dialog?...

– Miał mi pan jeszcze opowiedzieć o swoim pierwszym „złotym rynsztoku” – o bandzie Sudeczki.

– Jutro, pani Krysiu. Kiedy widzę panią, cały czas myślę o złocie. Kiedy kontempluję pani włosy. Lśnią jak nitki złota. Fantastyczne – „*pure gold*”!²⁴ To chyba nie jest kolor naturalny, własny, musi pani chyba używać jakiegoś koloryzującego szamponu...

– Nie, w ogóle nie używam szamponów.

– Nawet firmy „Guerlain”?

– Nawet. Myję włosy jajkami. Ojczym poradził mi tę metodę, moja matka również to robiła.

– To mi przypomina pewną anegdotę, pani Krysiu. Słyszała pani o aktorze Szczepkowskim?

– Chyba tak... Chyba oglądałam jakiś film, jakąś komedię z tym aktorem... Nie pamiętam jaką.

– To był wybitny aktor, swego czasu ogromnie popularny. Kiedyś na przyjęciu podeszła do niego gospodyni, dama ze świecznika, pytając: „– *Panie Andrzeju, co pan robi, żeby mieć taką puszystą fryzurę, myje pan włosy jajami?*”. Szczepkowski uprzejmie odparł: „– *Rękami, łaskawa pani, rękami*”.

– Pan, pułkowniku, uwielbia obsceniczne żarty, przynajmniej lekko obsceniczne...

– To typowe dla starców, pani Krystyno. Chciałem panią trochę rozweselić, aby nie wyszła dziś pani w zbyt ponurym nastroju... Czy wie pani, które kurze jaja są w Polsce szczególnie cenione?

– Od jakiegoś specjalnego gatunku kur?

– Nie.

– Więc... więc chyba po prostu świeże...

– Tu chodzi o produkcyjne źródło. Nie te z ferm hodowlanych, lecz te wiejskie, te z zagrody, z przydomowego kurnika. Mówi się, że są to „*jaja prosto od chłopa*”, „*chłopskie jaja*”, pani Krysiu.

24 Czyste złoto (ang.)

- Rozumiem.
- Co pani rozumie?
- No, że kury są tam inaczej żywione, mają pokarm naturalny.
- Obawiam się, że nie w pełni pani zrozumiała ten żart.
- To był żart?
- Obsceniczny żart, równie obsceniczny jak tamten. Świntuszące niuanse polszczyzny. Do widzenia, pani redaktor.
- Do widzenia, pułkowniku.

Sesja 7

- Dzień dobry, panie pułkowniku!
- Witam, witam!
- Już lepiej ?
- Tak.
- Naprawdę?
- Ano, jeśli łapiduchy zezwoliły mi spotykać się z panią znowu...
- Znaczą: lekarze?
- Tak dawniej żartobliwie przezywano medyków, pani Krystyno, ale dzisiaj już ten wyraz nie bardzo funkcjonuje, szkoda, bo śliczny.
- Całe te dwa tygodnie spędziłam w strasznych nerwach o pańskie zdrowie, pułkowniku.
- A nie o swojego Pulitzera?
- Nie. To dziwne, mnie samą to dziwi, lecz brakowało mi tych spotkań i tych rozmów.
- To wcale nie dziwne, to normalne, przywiązujemy się do ludzi, do kotów, do psów...
- Jakby zaczęła działać nałóg, bo wzięłam kilkakrotnie narkotyk...
- Jeszcze trochę... i okaże się, że zaczęła mnie pani lubić, proszę się nie rozpędzać.
- Co spowodowało ten gwałtowny kryzys u pana?... Nasze dialogi?
- Inne dialogi.
- Czyje?
- Moje dialogi z moimi ludźmi, którym zleciłem pewną kwerendę, a oni nie potrafią wykonać zadania... Miałem atak gniewu, który się źle odbił na organizmie, bo organizm już całkiem do dupy, pani Krystyno... Jak się pani podobają okołowyborcze palpacje

demokracji w sarmackim kraju? Przez te dwa tygodnie mogła się pani napatrzeć że hej! Zdradliwa sekretarka, fałszywe dokumenty, lewe interesy, cyrk w hospicjum, dziadek w Wehrmachcie, itede, itepe! Chłopcy się pięknie bawią!

– To nie jest dla mnie nic bulwersującego, pułkownika. U nas przy każdym wyborach błoto fruwa wokół kandydatów nieustannie. Dawniej sekretarka w łóżku starczała, eliminowała kandydata, dzisiaj trzeba dużo cięższych grzechów. Polska szybko się uczy...

– Tak, ma pani rację, Polska szybko się uczy demokracji, a belframi i prymusami w tym szkoleniu są chłopcy ze służb specjalnych, moi niedawni koledzy i podwładni. To oni rozgrywają te wybory, ciężko między sobą walczyć.

– Chce mi pan powiedzieć, że tajne służby sfalszują wynik?!

– Nie, sfalszują tylko wyniki sondaży przedwyborczych, czyli dane ośrodków badania opinii publicznej.

– Po co?

– Będzie to miało pewien wpływ na rezultaty wyborów, jednak nie decydujący.

– A zawartość urn nie dozna fałszu?

– Nie, to już nie te czasy. Wyniki fałszowano podczas komuny, prawie pół wieku, zgodnie z dewizą Stalina, że nie jest ważne kto i jakie oddaje głosy – ważne jest kto głosy liczy. Dzisiaj głosy są liczone w miarę uczciwie, co nie zmienia faktu, że cała impreza pozostaje głupawą hecą, więc być może losowanie przynosiłoby lepszy skutek niż liczenie głosów.

– Aż tak preferuje pan tę kagiebowską „demokrację ludową” zamiast uczciwej demokracji? Rozumiem branzowy sentyment, ale przy pańskiej inteligencji, którą już poznałam...

– To jest właśnie problem inteligencji człowieka, pani Krysiu. „*Vox populi – vox Dei*”²⁵ emblematowe credo systemu demokratycznego,

25[Głos ludu jest głosem Boga (łac). W przenośni: werdykt ludu jest zawsze

obraża moją inteligencję, bo to jest nonsens zupełny. Pani doskonale wie, iż wśród głosujących osiemdziesiąt procent stanowią ludzie bardzo mało inteligentni, często debile, a ich głos jest głosem ignorancji, nie zaś rozumu. Słyszała pani zwrot „*dyktatura ciemniaków*”!

– Słyszałam, lecz nie pamiętam kto...

– Stefan Kisielewski, ksywka „Kisiel” – konserwatywny publicysta za PRL-u, miał ciągle kłopoty z cenzurą. Ludzie go uwielbiali, reżim mniej. Został wreszcie pobity na ulicy przez „nieznanych sprawców”, czyli przez zbirów bezpieki, właśnie za tę „*dyktaturę ciemniaków*”. Tak określił rządy czerwonych kacyków, całą tę nomenklaturę partyjną, która władała PRL-em.

– I komunistyczna cenzura mu to puściła?

– Nie, wydrukował to gdzieś za granicą, a wcześniej puścił to w publiczny obieg kawiarniany. Ja jednak zmierzam do mojej własnej konstatacji, iż ten sławny zwrot „Kisiela” równie dobrze, lub może nawet lepiej niż dyktatur bolszewickich, tyczy systemu demokratycznego. Bazą tego systemu jest wola większości – większość narzuca władzę. A że zdecydowana większość głosujących to ciemniacy, demokracja jest „*dyktaturą ciemniaków*”, despotią motłochu „*par excellence*”²⁶!

– To tylko słowne gierki, panie Heldbaum...

– Przytoczę pani słowną gierkę jednego z wielkich „ojców założycieli” Stanów Zjednoczonych, Johna Adamsa. Wyraził on na temat zbiorowej mądrości głosującego ludu taki sąd: „*Twierdzenie, że lud będzie najlepszym strażnikiem swoich praw, to bzdura niczym nieusprawiedliwiona. Jest on najgorszym, wręcz żadnym ich strażnikiem*”. Adams miał słuszność, historia dowiodła tego tysiące razy. Czemu tak się dzieje? Przez głupotę tłumu. Ale tępotą ujętą jednowyrazowo

słuszny],

26 W całym tego słowa znaczeniu (franc)

to diagnoza zbyt ogólna, zbyt prosta. W istocie chodzi tu o dwie konkretne cechy masy elekcyjnej: o jej isticie kobiecą kapryśność, i o jej dziecięcą wręcz łatwowierność. Efektu kapryśności, chimeryczności rzeszy ludzkiej historia doznawała w każdej epoce, modelowe przykłady daje nam już rzymska starożytność. Ta sama gawiedź, w ciągu jednej doby, oklaskuje i przemówienie Brutusa, i przemówienie Antoniusza, którzy walczą ze sobą słowami na śmierć. Ten sam tłum w ciągu tygodnia obwołuje Jezusa królem żydowskim i ryczy, by Jezusa ukrzyżować. Czyż potrzeba lepszego symbolu tej „*communis opinio*” [Opinia powszechna (łac.)], stanowiącej fundament demokracji? Cesarz Napoleon, świetny psycholog, pytany w dniu koronacyjnym czemu nie cieszą go wiwaty ludu Paryża, burknął: „– *Ci sami ludzie będą wiwatować kiedy pójdę na szafot, tłum jest zawsze taki sam*”. Zawsze taki sam, znaczy: zawsze niczym chorągiewka na dachu.

– Panie pułkowniku, proszę mnie już nie indoktrynować przeciw demokracji, mieliśmy mówić o...

– Nie, nie, pani Krysiu! Mieliśmy tu mówić o wszystkim, a zwłaszcza o tym, o czym ja chcę mówić! To się wszystko nagrywa, i pani to później umieści w książce, a ja chcę, żeby w tej książce była moja opinia o fetyszu postępu, a fladze wyzwolenia, o gadziecie niezawisłości rodu ludzkiego – o demokracji przedstawicielskiej! Nie mam zamiaru indoktrynować pani, obrzydzać pani demokrację, niech pani sobie zostanie filodemokratką, fanką urn, lecz proszę pomieścić w książce te moje wywody, żeby kiedyś, za czasu pani prawnuków, cytowano mnie jako klasyka. Więc... chwileczkę, pani redaktor na czym to skończyłem?...

– Na perorowaniu o chimeryczności zbiorowej, a przed perorowaniem o łatwowierności zbiorowej, pułkowniku.

– Tak! Dzisiaj można prezydenta lub senatora sprzedać ludziom jak tampon lub mydło. Masy łatwowiernych są łatwo-dźwięcznym

instrumentem dla reklamowych wirtuozów. Z zupełnych zer robi się gwiazdy – to tylko kwestia dobrego pomysłu i sprawnej kampanii medialnej. Za pomocą propagandy dobrze oliwionej dużymi pieniędzmi wepchnie się do urn każde gówno. Inaczej mówiąc: dzisiejsza demokracja to taki system, który daje laury mistrzom tumanienia mas. Czy pani rozumie do czego teraz zmierzam, pani Krysiu?

– Do zostania klasykiem, już pan mówił.

– Pytam o konkluzję. Do jakiej konkluzji zmierzam?

– Pewnie przewrotnej, ale nie chcę szczegółowo prorokować, bo moja indywidualna łatwowierność...

– Do triumfu Mefistofelesa, pani Krysiu!... Czymże innym jest demokracja, jak nie diabelskim wynalazkiem? Czyż jednym z głównych atrybutów demokratycznej cywilizacji nie stał się postęp etyczny, ów permissywizm prowadzący tradycyjną moralność na szubienicę, zaś rozwiążność na triumfalną scenę? Czyż heroldowie i rycerze republikanizmu, którzy krzyczeli, że demokracja wyzwala ludzi z poddaństwa, nie założyli cięższych kajdan ludziom? Obywatel kraju demokratycznego jest dzisiaj niewolnikiem tępej biurokracji, produkującej mnóstwo brutalnych przepisów-przymusów; wobec tej despotii wasalizm feudalny był drobnostką. Demokracja to triumf diabła, jak każdy z nadmiarów. Zgodzi się pani ze mną, pani redaktor?

– Tak, boję się nadmiaru cukru w moim organizmie, unikam słodyczy...

– A nadmiar wolności to nie jest groźniejsza sprawa?

– Nadmiar wolności?

– Cukierki może pani odstawić, lecz jak odstawi pani pieniążką się wokół rzeczywistość typu sto pięć procent, albo sto trzydzieści procent?

– Nie ma tylu procent, to jest wbrew matematyce, pułkowniku.

– Ale nie wbrew logice diabła. Każda demokracja jest chorobą, raz łżejszą, raz cięższą, i każda jest aberracją, bo uporczywie skręca w lewo, by przekroczyć sto procent sensu. Zaś powyżej stu procent sensu rozpościera się, jak sama arytmetyka wskazuje, ma pani rację, łąd nonsensu, kraina upiornej gry pozorów, sala balu maskowego, na którym pseudowolność nosi szaty królowej swobód, ekshibicyjna lubieżność przywdziewa welon tolerancji, hańba dźwiga strój rozsądku, bezprawie udaje sprawiedliwość, a władza paraduje w kostiumie Robina Hooda zabierającego bogatym, żeby dawać biednym to, co zostało z łupu ukradzionego wszystkim, zwłaszcza biedakom. I proszę nie przywoływać tu matematyki, demokracja bierze tylko sumowanie, vulgo buchalterie, zaś z logiki nie bierze niczego, ponieważ psychologia wyborów jest alogiczna, podobnie jak alogiczna jest psychologia tłumów. Gdyby koniecznie trzeba było szukać paralel między demokracją a matematyką wyższą – jedyne, co mógłbym wskazać, to problemy tak zwanych niestabilnych układów dynamicznych, na przykład rozpowszechnione przez Hawkinga „prawo chaosu”, lub „układy niecałkowalne Poincaré'ego”.

– Wolałabym, żeby wskazywał mi pan polityczne konkrety, panie pułkowniku. Czy jako nadwiślański diabeł zamieształ pan tu demokracją po roku 1989?

– Nie raz. I szkoda, że nie znalazłem tu nikogo, kto by zechciał się wtedy założyć na ciężką forszę o przyszłość komunistów. W 1990 roku każdy tutejszy politolog, tak zawodowy, jak i domorosły, każdy fachowiec i każdy amator, każdy dziennikarz i każdy historyk, słowem prawie każdy polski inteligent dałby głowę, że demokracja nie zezwoli komunistom odrodzić się politycznie wcześniej niż za dwadzieścia lat. A ja twierdziłem, że władzę zwrócą im już kolejne wybory. I tak się stało, w 1993 roku. Potem jeszcze raz wygrali, w 2001 roku. Masę elekcyjną urabia się jak masę tortową lub ciasto do pieczenia chleba...

– A słyszał pan, pułkowniku, o „wahadle wyborczym”?

– Sławetne „wahadło wyborcze” też miało swój wpływ tutaj, pani Krysiu, ale czyż ta cykliczna, regularna odwracalność werdyktów nie stanowi rytmicznego potwierdzenia kapryśności elektoratu, o której mówiłem? A że kapryśność odziewa się w rytmiczność... Jest ona siłą, która potrafi całkowicie zepsuć nawet elekcyjne działania specsłużb. Bo specsłużby są zawsze, powiedziałbym: wręcz rutynowo, aktywne przy elekcjach. Teraz również chłopcy grają na całego.

– Przecież teraz zwycięży prawica, to pewne!

– Jasne, że pewne. Teraz rozgrywa się bój o kolejny żłób. Czerwony żłób funkcjonował za poprzedniej kadencji, a czerwony układ runął pod lawiną afer korupcyjnych, które zostały ujawnione przez wolne media, prawda, pani Krysiu?

– No... no tak. Tak było. Dziennikarze ujawnili mnóstwo afer.

– I mnóstwo dokumentów. Bez kompromitujących dokumentów to byłyby nie ujawnienia, lecz pomówienia, bo tylko dokumenty uwiarygodniają oskarżanie dygnitarzy lub biznesmenów o czyn kryminalny. Mam rację, pani Krystyno?

– Ma pan, ale o co panu chodzi, pułkowniku?

– O źródło tak regularnego i tak masowego wycieku tych brudnych papierów z pancernych kas. Co tydzień afera, czasami dwie tygodniowo, lub trzy. Dziennikarskie żniwa, trwające już prawie rok. Widocznie gdzieś jest kolorowy jarmark, na którym można kupić ze straganów dowolny papierek lub dowolną fotkę...

– Przecież tutaj, jak i w Stanach, funkcjonuje „dziennikarstwo śledcze”, pułkowniku...

– Chce mi pani powiedzieć, że bardzo obrotni „dziennikarze śledczy” co tydzień wyluskują z ministerstw i z urzędów, a także ze specsłużb i z policji, góry tajnych dokumentów i fotek?

– Nie mówię, że co tydzień...

– A jednak ma to u nas miejsce prawie co tydzień, nieustannie żniwo „śledczych reporterów”. Strasznie łatwo im to idzie. Mają widocznie dużą siłę perswazji, że tak bez przerwy i bez trudu łowią tyle sekretne materiały do upublicznienia. Najwyraźniej co drugi urzędnik i funkcjonariusz para się w tym kraju sabotażem – dekonspirowaniem tajnych papierów własnej instytucji. I to bez żadnych konsekwencji, nikogo jeszcze za te „przecieki” nie skazano, choć proceder, czy raczej: zabawa, trwa już około roku!

– Więc kto się tym bawi, służby?

– Tak, pani Krystyno. Chłopcy ze służb cywilnych i wojskowych żrą się między sobą, dostarczając mediom „kwity” na konkurencję. Zwiemy to „walką brytanów pod dywanem”, lub „buldogów”.

– O co się żrą? O kompetencje, wpływy i zakres działania?

– O takie rzeczy to żrą się FBI z CIA, i częściowo FSB z GRU. A nasi chłopcy żrą się o strefy wpływów gospodarczych, vulgo: o władzę kapitałową, czyli tę jedyną realną, dużo ważniejszą niż tytułarna administracyjna bądź samorządowa. Jest tutaj o co walczyć, po wyborach nastąpią duże przetasowania u złobów, u kanałów przepływu, u wszelakich dojsć. Ta walka ma różne poziomy. Generalnie: ścierają się wojskowi z WSI, czyli z Wojskowych Służb Informacyjnych, oraz cywile i mundurowi z ABW, czyli z Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, plus jeszcze wywiad i kontrwywiad cywilny. Przed upadkiem komuny to były WSW, czyli Wojskowe Służby Wewnętrzne, oraz Departamenty I, II i III Służby Bezpieczeństwa. Departament III przemianowano na ABW, zaś I i II na wywiad i kontrwywiad. Ale w detalach walka toczy się również pokoleniowo – falanga młodszego pokolenia chce wysiudać staruchów, bo ci się już dosyć nażarli... Jak to w przyrodzie, pani Krysio. By nie rzec: jak to w demokracji. Szekspir i Darwin śpiewający unisono – dworskie spiski plus selekcja naturalna. Zgrabnie rzecz ująłem?

– Jestem pod wrażeniem, pułkownika. Zwłaszcza ten Darwin...

– A co, czyż nie pisał o warunkach przetrwania lub ginięcia gatunków?

– Według pana gatunek ludzki może dzięki demokracji wyginąć?

– Dzięki demokracji jest dużo bliżej apokalipsy, pani Krysiu, pada więcej trupów.

– Więcej niż za Czyngis-chana i za krucjat?

– Więcej. Stalin, Hitler, Maozedong i Pol Pot zdeklasowali dawne hekatombie. Co jednak nie znaczy, że dyktatury bądź oligarchie arystokratyczne przodują tutaj. Republiki nie są pod tym względem, pod względem krwawego urobku, gorsze od monarchii. Kant, chociaż taki mędrak, mylił się grubo. Wie pani o kim mówię?

– Tak... to znaczy... on był pisarzem? Lub kompozytorem...

– Jako filozof bywał pisarzem. Między innymi wyprodukował esej „O idei wiecznego pokoju”, w którym, lekceważąc historię, czyli fakty, twierdził jak idiota lub kłamca, że wojny są rozpętywane tylko przez monarchie. Pisał to właśnie wówczas, gdy republikańska Francja wypowiedała wojnę za wojną reszcie Europy. Demokracja Dantonów, Saint-Justów, Robespierre’ów... Pani Krystyno, chyba uczono panią skąd się wzięła demokracja?

– Z Grecji starożytnej.

– Właśnie. Grecy wymyślili demokrację jako ustrój kontrdynastyczny, kontrmonarchiczny, zdrowszy, to jest bardziej sprawiedliwy i bardziej humanitarny od rządów arystokracji, które tak chętnie przybierają formę ustroju tyrańskiego. Lecz piękna teoria i późniejsza praktyka rozminęły się katastrofalnie. Pod rządami władz republikańskich dokonano w ciągu z górą dwóch tysięcy lat tyle samo lub może więcej zbrodni przeciwko życiu i prawu, co pod rządami herbowych despotów – królów i książąt. Dzisiaj taki ranking nie ma sensu, gdyż większość ważnych krajów świata kultywuje już demokrację. I co? Planeta Ziemia kąpie się we

krwi, w bezprawiu, w gwałcie, w łapownictwie i wszelakim bandytyzmie, a skala horroru jest większa i rośnie wciąż. Wiek XX był najkrwawszy w historii – ponad dwieście milionów ofiar! Zatem, pani Krysiu, triumf demokracji nie przyniósł ludziom nic lepszego – ani pokoju, ani wzrostu prawości, godności, sprawiedliwości, bezpieczeństwa tudzież innych chwalebnych, wymarzonych „bonusów”. No to na cholereę nam to było, po co reformowaliśmy świat? Aby móc biegać do urn?...

– Przecież pan go nie reformował dla demokracji, pułkowniku, pan, jako kagiebista, kultywował zamordyzm.

– No, niby tak... Lecz jako Mefistofeles kultywowałem zgryw i z demokracji, i z zamordyzmu – ze wszystkiego. Już jako członek bandy Sudeczki robiłem sobie zgrywy, o mały włos, a dostałbym za to w łeb, bo Sudeczko miał inne poczucie humoru.

– No właśnie. Kiedy dwa tygodnie temu kończyliśmy tamtą rozmowę...

– Tamtą sesję nagraniową. To była szósta. Dzisiejsza jest siódma.

– Obiecał mi pan wtedy, że podczas kolejnego spotkania usłyszę więcej o pańskim pierwszym „złotym rynsztoku”.

– Czyli o bandzie Andrzeja Sudeczki... Jego prawdziwe nazwisko brzmiało inaczej: Andrzej Popławski. Lecz przybierał różne nazwiska: Odoliński, Michalski, Sudeczko. I to Sudeczko zostało mu... Kiedy go poznałem, miał jakieś czterdzieści lat. Krępawy brunet, już siwiejący, farbował włosy. Twardziel, nerwus, pyskacz. Życie ludzkie niewiele dla niego znaczyło, ale sam się też nie oszczędzał, był bardzo odważny. Specjalnie przystojny nie był, ale dziewczyny lubiły go. W takich czasach dziewczyny lubią watażków... Wszyscy zazdrościli mu Romy, Cyganki z Rzeszowskiego, prześlicznej dziewczyny, która później, jak już weszli tu Sowietci, została „polonistką”.

– Cyganka została nauczycielką polskiego w szkole?!

– Nie w szkole, tylko w hotelu „Polonia”, i nie polskiego, a francuskiego czyli oralnego, pani Krysiu. Hotel „Polonia”, u zbiegu Alej Jerozolimskich i Marszałkowskiej, to był jedyny duży gmach w centrum Warszawy, którego bomby nie zrujnowały, więc po wojnie nawet rząd się tam zbierał, i tam kwitło życie towarzyskie, handlowe, bankietowe, cinkciarskie, słowem kwitł tam świat i półświatek każdego rodzaju. prostytutki z „Polonii” to była ekstraklasa. Zwano je „*polonistkami*”... Sudeczko ubierał tę swoją Romę jak lalkę, zadawała szyku. Sam najchętniej nosił mundur tramwajarza. Mówiono, że przed wojną był sierżantem, lecz w istocie był cywilem, ogrodnikiem. A politycznie blisko mu było do narodowców, tych mocno kościelnych, praktykował katolicyzm sumiennie niczym dewot.

– I to mu nie przeszkadzało być bandziorem?

– Ten jego bandytyzm, pani Krysiu, okazał się patriotyczny jak cholera... Facet nienawidził żydokomuny, nienawidził Ruskich i nienawidził Szwabów. Ruskich wtedy w Warszawie nie znano, a żydokomuna, czyli agentura Kremla, była biedna jak mysz, łupić więc można było tylko Szwabów. Łupić, żeby handlować, czyli żeby żyć. Wie pani jaka melodia była w Warszawie najpopularniejsza za okupacji? Meksykański szlagier „Cielito lindo”. Do melodii refrenu śpiewano: „*Kto handluje, ten żyje!*”. Handlował kto mógł i czym mógł. Inteligencja wyprzedawała księgozbiory, ziemiaństwo wyprzedawało relikwie rodzinne, Żydzi wyprzedawali złoto, mnóstwo ludzi przemycało ze wsi do miast nielegalną „*rąbankę*”...

– Czyli co?

– Mięso oraz wędliny. Każdy czymś handlował. Sudeczko handlował dobrem niemieckim rabowanym na bocznicach kolejowych. Założył bandę złodziei kolejowych i wyczyszczał wagony z różnych deficytowych dóbr. To był niebezpieczny, lecz bardzo intratny biznes. O ile etatowy członek AK brał żołąd w wysokości

tysiąca złotych – o tyle członek bandy Sudeczki dostawał minimum pięć tysięcy złotych miesięcznie, średnia wynosiła dziesięć tysięcy, górny pułap szesnaście tysięcy. Nie licząc „*deputatów*” i premii za szczególnie udane akcje.

– Co to są „*deputaty*”!

– Wynagrodzenie płacone w naturze, towarami z akcji rekwizycyjnych.

– Jak duża była ta szajka?

– Sudeczko miał najpierw kilku dawnych, jeszcze przedwojennych kompanów. Później banda urosła do dwudziestu ludzi, a kiedy współpracował z Armią Krajową, miał już około sześćdziesięciu chłopaków. Głównie młodziaki z inteligentkich domów, kowbojszczyzna, podniecała ich przygoda literackiego rodzaju, trochę kryminalna, a trochę patriotyczna, westernowi bandyci dokuczający okupantom, Sudeczko zapewniał tę dubeltową emocję lepiej niż AK czy NSZ.

– Cóż to za emocje, ciągle włamywanie się do kolejowych wagonów?

– Ta wąska kolejowa specjalizacja, pani Krysiu, była tylko na początku, a później banda wyspecjalizowała się w innych napadach, o których robiło się dość głośno. Sam brałem udział w kilkunastu... Nieudany był tylko skok na cukrownię „*Józefów*” w Lesznie koło Błonia – ochrona szwabska grzała zbyt mocno. Inne akcje przynosiły duży łup. Obrobiliśmy sklepy Meinla, magazyn farmaceutyczny Spiessa, fabrykę „*Herbewo*” na Pradze, magazyny mundurowe Wehrmachtu przy Długiej, magazyny kolejowe przy Karolkowej, dworzec towarowy „*Syberia*”, bocznice „*Drago*” na Woli, restaurację przy Puławskiej, bank „*Spółem*” przy placu Wilsona, było mnóstwo takich akcji.

– Po co napadaliście na magazyny mundurowe Wehrmachtu? Konieczne wam były setki mundurów hitlerowskich?

– Nie, ale tam trzymano kapitalną bieliznę Wehrmachtu, czyli po prostu doskonałą męską bieliznę, to był bardzo łakomy towar, przebój bazarowy. Ten napad dał Sudeczce ogromny zysk. Większy zysk dała chyba tylko akcja na fabrykę słodczy Fuchsa, przy ulicy Topiel. Rąbnęliśmy tam ze dwieście dwadzieścia ton czekolady i cukierków, plus dwa samochody, ale później zrobiła się chryja, bo zginął urzędnik fabryki, który był wysokim oficerem AK, więc akowcy mieli duże pretensje.

– Jak się zaczęła współpraca bandy z Armią Krajową?

– Od jakichś zakrapianych spotkań w restauracji w drewnianym dworku przy ulicy Grójeckiej, blisko kościoła... Ja nie byłem figurą, byłem szeregowcem Sudeczki, więc nie brałem w tym udziału. Wiem, że i jedni, i drudzy stroszyli pawie pióra, starali się zaimponować sobie. Akowcy machali Sudeczce przed nosem stopniami wojskowymi, orderami, chwałą patriotyczną, zasługą ojczyźnianą, przejściem do historii et cetera, a on im swoją potęgą materialną tudzież organizacyjną. I rzeczywiście miał się czym puszyć, tym akowcom ślepa zrobiły się kwadratowe, kiedy zobaczyli jego magazyny broni przy Drewnianej, i przy Żelaznej, i przy Podwalu, no i ten główny, przy Mokotowskiej, między ulicami Piusa XI a Wilczą, na mansardzie piątego piętra od strony ulicy. Karabiny maszynowe, w tym diektariowy z płaskimi bębniami, erkaemy typu szmajser, bergman, browning, mnóstwo broni krótkiej wszelakiego rodzaju: waltery, parabelki, efenki, visy, colty, nagany, do wyboru, do koloru! No i aparat administracyjny klasy profesjonalnej: dział gospodarczy dysponujący barami, paszteciami itepe, dział księgowy, dział finansowy, kilku magazynierów, kilkunastu sprzedawców, plus sekretarki, łączniczki, lekarz, kapelan, to musiało robić wrażenie.

– Zawarto jakiś pisemny pakt?

– Wątpię, takich rzeczy się nie robi w konspiracji.

– Która komórka Armii Krajowej współpracowała z tym bandytą?

– Z Sudeczką współpracowało kilka pionów AK, i to niezależnie od siebie. Komiczne jest chociażby to, że był co najmniej dwukrotnie zaprzysięgany, pierwszy raz przez Kierownictwo Walki Cywilnej, drugi raz przez zastępcę szefa Referatu 996 KG AK, czyli kontrwywiadu, Tadeusza Kelusa, w lokalu RGO przy ulicy Widok. Ustalono wtedy, że połowę łupów będzie przekazywał Armii Krajowej. To była i broń, której akowcom ciągle brakowało, i wszelakie inne towary, również żywność. Gdy obrobiliśmy praski skład mięsa dla Volksdeutsche, każdy członek Komendy Głównej AK dostał parę kilogramów schabu i wędlin. Szyunki na Boże Narodzenie i na Wielkanoc hierarchowie AK dostawali od Sudeczki, jego chłopcy rozwozili te prezenty po domach.

– A co dostawał Sudeczko?

– Medale, no i chwałę akowca, mówiłem już. Członkowie bandy uczestniczyli w akowskich mszach polowych, gdyż byli wysyłani do lasu na profesjonalne przeszkolenie wojskowe. Mieli prawo uczestniczyć w wykładach tajnej Szkoły Podchorążych Piechoty, inkasowali stopnie podoficerskie AK, brali też udział we wspólnych akcjach bojowych z Armią Krajową, jak choćby czerwcową akcją 1944 roku, na szpital Jana Bożego. Sudeczko dał wtedy dwudziestu ludzi i samochód ciężarowy z kaemem, uwolniono kilkunastu więźniów. Ale nie za to dostał akowski medal. Sam „Grot”-Rowecki, komendant główny, podpisał rok wcześniej wniosek o przyznanie Sudeczce Srebrnego Krzyża Zasługi z Mieczami, za uratowanie życia żołnierzowi AK o pseudonimie „Żiżka 1”. Ten żołnierz, członek grupy ochronno-inwigilacyjnej Kontrwywiadu Okręgu, ranny podczas starcia z niemiecką żandarmerią, schronił się w lokalu Sudeczki, był tam melinowany w skrytce za lustrem, i później ewakuowany do szpitala Dzieciątka Jezus. Od tego zaczęły się regularne kontakty między Armią Krajową i bandą Sudeczki,

przekształconą potem w Grupę Specjalną Kontrwywiadu AK.

– A jak się skończyły?

– Zdecydował smród po śmierci członków BIP-u, Makowieckich i Widerszala, tuż przed połową czerwca roku 1944. Sudeczko dostał wtedy „cynk”, że wewnątrz Biura Informacji i Propagandy AK jest agentura wroga, wskazano mu Widerszala i Makowieckich jako żydokomunę lub, według innych, jako konfidentów Gestapo, tak czy owak miał ich rozwalić, co też zrobił przy pomocy swoich egzekutorów. Dzisiaj wskazuje się różnych rozkazodawców, głównie oficerów AK mających poglądy prawicowo-nacjonalistyczne, Kozubowskiego, Bieńkowskiego, Jamontta, Niedenthala i innych. Wtedy śledztwo wewnętrzne prowadził Oddział II Komendy Głównej AK. Postanowiono Sudeczkę zatrzymać i przesłuchać. W tym celu ludzie II Oddziału umówili się z nim na cmentarzu Powązkowskim...

– Dlaczego na cmentarzu?

– Sudeczko miał tam jedną z melin. W piwnicy wielkiego grobowca urządził sobie salonik z tapczanem, biurkiem, stołem i krzesłami. Do spotkania doszło 5 lipca 1944 roku...

– W tym grobowcu?

– Nie, na zewnątrz. Sudeczko zorientował się, że chcą go aresztować, sięgnął po broń i został zastrzelony przez jednego ze swoich ludzi. Przeze mnie.

– Przez pana, pułkownika?! Dlaczego?

– Taki miałem rozkaz.

– Rozkaz z NKWD?

– Byłem enkawudzistą. Dzięki temu wystrzałowi utrzymałem się w AK, podobnie jak większość ludzi Sudeczki. Dowodził nami zastępca Sudeczki, „Kornut”. A później było powstanie, a jeszcze później „wyzwolenie” przez krasnoarmiejców, a następnie praca w resorcie, i trzy lata po gomulzkowskim „Październiku” mój drugi złoty

rynsztok.

– W roku 1959. A więc w 1957 pracował pan jeszcze jako etatowy funkcjonariusz resortu?

– Tak. Dlaczego pyta pani o ten rok?

– Bo wtedy porwano i zamordowano Bohdana Piaseckiego, wątpię czy bez udziału pańskiego resortu.

– Słusznie pani wątpi, pani Krysiu.

– Brał pan w tym udział?

– Nie, krew tego dzieciaka nie plami moich rąk! Zginął z trzech powodów. Bo jego ojcem był stary Piasecki; bo dwie frakcje UB toczyły wówczas walkę o władzę; bo Żydzi mszczą się mordując potomstwo wroga, najchętniej synów.

– Piaseckiego-juniora zamordowali Żydzi?

– Tak. Ojciec Bohdana, Bolesław Piasecki, był wcieleniem antysemityzmu, czołowym przedwojennym faszysto-nacjonalistą, gwiazdorem ONR i Falangi – dla Żydów „*bête noire*”²⁷. W 1944 areztowało go NKWD. Miał dostać „*czapę*”, lecz Stalin pragnął mieć zdolnego dywersanta wewnątrz polskiego katolicyzmu, no i wytypowano Bolcia. General Sierow dał mu prosty wybór: do piachu, lub do władzy. I Bolo stworzył prokomunistyczną frakcję katolicyzmu. Żartowano, że ochrzcił marksizm bolszewicko-faszystowskim kropidłem, lub że skomunizował Kościół egzorcyzmami marksistowskimi. Nie odbyło się i tu bez „*cherchez la femme*” – bez znanej już pani artystki, madame Julii...

– Bez pułkownik Bristigierowej ?!

– Ummm. Dla tej Julii Bolo był chwilowym Romeem, podobnie jak Sierow. Sierow posłał ją do celi Piaseckiego, a ona wiedziała co i czym robić... Chyba wzajemnie działali na siebie mocno, gdyż bez wdzięków tej Żydówki gorliwy katolik Piasecki nie tak łatwo dałby się zmarksizować, zaś bez jego wpływu na tę Żydówkę ona nie

27 Osoba znienawidzona; dosłownie: czarny zwierzak (franc)

przyjęłaby katolicyzmu przed śmiercią. „Niezbadane są ścieżki Ducha Świętego”... Lecz inni Żydzi widzieli to wszystko inaczej, Żydzi rzadko darowują wrogowi śmiertelnemu.

– Mówił pan, iż resort Bezpieczeństwa był wówczas prawie całkowicie żydowski, więc chyba Żydzi mogli bez trudu wykończyć samego Piaseckiego, po co było mordować jego syna licealistę?

– Samego Piaseckiego trudno było ruszyć, bo on miał za plecami Moskwę, gdzie jego werbownik, Sierow, dyrygował KGB i GRU. A po drugie – rytualna żydowska zemsta uderza nie w samego wroga, lecz w jego dziecko. Żydzi mówią: „Chcesz się zemścić na wrogu, zabij mu syna”. To mądre, bo śmierć własna boli krótko. Z waszym superlotnikiem zrobiono numer identyczny.

– Mówi pan o Lindberghu?

– Tak, o Lindberghu. Był jednym z dwóch głównych antysemitów jankeskich, drugim był Henry Ford. Żydzi zapłacili Lindberghowi, porywając i mordując jego synka.

– Pan to mówi serio, pułkowniku?

– Nie tylko ja mówię to serio, ten fakt traktuje się u was serio do dzisiaj. Widzę, że nie czytała pani najnowszej powieści chluby współczesnej literatury amerykańskiej, Philipa Rotha...

– Nie czytałam, pułkowniku.

– To jest „political fiction”, świeżutka edycja, zeszły rok, tytuł: „Spisek przeciw Ameryce”. W 1940 prezydentem zostaje wybrany nie Roosevelt, lecz głośny zdobywca Atlantyku, Charles Lindbergh, który zawiera pakt z Hitlerem i wzniesie represje antyżydowskie jak Ameryka długa i szeroka... Żydzi mszczą się dalej, Roth to wojujący Żyd. Ciekawe jednak, że mszczą się tylko na antysemitach ultrapravicowych, nigdy na lewicowych. Stalinowi jakoś darowali czystki antyżydowskie choć były straszne, to był osobny sowiecki holocaust. Pezetpeerowcom darowali „antysyjonistyczne” czystki pomarcowe 1968 roku. Michnik kocha głównego „aryzatora” LWP,

generała Jaruzelskiego. Jednym „towarzyszom” darowują, a innym „towarzyszom” nie. Zanim wytłumaczę pani jaka to jest różnica, i jaka śliczna gra słów, muszę panią przeprosić o faszyzm, pani Krystyno.

– Niech pan przepytuje.

– Czy wie pani, że komuniści najchętniej miotali na swoich wrogów epitet „faszysta”, bo to była szczególnie ciężka obelga w języku komunizmu wojującego?

– Wiem o tym.

– A czy wie pani, że faszyści... włoscy faszyści, faszyzm był ideologią wyłącznie włoską, rządził tylko w Italii, zaś jego podróbki praktykowano u Węgrów, Rumunów, Chorwatów i Słowaków...

– Oraz w Niemczech za Hitlera!

– Nonsens, pani Krystyno! Światowa lewica plecie takie bzdury, a ludzie to kupują jak stado baranów. Hitler był przez moment zapatrzony w Mussoliniego, jednak hitlerowski nazizm był dużo bliższy socjalizmowi niż faszyzmowi. Lecz ja chciałem spytać o kwestię inną. Czy pani wie, że włoscy faszyści mówili do siebie per „towarzyszu”?

– Nie miałam pojęcia.

– Komuniści tak panicznie bali się później porównań, że dokonywali rozlicznych fałszerstw, choćby przy tłumaczeniu książek bądź urzędowych tekstów – dopuszczali się wprosi komicznych sztuczek, byle tylko nie dotarło to do świadomości ogółu. Pamiętam jak peerelowska telewizja wyemitowała „Konformistę” Bertolucciego, gdzie faszyści bez przerwy mówią między sobą: „towarzyszu”. Za każdym razem, kiedy nadało: „towarzyszu”, lektor dialogów czytał: „kolego”. Tyle że z tła dobiegały frazy oryginalne, dlatego ludzi znających języki śmieszyło to nieustannie: „kolego”, „koledze”, „kolegom” i „kolegów”. A był wówczas sam schyłek „obozu demokracji ludowej”, koniec lat osiemdziesiątych, pani Krysiu.

– To mnie zawsze dziwiło...

– Pani o tym wiedziała?!

– Nie, panie pułkowniku, mówię o lektorach telewizyjnych czytających dialogi.

– W Rosji ta praktyka jest bogatsza, tudzież bardziej postępową, bo u nas wszystkie dialogi, i męskie, i żeńskie, czyta facet, a tam lektor tłumaczy słowa aktorów, zaś lektorka słowa aktorek, czysta „polityczna poprawność”. Feministki winny oprotestować telewizję polską jako bastion męskiego szowinizmu.

– Czemu nie dubbingujecie filmów cudzoziemskich? Tak robi cały cywilizowany świat.

– Kiedyś to było dla TV PRL zbyt pracochłonne, a więc zbyt kosztowne, a że lektorowanie trwało kilkadziesiąt lat, ludzie się do tego przyzwyczaili. Moim zdaniem to sensowniejsze niż dubbing, bo dubbing fałszuje oryginalny głos aktora. Zaś ideałem byłoby tłoczenie tekstów dialogu – tak zwane „*napisy*”. Dogodzone by tym elicie, bo przeciętny Polak woli lektora dialogu. A propos: nasz dialog już się chyba dzisiaj kończy.

– Boże, jak ten czas szybko mija!

– To samo myślę, pani Krystyno, gdy patrzę na minione kilkadziesiąt wiosen i zim. Biegnie jak głupi, i co gorsza – nie można go zastraszyć, zaszantażować, zgwałcić czy przekupić, cholernik jest niedotykalny zupełnie! Psia jego mać!... Wszystko to ulotna chwila, wszystko. Ale cała wieczność jest zbudowana z takich chwil.

– Będzie pan głosował, pułkowniku?

– Nigdy nie głosowałem, ani razu, pani Krystyno. Tłumaczyłem już pani co myślę o demokracji jako bazie samostanowienia, fundamencie samorządności ludzkiej.

– Tłumaczył pan.

– Ale przyjęła to pani równie sceptycznie co kilka moich kawałów.

– Bo pańskie kawały są albo obsceniczne, albo mizoginiczne.

Dzięki, że dziś zaoszczędził mi pan jednych i drugich, pułkowniku.

– To wskutek rozgadania na inne tematy. Ale jeszcze nic straconego, jeszcze pani nie wyszła. Kim jest kobieta, która nic nie wie? Niewiastą. A kobieta, która wszystko wie? Wiedźmą...

– Ja jestem pośrodku, panie pułkowniku. Do jutra.

– Pa pa!

Sesja 8

– Dzień dobry, panie pułkowniku.

– Pewnie, że dobry, jeśli pani tak słonecznie wygląda!

– Bo jest bardzo ciepło. Jak na październik, to wręcz gorąco.

– Złota polska jesień, pani Krysiu. Rzeczywiście, tak letniego, antyjesiennego października dawno już tu nie było. Ale przez to mniej ludzi biega do urn, bo wyjeżdżają na weekendy za miasto, do swych dacz, często odległych, głównie mazurskich. A ponadto trzykrotne wybory w ciągu miesiąca, najpierw parlamentarne, i zaraz dwukrotnie prezydenckie, to dla elektoratu trochę zbyt dużo.

– Klamka już chyba zapadła, Tusk zostanie prezydentem. Ma przewagę od szesnastu do dwudziestu pięciu procent, Kaczyński tego nie nadrobi.

– On niczego nie musi nadrabiać.

– Jak to, nie musi?

– Nie musi, bo większość wyborców chce zagłosować na niego.

– Przecież sondaże...

– Sondaże to szwindel wyborczy.

– Szwindel?...

– Stare słowo, dawno wyszło z użycia, dzisiaj mówi się: przekręt.

– W Chicago jeszcze niektórzy mówią: szwindel, wiem co to znaczy, tylko zdziwiłam się, iż taki duży, od szesnastu do dwudziestu pięciu procent, czy pan nie przesadza?

– Nie przesadzam, to oni przesadzają. Już kilka procent fałszu byłoby szwindlem sporym, kilkanaście wielkim, a ponad dwadzieścia punktów lewizny to jest sondażowy rekord świata. Chłopcy poszli na całość, licząc, że odwrócą trend.

– Jacy chłopcy? Chłopcy ze służb, pańscy byli koledzy?

– Tak, głównie chłopcy z WSI, bo bracia Kaczyńscy obiecują rozwalić Wojskowe Służby Informacyjne, uważając je za wrzód na suwerennym ciele Rzeczypospolitej. Słusznie zresztą. Specsłużby wojskowe jako jedyne nie przeszły weryfikacji po upadku komunizmu i stanowiły prawie niezależne państwo w państwie – robiły co chciały. Ta zabawa trwała piętnaście lat, ja byłem tam jednym z głównych balowiczów, a teraz raj może się skończyć, więc chłopcy robią ile mogą. Nie mogą sfalszować zawartości urn, fałszują sondaże.

– I co im to da?

– Da im to dużo, może nawet triumf. Ten szwindel, pani Krysiu, opiera się na pewnym zjawisku psychologiczno-socjotechnicznym dotyczącym tłumu. Mówiłem już pani co ja rozumiem przez „*dyktaturę ciemniaków*” – chodzi o większość. Większość wyborców ma kiepsko, nietrwale, kapryśnie ukierunkowane preferencje polityczne, albo w ogóle ich nie ma, gdyż większość ludzi to głąby. Te ciemniaki najchętniej kleją się do większości właśnie, burak kocha mieć przewagę, być z tymi, którzy górują, wygrywają. Ów mechanizm dawno już rozpoznano i zdiagnozowano na Zachodzie: że słabi – słabi mentalnie, intelektualnie, duchowo – przytulają się do większości. Chamstwo kocha stanowić większość. Teraz pani rozumie? Codzienne sondaże, dające Tuskowi przewagę miazdząca, są magnesem ściągającym mu chwiejnych i niezdecydowanych. Czy to wystarczy, trudno powiedzieć. Realna przewaga Kaczyńskiego musi być duża, jeżeli chłopcy aż tak brutalnie szarżują z fałszowaniem sondaży...

– Polska to ciągle dziki kraj, pułkowniku...

– No jasne! KGB włożył w to zbyt wiele pracy przez minione kilkadziesiąt lat, żeby teraz mogło inaczej być. Z gówna nie wychodzi się ani łatwo, ani szybko, pani Krysiu.

– A ze „złotego rynsztoka”?

– Z dochodowego półświatka żaden jego pracownik nie chce wyłazić – każdy chce tam trwać i kosić kasę. Dawniej mówiło się: brać kapuchę, zbijać forse, tłuc szmal, lecz ewolucja języka to proces nieubłagany, a typowy o tyle, że ma sezonowe mody, które co pewien czas wprowadzają gwarowy lub kminowy wyraz do języka potocznego. Dzisiaj pieniądze to „kasa”, jutro „kasę” zastąpi inne młodzieżowe bądź lumpowskie przedrzeźniadło, pani Krysiu. Dzisiaj towary w sklepie nie rozprzedają się, nie wyprzedają, nie sprzedają, tylko „schodzą”. Pewnie po schodach lub po zboczach góry! To parszywienie języka denerwuje mnie, pani Krystyno.

– Więc musiał pan mieć zupełnie rozstrojone nerwy, kiedy zaczął pan funkcjonować w „złotym rynsztoku”...

– Aaa, to zupełnie inna para kaloszy!

– Co?

– Para kaloszy. Nie zna pani tego idiomu, pani redaktor?

– Właśnie idiomy ciągle mi dowodzą, że z moim polskim wcale nie jest tak, jak bym chciała.

– A chciałaby pani, żeby było jak ta lala?

– Jak ta lala? To też idiom?

– Owszem, stary idiom. Pani ma kłopoty wyłącznie z idiomami, które dawno temu przestały funkcjonować, więc nie jest źle. „*Jak ta lala*” znaczy: bardzo dobrze, bezbłędnie, doskonale, świetnie, fajowo. O rzeczach, sprawach, działaniach czy zjawiskach nienaganych powiadało się też: „*mucha nie siada*”. Na przykład: „– *Fryzurka, że mucha nie siada!*”, lub: „– *Ubranko, że mucha nie siada!*”... Lecz wróćmy do tych „*kaloszy*”. Gdyby znalazła się pani w Chinach, zupełnie by panią nie drażniło, iż wszyscy wokół mówią po chińsku. W półświatku wszyscy mówią kminą lub grypsa, i wszyscy rzucają „*mięsem*”...

– Czyli przekleństwami?

– Tak, „miechem” lub „łaciną”, ergo: „wyrzami”, przekleństwami. Ten brak Wersalu nikogo tam nie denerwuje, mnie również to nie irytowało.

– Dlaczego właśnie rok 1959? I dlaczego właśnie pan?

– Dobre pytanie, jedno i drugie. Dlaczego Żyd? Mówiłem już pani...

– Nie pytałam dlaczego Żyd! Chodziło mi o to dlaczego akurat pan, pułkowniku!

– Dlatego, że sam się zgłosiłem, rwałem się ku temu, napraszałem. Chciałem uciec z resortowego biurka w gorący teren, a bandycki Grochów wydawał mi się rewirem pasjonującym. Mówiłem już pani, że duży wpływ na tę chętkę i na tę decyzję miały moje lektury romansowe, wszelkie „Tajemnice Paryża”, „Memuary Vidocqa”, et cetera. Opisujący gangsterski półświatek pisarze XIX wieku chętnie czynili Żydów przywódcami szajek i band, co dzisiaj uznaje się za typową dla tamtych czasów tendencję antysemicką, jednak ona miała pełne pokrycie w faktach, Żydzi nie stronili od ról hersztów. Pamiętam „Tajemnice Berlina”, z pierwszej połowy wieku XIX, tam szefem bandy był Żyd Szmerles, innym gangsterem „Długi Szmul”... Pomyślałem sobie, że to rola w sam raz dla Mefista...

– A czemu dopiero późne lata pięćdziesiąte?

– Bo wtedy resortowi zaczęło brakować gotówki na akcje wywiadowcze i kontrwywiadowcze, splajtował „fundusz operacyjny”, pani Krysiu. KGB i GRU penetrowały caluteńki świat, być może nie mieli wtyk wśród pingwinów Antarktydy, ale poza tym mieli wszędzie, co jednak nie zwalniało służb bratnich krajów od identycznej działalności na całym globie ze szczególnym uwzględnieniem Północnej Ameryki i Europy. Wywiady Bułgarii, Rumunii, Czechosłowacji, Węgier, Polski i NRD ściagały się między sobą, żeby zdobyć uznanie Kremla, a kontrwywiady robiły to samo przeciwko wywiadom imperialistów. Z tego były awanse, medale, premie, nagrody i prestiż. Budżet państwowy dawał dużo, lecz by tę

szeroką działalność dobrze oliwić, trzeba ją było solidniej finansować. Jak? Ano – własnym przemysłem, z wykorzystaniem metod półlegalnych i nielegalnych. Haracze od grup przestępczych czy cinkciarzy nie dawały właściwych wpływów...

– I wtedy resort wpadł na pomysł, by ufirmować przestępcze podziemie?

– Nie było takich centralnych decyzji, pani Krystyno, szefowie lub wpływowi oficerowie różnych departamentów Ministerstwa Spraw Wewnętrznych sami podejmowali pewne ryzykowne decyzje.

– Jak ryzykowne? Czy komuś w MSW spadł włos z głowy na skutek przestępczych działań?

– I to nie jeden, spadały całe skalpy, chociaż powiedziałbym, że bardziej na skutek gier konkurencyjnych i wirów związanych z bijatykami frakcyjnymi wewnątrz PZPR, czyli z dintojrą wewnątrzpartyjną. Opowiem pani coś... Rok 1968. Ważny rok – rok „Dziadów”, Marca, kampanii antyżydowskiej – w istocie zaś rok starcia się bezpieczniackiej grupy generała Moczara z politbiurową grupą towarzysza Gomułki. Właśnie w tym roku MSW dostało sygnał, że wewnątrz resortu działa zachodni „kret”, ktoś wysoko postawiony, jeden z dygnitarzy MSW. Powołano specjalną grupę śledczą, która nie wykryła zdrajcy, ale przez przypadek, grzebiąc wokół wiceministrów i dyrektorów departamentów, wpadła na ślad afery, której dano kryptonim „Zalew”. Udowodniono, iż kilku wysokich dygnitarzy II Departamentu MSW, czyli kontrwywiadu, i Departamentu III, czyli politycznego wywiadu wewnętrznego, znacząco wewnątrz-krajowego, od dawna uprawia regularny przemyt, specjalnymi kanałami Warszawa-Wiedeń i Warszawa-Hamburg. Złoto, biżuteria, diamenty, dzieła sztuki, i tym podobne. Z tego finansowano aktywność operacyjną lecz również własną, rodzinną, odprowadzając dużą część łupu do własnych kieszeni. Zaczęły się aresztowania, w kraju i za granicą. Padły trupy, między innymi w

naszej placówce zachodniobierlińskiej. Kiedy funkcjonariusze przyszli aresztować wicedyrektora II Departamentu, pułkownika Żmijewskiego, zobaczyli, iż jest ubrany do wyjścia z domu, a na biurku stoi teczka pełna wyrobów ze złota. Powiedział, że właśnie wybierał się do Centrali, by oddać to wszystko. Żmijewski miał biznesową smykałkę...

– Dlaczego pan urwał, pułkowniku?

– Zastanawiałem się czy to śliczne stare słowo „smykałka”...

– Znam je doskonale. To predyspozycja, zdolność, talent do czegoś.

Proszę kontynuować.

– No więc Żmijewski miał smykałkę do interesów, dzisiaj byłby królem oligarchów. To on ściągnął sto tysięcy żyletek „Silver” i zarobił prawie milion złotych, sumę wtedy niebotyczną. Jego partnera, szefa Pionu Przestępstw Gospodarczych Komendy Głównej MO, pułkownika Milkę, aresztowano na działce i przekopano tam ziemię, znajdując kupę ukrytego złota. Fajne było też aresztowanie pułkownika Budzynia, jednego z naczelników II Departamentu. Słyszając dzwonek u drzwi, wyrzucił przez okno sto tysięcy dolarów! Więc zamknięto ulicę i funkcjonariusze pozbierali te banknoty. Natomiast u wiceministra MSW, generała Ryszarda Matejewskiego, który jako szef gangu był głównym oskarżonym, nic nie znaleziono, ani dolara. Mimo to dostał dwanaście lat odsiadki.

– Czegoś tu nie rozumiem, panie pułkowniku... Taka wewnętrzna masakra w reżimowej „firmie” wywiadu-kontrwywiadu, to coś... coś niesamowitego!

– Gra toczyła się dużo wyżej, proszę pani. Ówczesny minister MSW, generał Franciszek Szlachcic, capnął za gardło Miecia Moczara, przypisując mu spiszek antypartyjny. To istotnie był spiszek – tyle że nie antypartyjny, lecz antygomułkowski. No a że generał Matejewski był „moczarowcem”, świetnie się nadawał jako kontrabandzista-kryminalista do rozpętania piekła wewnątrz

resortu. Prawą ręką Szlachcica był tu ówczesny szef I Departamentu, generał Mirosław Milewski...

– Chyba już słyszałam to nazwisko...

– Każdy, kto przegląda gazety, zna to nazwisko, bo jest ono wiązane ze śmiercią licealisty Przemyska i śmiercią księdza Popieluszki, do czego wrócimy, ale teraz mówmy o tamtej sprawie. Dla generała Milewskiego generał Matejewski był wrogiem – to była wewnętrzna wojna dwóch departamentów MSW. I pono Milewski wykrył aferę „Zalew”, informując o wszystkim Szlachcica, a Franciszek Szlachcic spuścił swoje psy ze smyczy, rzucając „franciszkanów” na „moczarowców”. Mało kto wówczas wiedział, że w tym samym czasie, kiedy chłopcy II Departamentu prowadzili przemytnicze interesiki – chłopcy I Departamentu, Milewski i jego zbóje, prowadzili bandycką grę, przy której afera „Zalew” to mały pikus. Mieli szajkę kryminalistów, która po całej Europie, od Skandynawii do Włoch, obrabiała banki, sklepy jubilerskie, bogate rezydencje, a łupy przerzucała do warszawskiej centrali MSW.

– Pan nie mówi tego serio...

– Mówię to serio. Wiem, że trudno w to uwierzyć, bo to znowu brzmi jak „*bajka o żelaznym wilku*”, ale to prawda.

– Polskie ministerstwo utrzymywało szajkę bandytów łupiących co się da w całej zachodniej Europie?!

– Właśnie tak. Nie tylko zresztą łupiących, ale jak było trzeba, również mordujących.

– Ile to trwało czasu?

– Ponad dziesięć lat.

– Fantastyczne!

– Za jeszcze bardziej fantastyczne uzna pani, iż tę szajkę tworzyli rodzeni bracia. To był rodzinny gang braci Janoszków. Czwórka: Józek, Janek, Mietek i Kazik. Nie wiem czy i ten pierwszy brał udział w grze, lecz pozostali stanowili twarde jądro gangu. Kryptonimy:

„Komteja”, „Kosteja” i „Kamieja”. „Komteja” vel „Janek” – to był Jan Janosz. „Kosteja” vel „Maj” vel „Majek” – to był Mieczysław Janosz. A „Kamieja”, chyba najgroźniejszy z nich – to był Kazimierz Janosz. W 1962 roku zostali wysłani na Zachód przez II Departament MSW, ale w 1967 przejął ich I Departament. Najpierw założyli w Niemczech restaurację, jako przykrywkę-centralę swej działalności, jednak później musieli założyć w Hamburgu firmę eksportowo-importowo-spedycyjną wyrobów jubilerskich, bo łupy były tak wielkie, że szmugielek półprofesjonalny nie nadążał. W zależności od miejsca „skoku”, współpracowali z lokalnymi bandziorami, ale z nikim obcym nie wiązali się na stałe.

– Kto tym kierował ze strony polskiej SB, czy też polskiego MSW?

– Generał Milewski, cały czas... I generał Jan Słowikowski, którego Milewski zrobił szefem I Departamentu kiedy już sam awansował na wiceministra MSW. Operacja najpierw nosiła kryptonim „Metal”, później „Żelazo”.

– I wywiady państw zachodnich nigdy nie wpadły na jej ślad?

– Wpadły, ale dopiero wówczas, kiedy doszło do konfliktu między Janoszami a resortem. O podział łupów. Janosze się wściekli, bo resort ich kiwał, nie dotrzymując umowy dotyczącej podziału. Zaczęły się kukuksy, Jan Janosz zginął tajemniczo, a polskich agentów w Europie zachodniej łowiły tamtejsze służby, siatka się sypała, to była klęska naszego wywiadu.

– Jaki pan miał udział w tym „Żelazie”?

– Niewielki. Dostarczyłem Janoszom kilku grochowskich speców od pancernych kas, świetnych fachowców, przedwojenny gatunek. No i moi paserzy farbowali część łupu.

– Czyli co?

– Czyli przemalowywali z żółtego na zielone. Złoto zamieniali na banknoty konieczne resortowi do pokrywania kosztów różnych operacji wywiadowczych w Europie i Ameryce. Jednak te operacje

pochłonęły tylko drobną część urobku Janoszków, reszta zniknęła.

– Skąd zniknęła?

– Z magazynów resortowych.

– Gdzie zniknęła?

– W czarnej dziurze, wyparowała, pani Krysiu.

– Dużo tego było?

– Bardzo dużo. Setki kilogramów sztabkowego złota, całe kontenery precjozów, wory szlachetnych kamieni, Sezam.

– Więc jak taki Sezam mógł zniknąć?!

– Ba! Nad tą zagadką głowiły się aż dwie komisje państwowe, kiedy odgrzano aferę „Żelazo” tuż przed półmetkiem lat osiemdziesiątych. Resortowa komisja generała Władysława Pożogi i partyjna komisja Józefa Czyrka, członka Biura Politycznego KC PZPR. Obie komisje wychodziły ze skóry, by rozwikłać cudowną dematerializację łupu operacji „Żelazo”, lecz uderzyły nosem o mur, nie wpadły na żaden ślad. Hokus-pokus, szast-prast, abra-kadabra, stoliczku zniknij!

– Pański wesoły ton podpowiada mi, że pan wie kto zwędził ten monstrualny łup.

– No pewnie, pani Krystyno! Ja go zwędziłem.

– Dla siebie?

– Dla siebie odrobinę, czyli honorarium, lub raczej premię bądź „trzynastkę”, dodatkowy żołd, zaś pulę dla KGB, byłem w służbie, wykonywałem rozkazy.

– Musiał pan mieć ludzi wewnątrz resortu...

– Miałem.

– A ten generał Milewski? Kiedy wspomniał pan o Grzegorzu Przemyku i o księdzu Popiełuszce – przypomniałam sobie co o generale Milewskim pisano. Że to człowiek Moskwy, człowiek kagiebowskiej frakcji w strukturach partyjnych i siłowych PRL-u.

– Tak było. Milewski pracował dla NKWD od 1945 roku, miał wtedy siedemnaście lat. Od 1958 roku pracował w centrali MSW, a od 1973

trząsł tą centralą. Co prawda ministrem MSW był wówczas generał Stanisław Kowalczyk, ale wszyscy wiedzieli, że to papierowy figurant, bo prawdziwym władcą resortu jest „człowiek Moskwy”, generał Mirosław Milewski. W 1980 został tym władcą już formalnie, obejmując stanowisko ministra. Mierzył wysoko...

– W stanowisko genseka?

– Ummm. Szeptano, iż Moskwa planuje uczynić go pierwszym sekretarzem partii, czyli wodzem PRL-u. I chyba Czernienko z twarogłowymi Kremla zrobiliby tak, lecz dziadyga Czernienko zdechł, w marcu 1985 szefem Sowietów został młody, pieriestrojkowy Gorbaczow, i było po Milewskim. Jego bezpieczniacki rywal, generał Kiszczak, i wspólnik Kiszczaka, generał Jaruzelski, skoczyli Milewskiemu do gardła. Rozszarpali Milewskiego odkurzając aferę „Żelazo”. Został zdymisjonowany, pozbawiony wszystkich stanowisk, napiętnowany przez partyjny sąd, zepchnięty do śmietnika. Nie wylądował w pierdlu tylko dlatego, że nie chciano tej dintojry nagłośnić, a cel zasadniczy – eliminację rywala – osiągnięto już.

– Jednak pewne nagłośnienie miało miejsce...

– Miało, bo w tym samym czasie, kiedy generał Kiszczak i generał Jaruzelski kasowali generała Milewskiego, kończył się proces rzekomych zabójców księdza Popiełuszki, i chociaż nie mówiono tam o Milewskim, lecz szeptano już...

– Jak to rzekomych? Piotrowski i jego dwaj kumple nie zabili księdza?

– Oni go porwali, pani Krysiu. Lecz cała reszta zdarzeń wyeksponowana przed tym komicznym sądem to fałsz, sądowe opium dla ludu. Wszystko tam było inaczej. Ci trzej esbecy, Piotrowski, Chmielewski i Pękala, przyznali się do porwania, do pobicia, do wsadzenia księdza w bagażnik samochodu i do utopienia koło tamy włocławskiej. Wszystko to miało odbyć się nocą

19 października 1984 roku. Lecz to nieprawda. Zwłoki Popieluszki zostały zatopione 25 października, a wcześniej był on przez kilka dób torturowany, chciano uczynić go współpracownikiem KGB. Nie może pani sobie nawet wyobrazić jak straszliwie go męczono. Łamano mu kości, zrywano płaty skóry, a wreszcie, z gniewu, że wciąż stawia opór, wyrwano mu język. Sadystyczna orgia. Cierpiał za wiarę, lecz wciąż nie może się doczekać premii ze strony Watykanu, minio że tam gensekiem był jego rodak...

– Jakiej premii, kanonizacji?

– Tak, aureoli. Papież Wojtyła pobił rekord świata w dziedzinie beatyfikacji i kanonizacji, zwiększył poczet świętych o setki figur, zrobił z tego coroczną masówkę, wymyślając nawet „szybkie ścieżki” dla świeżo zmarłych, exemplum kalkucka Matka Teresa, a Popieluszko, męczennik kategorii tak makabrycznej jak rzadko w dziejach, kapłan, wobec którego nie trzeba niczego udowadniać, bo jego męczeństwo jest czymś bezprecedensowo ewidentnym – czeka już ponad dwadzieścia lat na aureolę, wciąż bez rezultatu!

– Jakże bardzo to pana martwi, panie Heldbaum!... Czy wszyscy kagiebisci przejmują się Popieluszką tak mocno?

– On mnie ani ziębi, ani grzeje, pani Krysiu. Dziwi mnie tylko brak wstydu ze strony świątobliwej administracji watykańskiej. Jak pani to tłumaczy?

– Widać tam również panuje swoista biurokracja...

– No pewnie, tudzież każda inna rzecz, która jego jest, wszelkie ludzkie przywary w wersji swoistej, watykańskiej, choćby zwykła ludzka zazdrość starego kultowca o kult drugiego, młodszego, ukatrupionego wedle tych biblijnych i antycznych wzorców martyrologii świętych, które tworzą kanon męczeństwa...

– Pan imputuje, pułkowniku...

– Owszem, imputuję, pani redaktor.

– A jako kagiebowiec nie ma pan do tego prawa! Pańska „firma”

odegrała w męczeństwie księdza Jerzego zasadniczą rolę, mam rację?

– Ma ją pani. Popiełuszkę zamordował KGB, rękami swoich zbirów. Rozkazy zdażył jeszcze wydać Andropow. Czyli Kreml i Łubianka. Czyli Moskwa. Czyli Rosja. A największym marzeniem wielkiego aktora i turysty, papieża globtrottera, było odwiedzić Rosję. Starał się o to uporczywie przez cały swój pontyfikat, pilnie bacząc, by czymkolwiek nie wkurzyć Rosji. Choćby kanonizacją zamordowanego przez Rosję księdza. Składając wizytę w Sofii, posunął się nawet do kłamstwa, do „*falszywego świadectwa*”, ogłaszając publicznie, że Bułgarzy nie mieli nic wspólnego z zamachem watykańskim przeciw niemu, chociaż wiedział doskonale, że tak Alego Agcę, jak i Orala Celika, cały czas prowadziły bułgarskie specłużby, i że broń Agca dostał już na placu Św. Piotra od bułgarskiego oficera, Antonowa. Taki święty papież kłamiący publicznie...

– Chce pan zagadać swoją przynależność do klanu morderców?

– Ani mi to w głowie, pani Krystyno!... Nie mordowałem własnoręcznie księży, ale to prawda – byłem funkcjonariuszem państwowej sekty zabójców...

– I nie wstyd panu?!

– Mefisto nie zna wstydu, moja droga. Chciałem być najgorszy, więc wstąpiłem do najgorszych.

– Coraz bardziej zaczynam panu wierzyć, iż rzeczywiście do najgorszych...

– Trudniej byłoby pani uwierzyć jak dobre miałem tam towarzystwo... Bardzo sławni szermierze wolności i humanizmu przytulali się cichaczem do KGB. Wszędzie – w Polsce, w Bułgarii, w Rosji... Taki Włodek Wysocki, mężuś sławnej francuskiej aktorki, Mariny Vlady, ukochany bard dysydentów we „wschodnim bloku”, rosyjska ikona! Dawał tajne występy dla kagiebiistów, tajne, żeby

opinia publiczna nie przestawała go wielbić jako herosa sprzeciwu... Albo Izaak Babel, genialny pisarz, mitologizator Odessy i literacki kat konnej armii Budionnego, zamęczony przez Stalina – też świętek dysydencji, chluba rosyjskich intelektualistów! Ostatnie lata życia spędzał wesoło w podmoskiewskim Srebrnym Borze, na daczach... Czyjej? Nie zgadłaby pani czyjej. Na daczach „*krwawego kartła*”, Mikołaja Jeżowa, ówczesnego szefa NKWD. To były lata trzydzieste, trwała „*wielka czystka*”, Jeżów codziennie torturował i mordował setki ludzi, zaś po południu wracał na daczę, aby odpocząć, tyknąć, zakąsić i rozweselić się z kumplem, Izaakiem Bablem.

Notabene pan Babel wcześniej sypiał z żoną Jeżowa, jak to wśród przyjaciół. Kiedy kolejna czystka zmiotła Jeżowa, przy okazji rąbnięto też jego kamrata, Babla dzięki czemu dzisiaj jest antystalinowskim męczennikiem. Rozbawiłem panią?

– Niezbyt.

– A ja, wstępując do NKWD, chciałem się właśnie rozbawić wśród łotrów. Być tam najgorszym enkawudzistą, czyli największym jajcarzem tej „*firmy*”. I dlatego, ponieważ nie chciałem być wśród Milewskich, wstąpiłem do złotego rynsztoka na Grochowie... Milewski był „*człowiekiem Moskwy*” i ja również byłem „*człowiekiem Moskwy*”, tylko że te dwie Moskwy trochę się różniły, były to inne frakcje sowieckich służb. Milewski, jako tajny rezydent KGB w Polsce, był moim konkurentem, zachodził między nami stosunek psa wobec kota, on był psem, a ja kotem. Dojście Gorbaczowa do władzy wywróciło układ, zaczęła się „*pieriestrojka*”, i chociaż tam nie padł jeszcze generał Kriuczokow, padł dopiero po puczu Janajewa, ale tu padł już jego kundel, generał Milewski. Moja frakcja zwyciężyła, gnojąc konkurentów.

– Frakcja Kiszczaka i Jaruzelskiego?

– Tak, toczno! Uśmieje się pani, gdy pani zdradzę, że tuż po wojnie młody enkawudzista, Czesio Kiszczak, zwerbował jako agenta

wywiadu Sowietów młodego oficerka, Wojtka Jaruzelskiego. A wiele lat później ten jego agent został szefem Czesia, bo został szefem partii i armii. Pech Wojtusia polega na tym, że chociaż „firma” paliła w 1989 i 1990 mnóstwo akt, to jakimś cudem zachowały się niektóre dokumenty z tego werbunku i tego fedrunku. Więc Wojtuś może mieć jeszcze kłopoty lustracyjne, prócz problemów sądowych za strzelanie do „klasy robotniczej”, która rządzi „Polską Ludową” wedle definicji Marksa i dyrektywy Stalina.

– To przecież bez sensu !... Generał Jaruzelski robił przez kilkadziesiąt lat taką karierę wojskową...

– Najszybszą w Ludowym Wojsku Polskim! Był najmłodszym generałem i najmłodszym ministrem obrony. Żaden inny oficer nie awansował w LWP równie szybko, z prędkością komety, pani Krysiu.

– No właśnie. Nie byłoby to możliwe bez patronatu Moskwy, wiec czy jakieś akta są tu konieczne, by mieć pewność, że facet był cały czas agentem Kremla? Wszyscy to chyba rozumieją, nie trzeba do tego procedury lustracyjnej.

– Wszyscy to rozumieją, lecz prawo wymaga papierków i papierkowych procedur. Każdy Polak zna mnóstwo dygnitarzy czerwonego reżimu, członków partii, różnych funkcjonariuszy mundurowych, o których właściwie się wie, że byli donosicielami służb, lecz póki się takiemu czarno na białym nie udowodni, że kapował – robi za czystego. Stąd wysiłki ewidencyjne Instytutu Pamięci Narodowej, stąd Rzecznik Interesu Publicznego, stąd „lista Macierewicza”, „lista Wildsteina”, „lista Nizieńskiego”, plus różne pomniejsze listy krążące jak Sarmacja długa i szeroka, pani Krysiu.

– Moja gazeta pewien czas temu pisała o tutejszych problemach z lustracją...

– Robiąc błąd na samym początku, już w pierwszym akapicie.

– Pan ten artykuł zna?

– Czytałem go. Jest tam trochę nieścisłości typowych u autorów z Zachodu, którzy notorycznie myślą nadwiślańskie realia, ale ten błąd początkowy to błąd historyczny. Autor pisze, że Polacy pierwszy raz w swej historii przeżywają emocje i zawrócenia tego rodzaju, bo pierwszy raz w historii bawią się lustracją szpiclów pracujących dla wroga.

– A tak nie jest?

– Nie jest, pani redaktor. Polacy przerabiali to już kilka razy. Największą skalę, i największą analogię jako zjawisko, miało to za czasów Powstania Listopadowego, w tej ówczesnej oswobodzonej Polsce, która utrzymała suwerenność przez ledwie trzy kwartały. Tamta lustracja, prócz swej krótkotrwałości, właściwie niczym nie różniła się od dzisiejszej, i to na każdym etapie swego rozwoju. W Królestwie Kongresowym było równie dużo tajnych konfidentów carskiej bezpieki co w PRL-u „tajnych współpracowników” SB. Wtedy zwano ich „szpiegami”, a ze względu na liczbę uważano za plagę. Władze powstańcze starały się przejąć papiery kancelaryjne i archiwalne tajnej policji, jednak część dokumentów uległa rozproszeniu. Te, które udało się przejąć, miał badać specjalnie powołany Komitet Rozpoznawczy Rządu Tymczasowego. Kierował Komitetem gwiazdor – sławny historyk i literat, Julian Ursyn Niemcewicz. Pracę tego trzynastoosobowego ciała ubarwiały skandale, jeden po drugim. Okazało się, że jakieś niezidentyfikowane typy wyносиły cichcem stosy dokumentów na zewnątrz, niszcząc je lub wykorzystując do szantażu. I, podobnie jak dzisiaj, niejedno duże nazwisko ulegało zbrukaniu za „*błędy młodości*”...

– Mówi pan o Wałęsie?

– O Wałęsie i o wielu innych sławnych patriotach, którzy we wcześniejszym etapie życia dali – mówiąc kolokwialnie – dupy, pani Krystyno. Wtedy takim najgłośniejszym herosem był Maurycy

Mochnacki, wódz Towarzystwa Patriotycznego, antycarski radykał. Jego wrogowie ujawnili „memoriał więzienny”, który Mochnacki smażył sześć lat przed powstaniem, siedząc w pierdłu. Wyparł się tam całkowicie idei niepodległościowej, i nawet radził caratowi jakimi metodami oduczać młodych Polaków działania, czy choćby marzenia prowolnościowego. Za tę wazelinę zwrócono rewolucjoniście wolność osobistą, jego wyrok został anulowany.

– Wałęsa nie pisał takich tekstów!

– Wałęsa nie pisał takich tekstów, bo Wałęsa nie umie pisać tekstów – umie co najwyżej pisać donosy. Lecz analogia jest, smród i huczek ten sam. Smród wokół bohatera, a huczek wokół instytucji. Skandal tycający Mochnackiego był jednym z wielu, ale sam Komitet Rozpoznawczy prowadził się skandalicznie, więc i szybko upadł. Jego szef, Niemcewicz, wynosił tajne dokumenty, by ich głośną lekturą rozbawiać damy na herbatkach towarzyskich! Zastąpiono Komitet nowym ciałem – pięcioosobową Komisją, która miała się prowadzić przyzwoiciej i miała być skuteczniejsza, dzięki rozszerzeniu kompetencji śledczych. Ten organ zaczął publikować pierwsze zweryfikowane dokumentalnie listy „szpiegów”. Cała ta zabawa trwała jeszcze parę miesięcy, był problem z karaniem renegatów, bo obowiązujący kodeks karny nie miał paragrafu penalizującego współpracę z tajną policją, więc żeby już pani nie nudzić, powiem tylko, iż „lud Warszawy” się wściekł, wywłókł kilkudziesięciu szpiclów z więzień, i dokonał zbiorowego linczu bagnietami oraz latarniami, czyli tradycyjną warszawską metodą.

– Dlaczego tradycyjną?

– Bo kilkadziesiąt lat wcześniej, za Powstania Kościuszkowskiego, „lud stolicy” też wieszał zdrajców.

– Gdyby Polacy dalej szanowali tę tradycję, pan by nie dożył swego wieku...

– Dożyłbym, powieszono by kilku frajerów, pani Krystyno.

Wszystko było pod kontrolą, od „okrągłego stołu” do dzisiaj. Zresztą... lud chrzani dzisiaj rozrachunki, nie ruszają go nawet takie tragifarsy jak ta z Jurczykiem.

– Z kim?

– Z obecnym prezydentem Szczecina, Marianem Jurczykiem. Kiedyś było to nazwisko znane wszystkim rodakom, ale Pani miała wtedy około dziesięciu lat. Wałęsa dowodził strajkiem w Gdańsku, a Jurczyk w Szczecinie. Troszkę wcześniej – mówię o latach siedemdziesiątych – jeden i drugi zaczęli współpracować z bezpieką, lecz potem Wałęsie, gdy już został prezydentem kraju, udało się przejąć i zniszczyć większość kompromitujących go dokumentów...

– Papierów „Bolka”?

– Tak, papierów TW „Bolka”.

– Polonijne gazety w Chicago drukowały facsimile tych dokumentów...

– Wiem.

– ... ale teraz Wałęsa mówi, że to wszystko są fałszywki, którymi jego wrogowie go kompromitują.

– A co ma mówić? Nic innego nie wymyślił, identycznie chrzanią wszyscy zdemaskowani... Pech Wałęsy, pani Krysiu, co prawda i tak mniejszy niż pech Jurczyka, jest dubeltowy. Primo: już dekadę temu publicznie się przyznał, że podpisywał jakieś papierki esbekom, więc gładzenie teraz, iż wszystko to są fałszywki, brzmi idiotycznie. A secundo: w gdańskim oddziale IPN-u jednak zachowały się niektóre raporty „Bolka”. Przebadał je historyk tego oddziału, doktor Cenckiewicz, i złożył jako publikację w krakowskim dwumiesięczniku „Arcana”. Lecz Wałęsa uruchomił wszelkie możliwe sprężyny, i ów tekst został wycofany już z drukarni, w ostatnim momencie. Szef „Arcanów”, profesor Andrzej Nowak, tłumaczył, że autor i redakcja zostali zmuszeni jakąś tajemniczą siłą wyższą.

- Kiedy to miało miejsce?
- Tego roku, dwa miesiące przed pani przyjazdem.
- Więc w Polsce wciąż żyje cenzura!
- Ba, i to jaka, pani redaktor! Tyle że już bez biurokracji państwowej, lecz równie silna, vulgo: równie skuteczna.
- A co z tym Jurczykiem? Mówił pan, że to tragifarsa...
- Tragifarsa sądowa, pani Krysiu. Jurczyk był bardzo gorliwym donosicielem bezpieczeństwa i zachowała się fura neglizujących go dokumentów, przy czym wszystkie te dokumenty są pisane własnoręcznie, to są manuskrypty, a nie maszynopisy. Zobowiązanie do współpracy, obszerne raporty, pokwitowanie srebrników, jest tam wszystko. Dlatego sąd lustracyjny, i to w czterech kolejnych instancjach, nie miał tu żadnego problemu – uznawano cwaniaczka za kapusia, za konfidenta SB. Aż wreszcie sprawa trafiła przed Sąd Najwyższy, i ten, ku osłupieniu prokuratorów tudzież żurnalistów, uznał Jurczyka za niewinnego, chociaż dysponował tym samym pakietem donosicielskich rękopisów! Tragedia przybrała oblicze farsy...
- Jak to możliwe? Czy Sąd Najwyższy podważył autentyczność tych dokumentów?
- Nie mógł tego zrobić, bo one fałszywe nie były. Mógł natomiast olać sprawiedliwość, bo polskie trybunały wciąż są w dużej części fałszywe, pracują tam marionetki, które muszą grzecznie słuchać werdyktów ciemnowych mocy spoza kulis. Brak posłuszeństwa skutkowałby wyjęciem z esbeckich zakamarków brzydkich „kwitów”, które służą do trzymania w ryzach sędziów, wojewodów, ministrów, nie wspominając o drobniejszych urzędnikach i funkcjonariuszach.
- Rzeczywiście... polska demokracja to rzeczywiście system wciąż robaczywy, pułkownika.
- Tłumaczyłem już pani, że każda demokracja to system

robaczywy, ale nie kłóćmy się o to. Ten system, o jakim napomknąłem pani relacjonując sprawę Jurczyka, zwiemy tutaj „Systemem haków”. Zna go każda demokracja, i chyba każda forma ustrojowa. Dla mnie komizm werdyktu uniewinniającego superdonosiciela od zarzutu donosicielstwa leży w pewnym cemencie metafizycznym. Jurczyk gra świętoszka, i Sąd Najwyższy dał mu na to papier. Wie pani jaki pseudonim operacyjny miał ten kapuś? Prowadzący esbek zostawił mu wolną rękę, no to Jurczyk wybrał sobie pseudo TW „Kolumb”, pisząc kreskowane ó: „Kolómb”. Rozzłoszczony tym błędem ortograficznym werbownik przekreślił tę ksywkę i kazał Jurczykowi wybrać inną. Wtedy Jurczyk wybrał pseudo: „Święty” I został zarejestrowany jako „Święty”. Teraz także przez Sąd Najwyższy, pani Krysiu.

– Jeżeli wszystko co pan mówi o tym Jurczyku i tych dokumentach jest prawdą, to... to macie dziwnych sędziów...

– Wy macie dużo dziwniejszych. Nasi grzeszą z politycznej służalczości, a wasi z głupoty „*politycznie poprawnej*”. Kim, jak nie debilem, jest sędzia, który zasądza wielomilionowe odszkodowanie dla kretyнки, która sama się poparzyła gorącą kawą? Kim jest sędzia, który zasądza grube odszkodowanie złodziejowi, bo ten rabuś potłukł się uciekając z okradzionego lokalu przez wąskie okienko toalety damskiej? Pani Krysiu...

– Wróćmy do waszej lustracji.

– Proszę bardzo, wróćmy do lustracji.

– Ilu konfidentów miała bezpieka?

– Setki tysięcy, w tym bardzo znane figury, wielkich myślicieli, publicystów i twórców. Część tych gwiazdorów jest dalej na Olimpie i Parnasie, tworzą grono „*autorytetów moralnych*”. Pouczają społeczeństwo jak godnie żyć. Wierzą, że kompromitujące ich dossier zostały całkowicie zniszczone, zatem nie boją się lustracji.

– Czytałam gdzieś rok temu, że bardziej niżli ujawnieniu prawdy

służy ona grom politycznym, szantażom, szkalowaniu przeciwników...

– Każde błoto służy takim interesikom, wszędzie, także i u was. Walka o żłób to nie są przelewki. Używa się każdej broni zaczepnej. A potwarz, kalumnia – to piekielna broń. Pruski król, Fryderyk II Wielki, nauczał swoich dyplomatów: „– Calomniez, calomniez, U en restera toujours quelque chose!”. Szkalujcie, szkalujcie, zawsze coś się przylepi! U nas jednak nie to jest problemem, lecz odwrotność – nazywanie potwarzą każdej prawdy negliżującej. Każdy wskazany jako konfident bezpieki krzyczy, że został kłamliwie pomówiony, i recytuje mantrę o swojej niewinności, tudzież o fałszowaniu przez bezpiekę dokumentów. Tymczasem bezpieka nie fałszowała papierów czy ewidencji, bo miała świadomość, że to byłoby samobójstwo... Pani Krysiu, jeżeli nie przerwę naszego dzisiejszego dialogu, to też będzie samobójstwo, nie jestem w formie dzisiaj...

- Już się wynoszę, panie pułkowniku.
- Do jutra.
- Do widzenia.

Sesja 9

– Przepraszam, panie pułkowniku, ale to nie była nasza wina! To nie była jego wina!

– Moi ochroniarze mówią, że kiedy wczoraj wsiadała pani do samochodu, pani szofer, ten tajemniczy Jasio, wysiadł z wozu i zaczął rzucać w nich kamieniami.

– Nieprawda! Rzucił im tylko to metalowe pudełeczko... tę szpiegowską „*pluskwę*”, którą podczepiliście do naszego samochodu !

– Jakoś tak celnie rzucił, że trafił „goryla” w twarz...

– I bardzo dobrze ! Dlaczego pan mnie szpieguje, pułkowniku?!

– Bo pani mnie wypytuje, pani redaktor, a ja jestem kagiebią, szpiegowanie mam we krwi. I krew mnie zalewa, że moi ludzie wciąż nie mogą znaleźć niczego o tym Janku szoferaku... Człowiek znikąd, z Marsa! Nie ma pani pojęcia ile pieniędzy ta kwerenda mnie już kosztuje! „*Firma*” przestała być na moje usługi, muszę bulić sam. I czuję, że jeśli nawet moi ludzie cosik wreszcie wyszukają, chociażby i wszystko co trzeba, to będę kłął te koszty niczym inny Janek, John Osborne!

– Mówi pan o tym sławnym dramaturgu?

– Tak, mówię o nim. Wie pani jakie były jego ostatnie słowa? „– *Cóż za cholerne marnotrawstwo!*”. Tuż przed śmiercią wydał dwadzieścia tysięcy funtów na reperację swego uzębienia, sprawił sobie nowy porcelanowy garnitur.

– Więc niech pan przestanie być rozrzutny, to tylko ochroniarz i szofer.

– Mam nosa, że to ktoś więcej.

- Mnie nic o tym nie wiadomo.
- A mnie już coś wiadomo.
- Skąd? Dopiero się pan wściekał, że pańscy ludzie niczego nie mogą znaleźć o nim...
- Sam się zdradził, lejąc moich „goryli” jak przedszkolaków.
- Widocznie są słabsi.
- Słabsi?... Coś pani opowiem, pani Krysiu. Zna pani termin „*krav maga*”?
- Nie.
- To po hebrajsku: wielka walka, wspaniała walka, cudowny bój. Jest to technika walki wręcz, lub raczej technika zabijania bez strzałów, samymi uderzeniami, wedle reguły: zabij nim siebie zabijają.
- I John potraktował tym wczoraj pańskich ludzi?
- Nie, to oni chcieli go potraktować tym. Proszę słuchać. W ostatnich dekadach minionego wieku bardzo modne stały się na całym świecie wschodnie techniki walki, różne džudo, dżu-dżitsu, kung-fu, karate i analogiczne kunszty. Gdy Bruce Lee zareklamował je „Wejściem smoka”, świat oszalał, te wschodnie bijatyki zyskały w kręgu mordobic sławę walk bezkonkurencyjnych, „*nec plus ultra*” [Nic ponadto, szczyt doskonałości, rzecz nieprześcigniona (łac)]. Prawie wszystkie elitarne formacje wojskowe globu, różni komandosi, rangersi itepe, ćwiczyli ów wschodni aerobik bez opamiętania, dzień i noc. Tymczasem istniała już technika lepsza, żydowska, dzisiaj każdy spec powie pani, że „*krav maga*” jest groźniejsza niż ów azjatycki cyrk. Wzięła z niego co najlepsze, zmodernizowała, dodała swoje i cudze, nie tylko wschodnie triki, i powstało coś strasznego. Wymyślił to bokser i zapaśnik, czeski Żyd, Imrich Lichtenfeld, który w latach czterdziestych przyjechał do Palestyny. Jako pierwsze stosowały „*krav mage*” żydowskie bojówki Hagana. Dzisiaj ćwiczą ją wszystkie siły specjalne i żołnierze wielu

elitarnych wojsk. Szkolenie polega między innymi na trenowaniu morderczych odruchów, instynktu zadawania śmiertelnych ciosów w czułe punkty wroga – w oczy, w szyję, w krocze, w brzuch, i to czymkolwiek, nogą, ręką, długopisem, nożem, patykiem, czymkolwiek. Wykałaczką i szpilką od broszki. Moi ludzie znają „krav mage” lepiej niżli dewot zna „Pater noster”, a ten szoferak przewracał ich jak drewniane kukielki, jak kręgle, mimo iż rzucili się na niego we trzech, pani Krysia.

– Do czego pan zmierza?

– Do prośby o pomoc.

– Mam się bić z Johnem Lemme'em?

– Nie. Tamtą bijatykę sfilmowała kamera ochrony budynku, ale pod złym kątem, i wszystko trwało zbyt krótko... Nie możemy zdiagnozować jego techniki walki...

– Bo może on nie ma żadnej fikuśnej techniki, tylko wali w mordę „po bożemu”, jak mawiał nasz sąsiad w Chicago, góral zakopiański, który twierdził, że górale biją karateków i nie potrzebując ciupag.

– Ładny dowcip, pani Krystyno, lecz mam prośbę: niech pani spyta tego Jasia o technikę walki, którą się posłużył przy biciu moich chojraków. Sami nie możemy go wypytać, bo zaszczecka: „– *Spierdalaj się!*”, jest mało kontaktowy...

– Dobrze, spytam go i powiem panu jutro, pułkownik.

– Jutro nic mi pani nie powie, bo znowu musimy się rozstać na kilka dni. Będę miał zabieg, dużą transfuzję szpiku, i takie tam. Powie mi pani gdy się zobaczymy znowu.

– Jak długo będzie trwała ta przerwa?

– Trzy dni, może cztery, niezbyt niedługo. Odpocznie pani ode mnie... Proszę tak nie patrzeć, nie umrę przez te kilka dni, mam dobrych konowałów. Wybitni fachowcy, eksperci, elita... Kupa śmiechu!

– Nie rozumiem...

– Eksperci.

– Co eksperci?

– Eksperci, specjaliści, wybitni fachowcy, autorytety naukowe, śmietanka supermędrców. Uwielbiam dowiadywać się o głupotach, którymi tumanią całą ludzkość. Jak choćby Pauling.

– Kto to jest?

– Nie wie pani kto to jest Linus Pauling? Słynny chemik, zdobywca Nobla, geniusz. Żyje pani od dawna według jego wskazań, biorąc witaminy. Łyka pani pigułki z witaminą C?

– Przeciwgrypowo.

– Cała ludzkość robi tak samo już od trzydziestu lat. Odkąd Pauling stwierdził, iż duże dawki witaminy C zapobiegają przeziębieniu. Dopiero teraz udowodniono w sposób bezsporny, że to jest kompletna bzdura, gdyż tabletkowa witamina C nie ma żadnego profilaktycznego lub leczącego wpływu, zaś jej duże dawki są bardzo szkodliwe dla organizmu, pani Krystyno. Wiem coś o tym, bo lansowano również teorię, iż silne dawki C zapobiegają rakowi i ułatwiają leczenie raka. Nałykałem się tego świństwa, łykałem tony tego gówna zgodnie z dyrektywami moich konowałów, niszcząc sobie wątrobę i nerki, a dzisiaj się dowiaduję, że wedle najnowszych badań te pastylki posiadają tylko walory toksyczne, trulem się własnoręcznie, pani redaktor. Kupa śmiechu!

– Mój ojczym, a właściwie jego ojciec, mój przyszywany dziadek, miał równie złe zdanie o lekarzach i farmaceutach, lecz twierdził, że są tak samo konieczni jak politycy, bo ktoś musi leczyć, i ktoś musi rządzić, chociaż i tu, i tu, mądrzy ludzie zdarzają się rzadko. Według niego największym geniuszem medycyny był ten facet, który radził, że przede wszystkim nie wolno szkodzić pacjentom, zapomniałam kto to był...

– To był Horacy, rzymski poeta. „*Primum: non nocere*”. Pani przyszywany dziadziunio słusznie wziął go za króla medyków. A

kogo uważał za króla polityków? Dmowskiego czy Piłsudskiego?
Strzelam: Dmowskiego.

– Tak, Dmowskiego! Jak pan zgadł?

– U Polaków tamtego pokolenia zazwyczaj ma się jedną szansę na dwie: endecy lub piłsudczycy. A gdy ma się połowę szans, łatwo trafić.

– Lecz marszałka Piłsudskiego też cenili, za to, iż ten jako jedyny przewidział, że tylko wojna światowa, wojna między zaborcami, może zwrócić Polakom wolność.

– Nie jako jedyny, nie jako jedyny! Mickiewicz także to przewidział. I paru cudzoziemców. Wiosną 1863 roku, kiedy tutaj trwało Powstanie Styczniowe, francuski polityk i historyk, hrabia de Montalembert, rozmawiał z brytyjskim ekonomistą, Williamem Nassauern Seniozem. Później Montalembert to opublikował. W trakcie tego dialogu zapytał Anglika czemu Londyn jest tak oziębły wobec wykrwawiających się Polaków. A Brytyjczyk rzekł: „– *Bo nie spodziewamy się tam niczego dobrego. Nic prócz wojny powszechnej nie zdoła przywrócić Polski*”. To trochę jak ze mną, pani Krysiu – nic prócz cudu nie zdołałoby przywrócić mi zdrowia, żaden lekarz, ale w cuda nigdy nie wierzyłem...

– Już pan mówił, że nie pójdzie pan do Lourdes.

– Nie pójdę do Lourdes, poszedłbym raczej do Vilcabamby, i to kilkadziesiąt lat temu, i jeszcze zakładając, że chciałbym żyć sto kilkadziesiąt lat, a to już byłaby przesada, trochę zbyt dużo, pani Krysiu... Tam sto trzydzieści lat to normalka, widywano stu pięćdziesięcioletnich górali.

– W Ameryce Południowej?

– W Ekwadorze, w Andach.

– Czytałam, że i na Kaukazie, i u Japończyków...

– To nie to samo! Górale pewnych kaukaskich bądź himalajskich regionów, i wieśniacy pewnych regionów Japonii czy Jakucji,

traktują sto lat jako całkiem zwyczajny wiek, lecz sto dwadzieścia lat to już u nich dużo. Ciekawsza różnica polega na obecności medyków i medykamentów. Wszystkie regiony świata znają lekarzy, uzdrowicieli, szamanów czy jak ich tam zwał, tudzież środki lecznicze, lekarstwa, zamawiania, czary, specyfiki – wszystkie, prócz doliny Vilcabamba. Tam nie ma lekarzy i nie używa się żadnych leków. I raczej nie umiera się w łóżku, tylko w polu, pracując, choć ma się sto czterdzieści lub więcej lat. Aczkolwiek... być może nie powinienem stosować czasu teraźniejszego. Tak było w latach siedemdziesiątych, czytałem wówczas reportaż z Vilcabamby, a właściwie raport naukowców London University...

– Miał pan wtedy dostęp do akademickiej literatury naukowej Zachodu?

– Przywiózł to kumpel, był na placówce w Londynie i...

– Jako szpieg?

– Tak. Był pracownikiem londyńskiej rezydentury I Departamentu MSW, lecz Angole capnęli go kiedy fotografował obiekty bardziej trefne niż gołe dziewczęta, i za to „porno” wykopali biedaka do domu. Przywiózł pudło periodyków. Dając mi ten ze Świętą Doliną, żartował: „ – Wręcz to swoim ruskim wodzom jako pomysł na regenerację Breżniewa, może awansujesz!”. Od strony technicznej bez sensu – dowcip był głupi, bo trzeba cały czas żyć w Świętej Dolinie, aby osiągnąć wiek tamtych górali.

– Czyli że Vilcabamba...

– Tak, Vilcabamba znaczy: Święta Dolina. Półtora tysiąc metrów nad poziomem morza, wokół wysokie góry chroniąc przed wiatrami, stałe ciśnienie, stała wilgotność, i stała temperatura, żadnych wahań pogody, mało kalorii, bo mało mięsa, tłuszczu i cukru, zdrowe życie. Ciśnienie i krążenie zawsze w normie, żadnych nowotworów, żadnych chorób, indiańskie legendy mówią, iż od wieków życie tam dawało nieśmiertelność. Anglicy pojechali to

przebadać i zaraz zrobił się kłopot, bo przywieźli londyńską grypę i kilku bardzo krzepkich stu dwudziestolatków zmarło wskutek tej inwazji ekspertów. Antybiotyki nie pomogły. Uwielbiam ekspertów!

– Sam pan jest ekspertem od KGB, i w ogóle od tajnych służb.

– Raczej praktykiem, pani redaktor... Gdyby, zamiast dobijać się Pulitzera dziennikarstwem, zechciała pani, tak jak panią namawiam, poświęcić się karierze literackiej sensu stricto, uprawiać literaturę piękną – szybko znienawidziłaby pani ekspertów śmiertelnie, dużo mocniej niż ja. Ja nimi tylko gardzę, budzą mój śmiech, a pani chciałaby ich zabijać torturując.

– Krytyków?

– Nie. Wśród krytyków też są głupszy i mądrzejsi, lecz ja nigdy nie zaliczyłbym gazetowych krytyków do grona ekspertów, to są raczej samozwańcy jurorzy, publicyści literatury. Myślę o innym gatunku – o głupku, który bryluje na dwóch forach: na forum uniwersyteckim jako akademicki wykładowca literatury, i na forum edytorskim jako recenzent pracujący dla wydawnictwa, selekcjonujący teksty do kosza lub do druku, wydawnicze sito. Ci noszą togi, diademy i aureole ekspertów. Ich chciałaby pani zabijać.

– Gdyby moje teksty odrzucali jako grafomaństwo?

– Tak.

– Lecz jeśli byłyby bardzo dobre, a pan mi wmawia, że mogłyby być – drukowano by je z chęcią, pułkownika.

– Mała szansa.

– Nawet gdyby były rewelacyjnie dobre?

– Gdyby były rewelacyjnie dobre – jeszcze mniejsza.

– Dlaczego?

– Dlatego, że głupota literackich ekspertów jest siłą wyższą, czego dowodem pewien eksperyment, dzieło University of Oklahoma. Profesor tego uniwerku, Norman Cousins, były wydawca prestiżowej „Saturday Review”, przy pomocy swoich studentów

obesłał renomowane amerykańskie wydawnictwa tekstami literackimi, proponując je do druku. Dał, między innymi, trzy rozdziały „Wojny i pokoju” Tolstoja, kilka sonetów Szekspira, duże fragmenty prozy Faulknera, Steinbecka i Hemingwaya, nie pamiętam wszystkiego, lecz wszystko to były arcydzieła literatury światowej. Jak pani sądzi, ile tych wydawnictw rozpoznało autorstwo, jaki ich procent: ćwierć, połowa, trzy czwarte, cztery piąte? Proszę zgadywać.

– Z pańskiego tonu domyślam się, że to była kompromitacja, więc pewnie tylko około połowy...

– Ani jedno, pani Krysiu. Lecz to głupstwo, eksperyment dał wynik ciekawszy! Nie dość, iż żadne wydawnictwo nie rozpoznało nadesłanej im poezji oraz prozy, to jeszcze wszystkie te wydawnictwa odrzuciły proponowane im teksty, jako czyste grafomaństwo, literacką tandetę niegodną druku. Werdykt był dziełem renomowanych ekspertów, zajmujących stolki „redaktorów”. Co pani na to?

– Górale w Chicago mówią: „– *Piknie!*”.

– A kiedy coś się powtarza lub wtóruje owemu „*piknie*”, mówią: „– *Tyż piknie!*”.

– Ktoś zweryfikował ów eksperyment?

– Tak, skopiował go Amerykanin Gene Bragdon... Wysłał jedenastu nowojorskim edytorom dużą część „Rozbójników” Faulknera, zmieniając tytuł na „Złodzieje”. Dziesięciu odrzuciło ów tekst jako grafomański, a jeden odpisał Bragdonowi, iż żart jest znakomity, lecz nie wydrukują, bo prawa do druku „Rozbójników” Williama Faulknera ma już, niestety, inna firma. Jeden edytor na jedenastu! Za co biorą ciężkie pieniądze eksperci pozostałych dziesięciu? Lub ekspertki, bo to profesja mocno sfeminizowana, przemądrzałe paniusie, kawiarniane intelektualistki, opanowują we wszystkich krajach stolki redaktorskie wydawnictw, podobnie jak tutaj, nad

Wisłą, całkowicie zdominowały zawód belfra, w szkołach uczą już właściwie same „panie”, dzięki czemu ze szkół wychodzi młodzież coraz głupsza, hordy półgłówków!

– Mizogin ! Wszystkie baby do gazu!

– Ein Moment, bitte²⁸ ! To był żart!

– Aha!

– To nie ja powiedziałem, tylko jankeski psycholog, Chris Kleinke, że istnieje ścisła współzależność pomiędzy inteligencją kobiety a rozmiarami jej biustu. Napisał: „*Im kobieta ma mniejszy biust, tym ma rozum większy. Nie ustaliliśmy jeszcze przyczyn tego zjawiska*”.

– Czy przyczynę współzależności między długością penisa a wydolnością męskiego mózgu już ustalono?

– Pani Krysiu, niech się pani nie denerwuje! Ja nie piłem do pani. Pani się turbować nie musi, ładnej dziewczynie nie przeszkadza w życiu nawet to, że jest inteligentna!

– To ma być komplement dla wyblągania rozejmu?

– Konieszno, dorogoją Kristina! Zawsze uważałem, że faceci są głupsi.

– Zwłaszcza eksperci?

– Zwłaszcza eksperci, mędracy, uczeni, laureaci, autorytety, koryfeusze – wszyscy ci, co „*zglupieli od mądrości swojej*”, jak mówi Biblia. A już w masie!... Guru europejskiej lewicy intelektualnej, Jean-Paul Sartre, miał słuszość kiedy twierdził, że wszelkie zebrania, konferencje, tłumne dyskusje intelektualistów to żenujące bicie piany, bo „*wtedy gada się głupstwa*”, każdy uczestnik takiego spędu wypowiada się poniżej swych możliwości intelektualnych, jakby mu się kurczył mózg.

– Z kobietami jest chyba tak samo podczas dyskusyjnych zebrań?

– Tego nie wiem. Ale wiem, iż zbiorowa głupota rodzaju męskiego jest trudna do uwierzenia, przykład innego Francuza, Victora Hugo,

28 Chwileczkę! (niem.)

mówi tu wszystko. Czytałem kilka dni temu esej o Akademii Francuskiej, która rzekomo grupuje największe umysły Francji, najwybitniejszych uczonych i twórców, a w istocie dupków, którzy przyjmują do swego grona innych dupków, zatraskując drzwi przed geniuszami tak długo, jak tylko się da. Fakt, że geniuszów mają tyle co kot napłakał, lecz czasami zdarza się prawdziwy talent. Czy pani wie kiedy można przyjąć do tej instytucji nowy „zielony *frak*”, ergo: nowego członka?

– Nie wiem, pułkowniku.

– Wówczas, gdy któryś akademik umrze, bo liczba członków jest stała. Na miejsce zmarłego przyjmują nowego, głosowaniem. Wybierają spośród dwóch kandydatów. Pan Hugo, chociaż był w swoim czasie pierwszym piórem Francji, przegrywał cztery razy z dupkami kalibru zero. Najpierw pokonał go pan Dupaty, później pan Mignet, później pan Mole, później pan Flouren, i wreszcie, za piątym razem, geniusz pokonał pana Ancelota stosunkiem głosów siedemnaście do piętnastu, czyli ledwo– ledwo, o włos! Panowie jurorzy, męskie autorytety, to zazwyczaj banda gnojków, niech pani zresztą spojrzy komu od dwóch dekad przyznają Nobla literackiego. To bardziej żenada, czy bardziej kupa śmiechu?

– Jeśli już mówimy o „*kupie śmiechu*”... Pan mi mówił, że grał pan rolę Mefistofelesa, bo tak jak ów diabeł lubi pan „*robić sobie jaja*” ze wszystkiego. A więc przystąpił pan do NKWD dla zgrywu, dla zabawy. I robił pan „*psikusy*” każdemu – nie tylko ofiarom swojej „*firmy*”, lecz również samej „*firmie*”... Czy właściwie powtórzyłam pańskie słowa?

– Owszem, tak było...

– Więc niech mi pan to teraz udowodni.

– Co?

– Niech mi pan teraz opowie największy „*psikus*”, który wyciął pan „*firmie*” u schyłku swej pracy, tuż przed emeryturą, a więc jakiś w

miarę świeży „numer” dużego kalibru.

– Dlaczego teraz?

– Dlatego, że... że to mnie ciekawi.

– Ja pytam: dlaczego chce pani, abym złamał chronologię wydarzeń?... Relacjonuję pani mój żywot krok po kroku, i nie widzę sensu, by naraz przeskakiwać o kilkadziesiąt lat, gdyż pani się akurat zachciało wysłuchać jakiejś anegdoty.

– Zachciało mi się wysłuchać tej najciekawszej, panie pułkowniku. A dlaczego teraz? Kobięcy kaprys.

– Nie, to raczej dziennikarski strach, szanowna pani redaktor. Pani się przestraszyła, iż wykorkuję lada moment, choćby podczas jutrzejszych zabiegów, i nie będzie już okazji, żeby zjeść konfitury, więc trzeba łowić bakalie póki się da... Kobięca intuicja szepcze pani, iż to jest ostatni nasz dialog? Myślę, że tutaj zawiodła, zobaczymy się jeszcze kilka razy... À propos bakalii, pani Krysiu. To pani miała być Szeherezadą, miała mnie pani karmić swoim szczebiotem, opowiadać baśnie...

– Co można panu opowiedzieć, gdy pan zna wszystko, jak jakaś encyklopedia, może tylko z wyjątkiem zapachów i perfum!

– W kwestii zapachów podszkoliłem się trochę od tamtego wykładu, który mi pani zrobiła, i nawet mam żal, gdyż pani wprowadziła mnie w błąd.

– Czym?

– Mówiąc, że „Guerlain” używa trzech tysięcy zapachów, a Chińczycy opisali dziesięć tysięcy zapachów.

– Powiedziałam prawdę!

– Półprawdę. Nauka rozróżnia ledwie sześć podstawowych zapachów. Wszystkie inne są to mieszaniny tamtych bazowych woni, droga Szeherezado.

– Lecz to jednak ciągle są różne zapachy! Czy są bazowe, czy też koktajlowe, dla nosa rzecz jest bez znaczenia. Identyfikujemy je

nozdrzami, a nie próbkami i odczynnikami w laboratorium!

– „*Ben trovato*”²⁹, śliczna riposta!... Pójdę z panią na układ, pani Krysiu.

– Jaki

– Kiedy Szeherezadą opowie władcy coś ciekawego, władca spełni jej życzenie, wyjmie dla niej spośród bakalii jakiś słodki migdał.

– Coś ciekawego? Czyli coś, czego pan nie zna, pułkowniku...

– Dokładnie.

– Poprzeczka straszliwie wysoko... To przecież nie może być nic z historii, z geografii, z jakiegokolwiek nauki, bo pan w tym wszystkim jest tysiąc razy lepszy. Nic z obyczajów, chyba że lokalnych jankeskich, ale wątpię czy i tu bym pana zaciekawiła. Prędkiej coś z kulinariów, przepis na wołowinę lub na strucel mojej babci...

– To byłby chwyt poniżej pasa !... Nie sprzedam perły za strucel!

– A za sekrety mody damskiej, pułkowniku?

– Szkoda słów, to ma być coś, co w równym stopniu tyczy kobiet i mężczyzn.

– Więc to może być seks, prawda?

– Z rozkoszą!

– Przypomniało mi się, kiedy wspomniałam o babci.

– Seks babci?!

– Również babci, prababci i dziadka. Czy pan pułkownik zna i może wyrecytować wszystkie, co do jednej, nazwy rocznic małżeńskich?

– Wielka mi rzecz!... Jest ich kilka, miedziana, srebrna, złota...

– I co dalej?

– Chyba diamentowa.

– Czyli która?

– No... chyba czterdziesta piąta...

– Pudło! Jest tych nazw aż dwadzieścia cztery, wyuczyłam się od

29 Dobrze wykoncypowane (włos.)

babci, przepytowała mnie jak w szkole. Szeherezada uzupełni lukę w Great Heldbaum Encyclopedia, czy Great Heldbaum Dictionary, proszę słuchać i zapisywać na dysku czaszkowym. Pierwsza – bawełniana. Druga – papierowa. Trzecia – skórzana. Czwarta – kwiatowa. Piąta – drewniana. Szósta – cukrowa. Siódma – miedziana. Ósma – spiżowa. Dziewiąta – gliniana, to znaczy: garncarska. Dziesiąta – cynowa. Jedenasta – stalowa. Dwunasta – płócienna, a dokładniej: lniana. Trzynasta – koronkowa. Czternasta – kościana, ale chodzi o kość słoniową. Piętnasta – kryształowa. Dwudziesta – porcelanowa. Dwudziesta piąta – srebrna. Trzydziesta – perłowa. Trzydziesta piąta – koralowa. Czterdziesta – rubinowa. Czterdziesta piąta – szafirowa. Pięćdziesiąta – złota. Pięćdziesiąta piąta – brylantowa. Sześćdziesiąta – diamentowa.

– „*Touché*”³⁰. Fascynujące, pani Krysiu!

– Widzi pan !

– Fascynujące dziury!

– Jakie dziury?

– Nigdy bym nie przypuszczał, że nie obchodzi się aż tylu rocznic małżeństwa, pani Krystyno. Szesnastej, siedemnastej, osiemnastej, dziewiętnastej i wielu innych, nawet szczęśliwe „*oczko*”, dwudziesta pierwsza, jest puste, bez tortu...

– Koniec wykretów!

– Zaraz, ale może nie koniec występów! Ja też chcę się popisać, pamięcią osiemdziesięciolatka. Proszę mnie przepytać, jak w szkole.

– Z czego?

– Z rocznic małżeńskich.

– Piąta?

– Drewniana.

– Trzynasta?

– Koronkowa.

30 Trafiony, będący pod wrażeniem (franc)

- Czternasta?
- Kościana.
- Trzydziesta?
- Perłowa.
- Czwarta?
- Kwiatowa.
- Starczy!... Brawo, to było piękne, pamięć istotnie „komputerowa”, ale to koniec wykrętów, panie Heldbaum!
- Pani redaktor, ja naprawdę nie zejdę w ciągu tych kilku dni!
- Zawarliśmy układ, pułkownik!
- KGB stale łamał układy, reguły, kanony...
- Nie chcę tego słuchać! Szeherazada swoje zrobiła, teraz pan musi strzelić czymś co ma kilka gwiazdek!
- Kilka gwiazdek to ma generał. Ale niektórzy mają o jedną gwiazdkę mniej niż generał. Na przykład ja, lub pułkownik Lipert, Cezary Lipert... Chce pani duży „numer”?
- Chcę największy! Największy antyfirmowy!
- Największych było kilka, ale ten, który pani opowiem, był największy nie tylko gatunkowo, również liczbowo. Hekatobomba, masakra godna terminu: ludobójstwo. Czy mówiłem już pani, że jestem kinomanem?
- Mówił pan, pułkownik.
- Tak naprawdę to wszyscy są już kinomanami, a niektórzy kinomaniakami – od dawna nikt już nie umie żyć bez filmów i bez telewizora. Czy kojarzy pani film „Mission Impossible”, ten pierwszy, z Cruisem i z Reno?
- Jasne. Ale to nie jest mój ulubiony gatunek kina.
- Mój też nie, choć treścią jest tam walka specsłużb. Niech sobie pani przypomni o co toczyły krwawą walkę w tym hicie Hollywoodu...
- Musiałabym mieć taką samą pamięć jak pan...

- Proszę spróbować, szukając blisko komputerów.
- O co?... O jakąś dyskietkę chyba... Tak, o dyskietkę Pamiętam, bo telewizje sto razy pokazywały reklamę, na której Cruise trzyma w ręku dyskietkę komputerową.
- A co ta dyskietka zawierała?
- Jakies tajne informacje, jakies „firmowe” sekrety...
- Zawierała megasekret: rejestr wszystkich tajnych agentów CIA na terenie Europy. Nocny koszmar każdego wywiadu: wróg zdobywa pełny rejestr naszej agencji ofensywnej! Wywiadowi nie może się zdarzyć nic gorszego. Wie pani kiedy nakręcono „Mission Impossible”?
- To ma znaczenie?
- Ma.
- Nie pamiętam, chyba kilka lat temu.
- Anno Domini 1996 był w kinach, wiosną. Kilka miesięcy później, tego samego roku, w polskim kontyngencie wojskowym na terenie Bośni przypadkiem znaleziono dyskietkę, która zawierała najtajniejsze informacje dotyczące siatki agenturalnej polskiego wywiadu. Całego wywiadu, jak świat długi i szeroki, wszystko. Co oznacza, że cały polski wywiad przestał istnieć. Skopiowano te dane z komputera WSI, do handlu. Szefem wywiadu WSI był wtedy pułkownik Lipert. Całą tę makabryczną kompromitację zwałono na niego, lecz całą tę aferę drastycznie wyciszono, chociaż powinny się od niej zatrzęść fundamenty państwa. Czy takie „jaja” imponują pani?
- Owszem. Pan to zrobił?
- Owszem.
- Nie wierzę, iż dla samej zabawy i bez zgody kogoś wyższego.
- Pani prawo, chociaż istotnie nie dla czystej zabawy, bo Lipert dysponował milionami złotych funduszu operacyjnego WSI, i miał źle ukierunkowaną rozrzutność. Jeśli dzisiaj lub jutro pani wypapla

tę informację komuś, to rzeczywiście zobaczymy się już nie tutaj, lecz na moim pogrzebie, i nie rak będzie moim katem, lecz „firma”, pani Krystyno.

– Psycholog, psychiatra lub psychoanalityk nazwałby to pewnie duchem przekory, jakimś...

– Wrodzonym imperatywem?

– Czymś takim... jeśli o tym samym mówimy, panie pułkowniku. Ja mówię o pańskim „jajcarstwie”, o wrodzonym instynkcie czy raczej przemożnej skłonności do robienia każdemu „psikusów”.

– Więc mówimy o tym samym.

– I coś mi się tutaj nie zgadza... Kiedy podczas drugiego czy trzeciego naszego spotkania zapytałam odkąd pan się w to bawi – pan rzekł, iż od Wojny Światowej. A więc jako człowiek dorosły. Trudno mi w to uwierzyć... Musiał pan już jako dziecko mieć tę manię, płatać figle naokoło, podkładać kolegom pineski, siostrze związywać ze sobą buty sznurowadłami, no... takie urwisostwo do kwadratu, cecha wrodzona.

– Mały złośliwy gnom! Ale to nie tak, pani Krysiu. Byłem urwisem jak każdy urwis. Moje dzieciństwo i moja młodość były rozczarowująco typowe. Kiedy miałem czternaście, piętnaście, czy nawet siedemnaście lat – mój ojciec był tak tępy, uparty i zacofany, że trudno mi było z nim wytrzymać. Lecz kiedy wróciłem na wakacje z wiedeńskich studiów, nie mogłem się nadziwić jak ten stary człowiek zmadrzał przez zaledwie rok. Normalna ewolucja od durnej szczeniackości do wczesnej, młodzieńczej dorosłości, nie będącej jeszcze dojrzałością. Ale już wystarczającej, by zrozumieć kto rządzi światem wokół. Z której strony chleb posmarowano, czyli: gdzie jest władza, mamona i zabawa.

– W KGB!

– Wówczas to się nazywało NKWD, lecz ma pani słuszność. Mimo młodego wieku zrozumiałem właściwą hierarchię, którą nazwałbym

hierarchią stanu. O dawnych Prusach, Prusach fryderycjańskich, mawiano, że nie są normalnym państwem posiadającym armię, tylko armią posiadającą państwo. Dokładnie tak samo jest z KGB, bez względu na to jak się „firma” aktualnie nazywa. Rosja i jej satelici byli własnością KGB, chociaż marionetki przy mikrofonach cały czas wycierały sobie pyski władającym rzekomo „ludem”, „proletariatem”, „masami”, et cetera. Żadne masy pędzone do fałszerskich urn nie mogły zmienić tutaj niczego, jak również żadne modlące się tłumy nie wyblagałyby odmiany losu, stare porzekadło dobrze mówi: „*Psie głosy nie idą w niebiosy*”.

– Ale głos papieża poszedł...

– I „*odmienił oblicze tej ziemi*”?

– Tak było, pułkowniku.

– Nie bez udziału prezydenta Reagana, który razem z Lesiem Wałęsą i z Małgosią Thatcher wspomógł Pana Boga przy rozkuwaniu kajdan „*ludu pracującego*”.

– Tak było.

– No pewnie. KGB zaspał i obudził się mając rękę w nocniku. Przez dziwny przypadek to był złoty nocnik, pani Krystyno, nocnik pełen złota. Nikt nie odniósł większej korzyści z upadku „*dyktatury proletariatu*” jak bezpieczeństwa we wszystkich tych neodemokratycznych państewkach Europy Środkowo-Wschodniej. A już KGB zwłaszcza. Nie chodzi nawet o to, iż „*firma*” posadziła swego kadrowego funkcjonariusza na stołku szefa państwa, Putin to nie żaden wyjątek, bo Breżniew czy Andropow również byli czekistami. Chodzi o kontrolę nad kapitałem. Marks miał słuszność – światem rządzi kapitał mocarstwowych oligarchów. Tak jak Paryż był wart mszy dla króla Henryka – tak kapitał był wart kontrrewolucji dla mądrych czekistów. „*Cui bono? Cui prodest?*”³¹ – pytali słusznie starożytni, wiedząc, iż motyw wskazuje zbrodniarza...

31 Na czyją korzyść, komu się opłacało? (łac)

- Motyw miały uciemiężone społeczeństwa, pułkownika.
- Prócz motywu trzeba mieć jeszcze siłę, a tej społeczeństwa nie miały.
- Prawie dziesięć milionów członków „Solidarności” to nie jest siła?
- Ano nie jest, czego dowiódł 13 grudnia pamiętnego roku. Cały ruch spacyfikowano bez trudu siłami SB i ZOMO Jak dziesięćmilionowe stado owiec. I zapadła cisza.
- Pełna krzyku podziemnych wydawnictw.
- Wszystkie były pod naszą kontrolą.
- Wszystkie?
- Co do jednego. Myślę o tych dużych, metropolitalnych Warszawa, Gdańsk, Kraków... Nie podoba mi się tok dzisiejszej rozmowy, wybiegamy zbyt w przód, niszczymy chronologię. Jeszcze raz zapewniam panią, że nie umrę jutro, będą kolejne spotkania, nagramy trochę dialogów. Chcę, aby miała pani pełny obraz, pełne moje CV. Wróćmy więc do mojego rysztoła lat sześćdziesiątych.
- Czyli do pańskiego Grochowa. Mówił pan, że wszedł pan tam w 1959 roku, i że bezpieka terrorem opanowała półświatek tej dzielnicy, by...
- Nie tylko terrorem, pani Krystyno!
- A co, perswazją, panie pułkowniku?
- Prowokacją, dyplomacją, szantażem, blefem, konfliktowaniem, przekupywaniem, napuszczaniem, jest mnóstwo sposobów, terror to metoda ostateczna. To fakt, że w przypadku Grochowa więcej było terroru niż dyplomacji. Ale później gdy opanowywałem sąsiednią Pragę, psychologii, perswazji prowokacji, sprytu oraz szczęśliwego trafu było dużo więcej, terror zszedł na dalszy plan. Wbrew pani przypuszczeniom i w ogóle wbrew potocznemu myśleniu – dobry kagiebiści to nie troglodyta lekko oszlifowany,

tylko dyplomata. Kagiebizm to wyższy szczebel polityki – tak mi tłumaczono na kursach specjalistycznych koło Leningradu. Wykładowca uczący kaperowania, czyli werbunku agenturalnego, perswadował nam, iż często kultura i dobre maniere są skuteczniejsze niż liczba zer przed przecinkiem. „– *Zaprosz faceta na kolację do dobrej knajpy lub na partyjkę golfa. Zbliź się do niego. Gdy człowiek zaufa drugiemu człowiekowi – kupi od niego używany samochód. A czym innym jest polityka, jak nie sprzedawaniem używanych samochodów?*”. Tak mówił. Mądrze mówił, pani Krystyno.

– Umie pan grać w golfa?

– To nie jest najwyższa szkoła jazdy. Umiem grać w polo.

– Tego uczono kagiebiów?!

– Niektórych. Byłem szykowany do pracy na terenie Anglii, lub Australii, lub Afryki Południowej, gdzie miałem grać rolę arystokraty, lecz pan generał Milewski utracił moją kandydaturę, co mnie zresztą nie zabolalo mocno, gdyż wolałem rysztoł od salonów. Ale konno jeździłem dobrze, miałem swoją ulubioną klacz... Eech, było, minęło! Rozbawię panią, kiedy powiem, że między rysztołkiem grochowskim a rysztołkiem praskim wpadłem w czarną dziurę karierologiczną właśnie wskutek koników.

– Obstawianie koników na wyścigach?

– Nie, hazard na torze służewieckim interesował mnie tylko dlatego, że jako herszt podziemnej Warszawy ustawiałem wyniki gonitw, jednak sam nigdy nie bawiłem się grą w koniki, ten sport był mi obojętny, wolałem pokera, pani Krysio. Miałem zapaść karierologiczną nie przez koniki wyścigowe, lecz przez ułańskie, a konkretnie przez piosenki o sanacyjnych ułanach. Te śpiewane przy ognisku. Polacy przy ognisku śpiewają o kresowych sokołach, o góralach, o Cyganach i o tych ułanach malowanych dzieciach, którzy przybyli pod łóżeczko zwane eufemistycznie okienkiem, żeby niejedna panienka i niejedna wdowa mogła nakarmić huzarskie

libido. Weekendowe ogniska kagiebiistów niczym się zasadniczo nie różnią od cywilnych. Podobnie jak ludzie bezpieki niewiele się różnią od cywilów. Są wśród nich prymitywy i elita. Typowy dowcip prymitywów z SB à propos weekendu brzmiał tak: „– *Cudowny weekend. Karcięta, wódeczka, szynka i pies. – Po co pies? – Pies jadł szynkę*”. Czyli scenka u Bondarczuka: ja nikagda nie zakuszaju³². Natomiast typowy dowcip elity bezpieczniaków to było kończenie sobotnich weekendowych nocy śpiewaniem przedwojennych pieśni o ułanach. Również tej antybolszewickiej, czyli antykagiebowskiej.

– Której?

– Ta śpiewka właściwie nie ma nazwy. Dziś Polacy zwą ją, od ónczącej frazy refrenu: „Bolszewika goń, goń, goń!”, a w okresie międzywojennym mówiono, że to są „żurawiejki na pułki ułanów”, bo każda zwrotka żartobliwie tykała któryś pułk ułanów. Ot, choćby tak:

*„ Wielkopański, jaśniepański,
Krechowiecki pułk ułański.
Lance do boju, szable w dłoń,
Bolszewika goń, goń, goń!”.*

– Brawo! Bardzo fajnie pan to zaśpiewał, pułkowniku! Bis, bis, bis !

– Nie dałbym rady, tam jest dużo zwrotek. Część tych żurawiejek świntuszy, to takie biesiadne, łagodniutkie obscena.

– Biiiiis!

– Ale pani Krysiu...

– Biiiiiiiiis!!

– Dobrze, już dobrze, proszę bardzo:

„Hej, dziewczęta, w górę kiecki,

32 Ja nigdy nie zakąszam (ros.)

*Jedzie ułan Jazłowiecki!
Lance do boju, szable w dłoń,
Bolszewika goń, goń, goń!”.*

– Tę żurawiejkę słyszałam podczas wesela w Chicago, dwa lata temu!

– Jest najpopularniejsza, więc każdy ją słyszał. Niewielu zna trzy lub cztery, wszystkich nie zna nikt.

– Oprócz kagiebiistów?

– Oprócz mojej paczki weekendowej. Ryczeliśmy zwrotkę po zwrotce, nachlani wódą:

*„Trochę chamów, trochę panów,
To Dziesiąty Pułk ułanów!
Lance do boju, szable w dłoń,
Bolszewika goń, goń, goń!”.*

*„Kto w Suwałkach robi dzieci?
Szwolężerów to Pułk Trzeci!
Lance do boju, szable w dłoń,
Bolszewika goń, goń, goń!”.*

*„ Ułan dupą sięga chmur,
Piąty Pułk z Tarnowskich Gór!
Lance do boju, szable w dłoń,
Bolszewika goń, goń, goń!”.*

– Jeszcze, jeszcze !

– Dobrze, ale ta będzie bardzo nieprzyzwoita i już ostatnia:

„Łeb jak bania, chuj jak wieża,

*To ułani są z Nieświeża!
Lance do boju, szable w dłoń,
Bolszewika goń, goń, goń!**

– Ta była przedostatnia !

– Ta była ostatnia, pani Krysiu. Koniec recitalu. I koniec dzisiejszego dialogu, wymęczyłem się jako artycha.

– Co to znaczy : żurawiejki ?

– Chyba kpinki, prześmiewki, coś w tym rodzaju. Ale nie wiem dokładnie... Jak pani widzi – nie jestem człowiekiem, który wie wszystko, nie jestem encyklopedią, zresztą encyklopedie nie mają hasła „żurawiejki”. Co mi przypomina pewien podobny termin: żurawka. Była to gra towarzyska lub hazardowa w dobie Renesansu. Wspomina o niej Łukasz Górnicki na kartach „Dworzanina”, lecz już w XIX wieku badacze nie dali rady ustalić z czym się to jadło, nie zachowały się żadne szczegóły, jesteśmy bezradni, został tylko sam termin.

– Domyślałem się, że w tę „czarną dziurę karierologiczną” wpadł pan przez gonienie bolszewików...

– Tak. Jeden chórzysta doniósł, pan generał Milewski capnął refren jako pretekst, korzystając z chwilowej słabości mojej frakcji przy Kremlu, i zrobiono mi coś à la kwarantannę na bocznym torze, pani Krystyno.

– Za takie głupstwo? !

– Konfucjusz, droga pani, pisze: „*Ludzie potykają się nie o góry, lecz o kretowiska*”... Ma pani kilka dni przerwy, miłego wypoczynku.

– Do widzenia, pułkowniku, zdrowia życzę.

Sesja 10

– Dzień dobry, panie pułkowniku, jak samopoczucie?

– W wojsku mówiło się: chujowe. Dzień dobry.

– Widzę, że ma pan znowu bojowy nastrój...

– Ale nie przeciwko pani, tylko przeciwko losowi, przeciwko tym wszystkim dolegliwościom oraz zabiegom. Ubolewam, że musiała pani wczekać się ponad tydzień, jednak nie wszystko szło gładko, zresztą i to dzisiejsze spotkanie wymusiłem, szantażując konowałów... Dostałem właśnie zastrzyk wzmacniający, na dwie godziny starczy, pani Krystyno... Co tam we świecie zdrowych słychać?

– Wszyscy mówią o klęsce Tuska i o zwycięstwie bliźniaków... Miał pan rację.

– W czym?

– Kiedy mnie pan przekonywał, iż sondaże fałszuje się rekordowo. Taka gigantyczna różnica pomiędzy prognozą a wynikiem, sięgająca dwudziestu pięciu punktów, nie może być efektem błędu, to manipulacja, rekord świata, to się winno znaleźć w „Księdze Rekordów Guinnessa”, pułkowniku!

– I żeby chociaż było skuteczne... Ukradło Kaczorom dużo głosów, ale triumfu ukraść nie zdołało, więc chłopcom ze służb trochę trudniej będzie kręcić Rzeczpospolitą teraz...

– Rzeczpospolitą czy Rzeczpospolitą, pułkowniku?

– Rzeczpospolitą, pani Krystyno. Tą Rzecz! Bo to jest ta rzecz pospolita, tylko pisana razem i z dużej litery, która przynależy państwu. Winno się więc odmieniać jak rzecz: ta rzecz, tej rzeczy, tą rzeczą. Niestety, większość naszych mężów stanu, ministrów,

posłów, senatorów, urzędników, a także żurnalistów i wszelakich twórców, kompletnie tego nie rozumie, więc idiotycznie kaleczą język polski, mówiąc na przykład: „– Trzecia Rzeczypospolita”. Groza, wieje mi grozą, kiedy słyszę to schamienie, pani Krysiu... Ale teraz chciałbym usłyszeć coś innego. Pani mi obiecała zapytać Jasia szoferaka o jego technikę walki...

– Zapytałam. John walczy techniką esesmanów.

– Jaka?!

– Esesmanów, hitlerowskich esesmanów.

– To kłamstwo, zażartował sobie z pani.

– Wątpię.

– Nie istnieje żadna esesmańska technika walki wręcz, nie ma czegoś takiego, to musiał być głupi żart!

– On nie należy do żartownisiów. Ani do gadatliwców, typowy milczek. Spytałam go co to za technika walki, odburknał, że technika SS, i taki był koniec dialogu.

– Rzucił tylko te dwie litery?

– Tylko, nic więcej... Co pana tak rozbawia?

– Fonetyczne „*qui pro quo*”³³. On rzucił pani nie dwie duże, lecz dwie małe litery s. Powiedział: „ss”, myśląc o francuskiej technice walki zwanej „*savate superbe*”. To fenomenalny kunszt, jedynie dla orłów. Słyszałem o tym dziwaczne legendy, u nas nie praktykuje się tego, a szkoda...

– Dlaczego się nie praktykuje?

– Bo ja nie cierpię Francuzów, a stamtąd musiałbym brać instruktorów... Rzecz ma bardzo dawną kolebkę historyczną. Francuskie mordobicie ludowe, przezywane: „*savate*”, czyli: buciór, gdyż kopie się tam jak w kick-boxingu, który zresztą jest azjatyckim odpowiednikiem „*savate*”, tylko mniej brutalnym. Savary, szef ochroniarzy i gliనిarzy cesarza Napoleona, wydoskonalili ów łomot

33 Błąd, pomyłka typu nieporozumienie (łac)

przy pomocy swojego superagenta, Karola Schulmeistra, i tak powstała technika „*fenomenalny bucior*” – „*savate superbe*”. Elitarni „*goryle*” Bonapartego, pijąc do nazwiska ministra, przezywali ją: „*savaryate*”, ale cicho, bo Savary się wściekał o brak szacunku dla swej godności rodzinnej.

– Gdyby był Polakiem, to wściekałby się jeszcze bardziej, pułkownik, bo w tym przezwisku brzmi polskie słowo: wariat.

– Słusznie, pani Krystyno. Ten pani wariat za kierownicą coraz bardziej mnie ciekawi...

– On raczej niepokoi pana, a mam nadzieję, że jeszcze nie wścieka. Dajcie mu wreszcie spokój!

– Mamy „*sپردازać się*”?

– Nie. Macie przestać zwracać uwagę na niego! Czy on was prowokuje lub zaczepia? On tylko przywozi mnie tu co jakiś czas na dwie godziny i grzecznitko siedzi w samochodzie, słuchając sobie Elvisa Presleya. Nie korzysta z pańskiej toalety, nie prosi, by dać mu kawy, nie szwenda się nigdzie, nawet nie łązi wokół samochodu! Jeszcze mało? Czego pan chce od niego, pułkownik? Co ma mu pan do zarzucenia?

– Ubliżanie przysłowiu.

– Jakiemu przysłowiu?

– „*Milczenie jest złotem*”. Milczenie tego szofera pachnie ołowiem, tak mi podpowiada mój stary kagiebowski nos... I te oczy!

– Co znowu?

– Równie dziwny wzrok miał człowiek, który był najpiękniejszym spośród moich Faustów. Stefan Karśnicki, „Książę”. Uczyniłem go władcą prawobrzeżnej przestępczej Warszawy, później królem całej stolicy... a jeszcze później zagrzebałem w ziemi, bo popełnił samobójstwo gdy odkrył kim jestem.

– Czemu nie uczynił pan tym władcą siebie samego?

– Wskutek kilku powodów. Raz, że nie było wtedy takiej

konieczności. Dwa, że wszystkim można się znudzić, a ja już się nawładalem będąc hersztem Grochowa i zapragnąłem nowego doświadczenia – mefistofelicznej rozkoszy kierowania marionetką. Wreszcie trzy, że to były lata siedemdziesiąte, epoka Gierka, gry polityczne u góry zyskały bezprecedensowy wymiar, zupełnie inną ostrość, musiałem sporo czasu poświęcać dla „firmy”, nie mógłbym skutecznie bawić się w herszta półświatka, więc robił to „Książę”, a ja byłem tylko jego doradcą. Miałem bandycką ksywkę „Petro” – skrót od „Petroniusz”, tak mnie zwali.

– Kiedy opanowaliście całą przestępczą Warszawę?

– W 1979 roku.

– Jak „firma” nagrodziła pana za to?

– Dobrym słowem i poklepaniem ramienia. „– *Mieczysławie Liejzorowiczu, wy eto oczień charaszo roz...*”. Tak do mnie mówili moskiewscy generałowie : „– *Mieczysławie Liejzorowiczu*”.

– Myślałam, że przynajmniej dostał pan awans.

– Ostatni awans, na pułkownika, dostałem w 1975, za opanowanie Pragi.

– Podsumujmy coś, panie pułkowniku. Jeżeli dobrze zrozumiałam, to przez cały okres PRL-u, czyli aż do roku 1989, polskie służby specjalne, funkcjonujące pod ścisłą kontrolą sowieckich służb specjalnych, współpracowały nielegalnie z półświatkiem kryminalnym państwa?

– Ja bym tu dołożył drugie „pół”: półlegalnie. No bo to miało pewną bazę prawną. Była nią dyrektywa z 1948 roku, o funkcjonowaniu służby wywiadowczej i kontrwywiadowczej. Ta dyrektywa zezwalała służbom specjalnym na prowadzenie działań polepszających ich sytuację finansową, czyli na samofinansowanie, na łatanie „funduszu operacyjnego”, ale nie precyzowała rodzaju działań, chociaż każdy wiedział, że to nie będzie otwieranie sklepów z warzywem. Takie same enigmatyczne zezwolenia miały wywiady i kontrwywiady

ZSRR i wszystkich KDL-ów, wszędzie kopiowano wzór sowiecki. Służby państw NATO nie miały takich praw, ale...

– Ale?

– Niech pani zobaczy choćby to, co się działo we Włoszech, gdzie przez kilkadziesiąt lat najbardziej wpływową sektą polityczną była loża masońska P2, grupująca śmietankę mafiosów, bankierów, polityków i szefów służb specjalnych. Żaden duży interes gospodarczy, i żadna inicjatywa ekonomiczno-finansowa na forum parlamentarnym, nie przechodziły bez akceptacji tego tajnego gremium.

– Lecz w końcu zostało ono ujawnione i rozbite.

– Według pani to dzięki demokracji, która ma siłę samooczyszczającą?

– Tak, pułkowniku.

– No to fajnie się tam samooczyściła, oddając władzę panu Silviowi Berlusconiemu, klasycznemu gangsterowi, jednemu z czołowych szulerów Italii. Gnije nie tylko postsowiecki świat, pani Krysiu. Działalność mafijna jest obecnie nawet łatwiejsza niż dawniej, to efekt odwrócenia uwagi glin i specsłużb przez terroryzm. Inaczej mówiąc: ekspansja globalnego terroryzmu ułatwia ekspansję i zbrodniczą wynalazczość mafijności pospolitej, bo walka z terroryzmem angażuje wszystkie siły „wolnego świata”, i na zwykłego bandziora nie starcza czasu oraz środków. Czy pani wie, że właśnie wskutek totalnej wojny z terroryzmem nasz dyrektor FBI przesunął walkę ze zwykłymi mafiemi do grupy priorytetów szóstej kategorii, a więc bardzo nisko? No i mafie coraz chętniej teraz legalizują swe interesy – praktykują legalną działalność legalnych firm na legalnych rynkach. Także u nas. Bo pani się myli mówiąc, iż rok 1989 to cezura. Może cezura prosowieckiego komunizmu, ale nie cezura współpracy specsłużb ze zorganizowaną przestępczością. Dopiero dzięki kapitalizmowi zaczęliśmy kooperacją robić prawdziwą kasę,

pani Krysiu.

– I trwa to również teraz?

– Tak, choć sam jestem ciekaw, na ile utrudni chłopcom biznes wzięcie władzy przez Kaczorów.

– Bliźniacy obiecują rozprawienie się i z gnijącymi służbami, i z przestępczością.

– Podobne rzeczy obiecuje każda nowa władza, a później zaczyna działać prawo lorda Actona, które mówi: „*Władza korumpuje. Władza absolutna korumpuje w sposób absolutny*”. Moje prawo, prawo Heldbauma, mówi to samo, chociaż trochę inaczej: władza ogłupia. Ogłupia, bo uderza do głowy, jak alkohol. Politykom, również gangsterom ze szczytów półświatka, dlatego robią samobójcze błędy... W ludziach tkwi niszczący gen błyszczzenia, olśniewania zdobytą władzą. Tylko jeden naczelny szef mafii amerykańskiej wylądował dożywotnio za kratami pierdła – John Gotti. Zmarł w swej celi, trzy lata temu. Dlaczego? Bo jako jedyny w dziejach Cosa Nostra „*capo di tutti capi*”³⁴ wypiął się na obowiązującą mafijną mimikrę, gdyż uwielbiał błyszczeć po mediach i po salonach.

– Chyba nie jedyny... Przed nim tak samo skończył Al Capone, który też lubił publicznie błyszczeć.

– Błąd, pani redaktor. Błąd, który robi wielu, kiedy sądzą, że Al Capone należał do Cosa Nostra. Capone nie był Sycylijczykiem i nie należał do mafii, nigdy nie był szefem mafijnych szefów. Był grubym chicagowskim gangsterem współpracującym z mafią. I to mafia wydała go władzom, jego pęd do mediów oraz reflektorów psuł interesy. Bez wyroku mafii sławny „*nietykalny*”, czyli niekorumpowalny Eliot Ness, który rzekomo załatwił Capone’a, mógłby Ałowi nagwizdać, pani Krysiu.

– Rozumiem, że pan nie wychodził z cienia półświatkowego...

– „*Firma*” nie zezwoliłaby, lecz hamowałaby również nabyta

34 Szef wszystkich szefów (włos.)

mądrość. Gangsterzy łączący się po salonach z dygnitarzami państwowymi, lub mieszejący się z nimi w światłach ramp, w sejmach czy w telewizjach, zawsze płacili gorzką cenę owego blichtru, a ich pęd ku niemu przypominał mi teatr londyński doby elżbietańskiej. Dla wielu gangsterów świat polityki bowiem to świat teatru, a politycy to komedianci, lub raczej figuranci, marionetki pierwszego planu, gdy za kulisami jest prawdziwa władza, kapitał.

– Lecz co ma do tego teatr akurat elżbietański, pułkowniku?

– Scena owego teatru, pani Krystyno. Widownia takich teatrów londyńskich jak The Swan, The Globe, The Curtain czy The Blackfriars była bardzo duża – czasami cztery tysiące widzów. Zwyczajne miejsca parteru kosztowały pensa, za dwa pensy miało się miejsce na galerii, za trzy pensy łożę z fotelem, a za sześć pensów można było siedzieć na scenie i dotykać aktorów.

– Co?!

– Bogaci ekshibicjoniści fundowali sobie tę przyjemność, czyniąc się towarzyszami królów, książąt, czarnoksiężników, geniuszów i innych nadzwyczajnych figur granych przez trupę komedianką. Którą pogardzali jako gronem marionetek, ale przy której dowartościowywali się na oczach publiki, niczym dzisiaj gangsterzy szukający towarzystwa aktorów, intelektualistów, twórców i polityków. Myślę, że to prawidłowa metafora, właściwe skojarzenie. Jest i drugie, również elżbietańskie, i chyba nawet bardziej adekwatne. Otóż w tamtych czasach źle było nie należeć do nikogo. To znaczy: nie być uzależnionym od kogoś – od dowódcy, pracodawcy, feudała, patrona, ojca rodziny, szefa klanu, itepe. Wszyscy luzacy, zwani wtedy „*masterless men*”, bezpańskimi, byli z definicji uosobieniem anarchii, podejrzaną hołotą. Tych się tropiło, łowiło, gnębiło – za włóczęgostwo wieszano, pani Krysio. Chodziło o nadzór, a „*masterless men*” wymykali się nadzorowi, rzecz nie do przyjęcia dla totalitaryzmów. Zwłaszcza gdy bezpański żywioł ma

siłę, jest elementem groźnym. Dlatego Sowietyzm postanowił wziąć pod swą kontrolę całe bandyckie środowisko; przestępczość niekontrolowana ubliżałaby regułom gry totalitarnej. Monopol zła, pani Krysiu. Plus zysk, i to duży zysk. Czyli: „przyjemne z pożytecznym”, alias: „dwie pieczenie na jednym ogniu”, capisci?. Vel: poniatno?³⁵ .

– Capisci, capisci. Dlaczego ów Stefan... ów „Książę”...

– Karśnicki Stefan.

– Dlaczego był najpiękniejszym z pańskich Faustów?

– Gdyż rozgrywka psychologiczna, cała tamta gra, którą go skaptowałem, to był majstersztyk, jakiego nie powstydziliby się sam Mefisto. Temu chłopakowi praskie zakapiory zgwałciły dziewczynę, i biedaczka odebrała sobie żywot, a chłopak, lewobrzeżny studencik, był bezradny. Żeby się zemścić, wymyślił, iż zostanie superkarateką. I to mu się udało, pani Krysiu! Ćwiczył od rana do nocy, zdołał nawiązać kontakt w ambasadzie japońskiej, ambasador załatwił mu tokijskie stypendium, a w Tokio rzeczywiście zrobiono ze Stefka superczempiona łubudu, morderczą maszynkę łamignacką. Ja zwróciłem na niego uwagę, bo zainteresował się nim kontrwywiad...

– Myśleliście, że został szpiegiem japońskim?

– Tak, ale to nie była prawda. Kiedy tu wrócił, nie miał jeszcze trzydziestki na karku. Wziął posadę instruktora karate w klubie sportowym, gdzie szybko skupiła się wokół niego paczka wielbicieli, jego wychowanków, dla których był półbogiem. Nosił wtedy ksywkę: „Samuraj”. No i mścił się, lecz bez sensu, bo na oślep, tłukąc mordy i łamiąc gnaty przypadkowym praskim bandziorom. Po prostu nie miał pojęcia kto konkretnie zgwałcił mu damę, i nie kapował jak tę informację uzyskać, więc grzmocił kogo się tylko dało, licząc, że dzięki rachunkowi prawdopodobieństwa dostaną też winowajcy. Było to idiotyczne. Aż wkroczyłem ja. Wyklarowałem mu, że jedyna

35 Zrozumiano? (włos. i ros.)

droga ku identyfikacji gnid i ku zemście na gwałcicielach to zdobyć władzę w półświatku praskim. Nie chciał, wierzgał, ja perswadowałem, on polemizował, ta zabawa trwała długo i miała cudowny smak, pani Krysiu. Wreszcie przekonałem go do próby. Dzięki jego karateckiej gwardii i mojej kagiebowskiej wiedzy szło to jak...

– Jak ta lala?

– Mówi się też: jak po maśle, lub: jak z płatka, pani Krystyno. Krok za krokiem, nikt nie mógł nam przeszkodzić, łykaliśmy wszystko niczym smok i zmiotaliśmy wrogów niczym burza. A on, zgodnie z przewidywaniami Mefista, wciągnął się w tę grę hazardowo, by nie rzec: nałogowo. Kilka lat był „Księciem” Pragi, Grochowa i Targówka, później królem całej gangsterskiej Warszawy, i ten raj mógłby trwać bez końca, lecz „firma” zaczęła spiskować przeciwko Ślązakowi, wybuchła „Solidarność”, Stefka wzięły sentymenty patriotyczne...

– Przeciwko Gierkowi?

– Tak, przeciwko Gierkowi – przeciwko dupkowi ze Śląska, pani Krystyno. Wbrew temu co sądzą naiwni – jego nie wymiotła bohaterska pasja kopalnianego i portowego ludu. Wymiotła go „firma”.

– Mówi pan o nim z taką złością...

– Nie złością, lecz pogardą.

– ...No dobrze – z taką pogardą, jakby miał pan do niego... jakby zaznał pan od niego szczególnej krzywdy.

– Nic mi nie zrobił, to ja robiłem jemu koło pióra.

– Czy równą pogardą darzył pan innych ówczesnych hierarchów reżimu?

– Tak, to gnoje... Olszowski to był betonowy burak, Kania to był śliski męt, alkoholik, Kiszczak to mało inteligentny zbir, Jaruzelski to wcielenie kolaboranta, i tak dalej. Napoleon przezwał księcia-

ministra Talleyranda „*łajnem w jedwabnych pończochach*”, więc skąd brać adekwatne epitety dla tych ludzi, jeśli lokaje i odźwierni Talleyranda mieli więcej klasy niż ta hołota właściwie menelska, którą złośliwa historia promowała do rządzenia Polską? Gierek wyróżniał się przy nich lepszym krojem garnituru, no i znajomością francuskiego, bo jako górnik zapieprzał na przodku we francuskiej kopalni, ale mentalnie był głupkiem, a do tego tchórzem, frustratem, miał ataki lęków, każdy kryzys przyprawiał go o sraczkę, o eksplozję hysterii, o pietra. Zna pani to słowo?

– Tak. „*Mieć pietra*” znaczy: bać się, trząść ze strachu.

– Mówi się także: mieć cykora. A jedyny cykor, którego Gierek nie miewał bardzo długo, to był strach o stołek. Edzio sądził, że jest dobrze kryty i z góry, i z dołu. Z góry, bo ma przyjazne specsłużby, plus przyjaznego ambasadora Sowietów, Borisa Aristowa, plus jeszcze przyjaznego przedstawiciela KGB w Polsce, generała Witalija Pawłowa...

– Pańskiego szefa, pułkownika?

– Nie. Kiedy Pawłow był rezydentem w Kanadzie i w Austrii, miał bardzo dużo do powiedzenia, był tam właściwie suwerenny. W Polsce, gdzie pracował przez jedenaście lat, od 1973, zrazu również był suwerenny, lecz później to utracił, po 1981 ja tutaj byłem ważniejszy niż on. Jego główny sukces to Czesio Kiszczak. Prowadził Kiszczaka już wtedy, kiedy ten był szefem Wydziału II Sztabu Generalnego WP, i pchnął go na stanowisko szefa WSW, wreszcie na fotel szefa MSW. Kiedy komunizm runął, Pawłow wydał książkę „Byłem rezydentem KGB w Polsce”, a każdy znawca tajnych służb wie, iż prawdziwe szychy i prawdziwi machinatorzy tych „*firm*” nie publikują memuarów. Wróćmy do Gierka. Mówiłem o... o czym mówiłem?

– O tym, że Gierek uważał, iż jest kryty z góry, jak również z dołu.

– Tak. Sądził, że z dołu też mu nic nie grozi, bo aparat partyjny

będzie wierny, a nieuniknioną co pewien czas wściekłość ludu przejmą piorunochrony, czyli ci, którym Wałęsa dawał później miano „zderzaków” – premier Jaroszewicz ogłaszający podwyżki mięsa, plus gubernatorzy prowincjonalni, terenowi kacykowie, jak Ziętek lub Grudzień na Śląsku. Gówno z tego wszystkiego wyszło, bo już w 1976 zaczęły się duże eksplozje gniewu mas, a co ważniejsze – w 1978 Kania i Barcikowski zawiązali konspirację przeciwko duetowi Gierek-Jaroszewicz. Kiedy do spisku przyłączyli się Jaruzelski i Kiszczak – Gierek utracił resztę szans, bo to oznaczało, że bezpieka pełną parą weszła do gry mającej odebrać tron faraonowi starego układu. Przed sierpniem 1980, czyli przed realizacją puczowego planu Kani, MSW okłamywało Gierka we wszystkich sprawach. Stąd jeszcze u schyłku lipca był spokojny o swój los, a kiedy huknęło – ze zdumienia i strachu doznał ciężkiego zawału serca i ledwo go wówczas odratowano na łóżku szpitalnym.

– Tak pan to mówi, pułkowniku, jakby ówcześni polscy dygnitarze mogli się sami bawić, suwerennie rozdawać całe talie rządowych kart...

– Brawo, pani Krysiu, uczy się pani piorunem!... Każde z polskich przesileń partyjnych było bezpieczniecko sterowane w mniejszym lub większym stopniu, zależnie od tego jak dużo było tam inspiracji lub ingerencji KGB, GRU czy Kremla. Spisek, którym w roku 1970 obalono Gomułkę, koordynował Szlachcic, przy udziale Babiucha, Szydłaka, Wałaszka, Kani i Jaruzelskiego, a Moczar kazał generałowi Matejewskiemu torpedować tę konspirację, przez co potem obaj panowie beknęli, Matejewski wylądował na długo w więzieniu. Jaruzelski miał tu Moskwę za sobą, a Moczar nie miał. Lub precyzyjniej: Jaruzel miał za sobą silniejszą frakcję moskiewskich przyjaciół. I tak zawsze było. Kiedy o władzę nad partią, czyli nad krajem, starli się wiele lat później Kania i Jaruzelski, obaj mieli dobre umocowanie w specśłużbach. Za Jaruzelskim stał generał

Kiszczak, a za Kanią generał Milewski.

– A za każdym generałem jakaś frakcja moskiewska, mam słuszość?

– Oczywiście, pani Krysiu! Towarzysza Gomułkę zastąpił towarzysz Gierek, a nie towarzysz Moczar, gdyż Moczar nie podobał się Jurijowi Andropowowi, szefowi „firmy”.

– Dlaczego? Przecież Moczar to był znany, zasłużony komuch.

– Był zbyt ambitny, i uchodził w Moskwie za „narodowca”, a Kreml miał już dosyć kłopotów z innym chorobliwie ambitnym „narodowcem”, rumuńskim. Nie pragnęli drugiego Ceausescu. KGB polecił Frankowi Szlachcicowi, wiceministrowi Spraw Wewnętrznych, i Staszкови Kani, kierownikowi Wydziału Administracyjnego KC PZPR, by rozegrali tę sprawę. Spisek tych dwóch wyniósł Gierka do władzy i...

– To ten sam Kania?

– Ten sam Kania obalał Gomułkę dla Gierka, zaś dekadę później Gierka dla siebie, lecz w paradę wszedł mu Jaruzelski, którego popierał Kiszczak. Kiszczakowym fundamentem były i KGB, i GRU, gdy Milewskiemu patronowało słabsze skrzydło KGB, więc on i Kania musieli przerznąć. Jednak nawet ta słabsza frakcja KGB okazała się wystarczająco silna, by sprawić, że Milewski nie poszedł do pierdła lub do piachu, tylko został skompromitowany „Żelazem” i usunięty na boczny tor, a później na aut.

– Brał pan udział w tych przewrotach politbiurowych, czyli w tych, jak pan je zwie, „przesileniach”, pułkowniku?

– Duży, lecz nie decydujący, pani Krystyno. Fiszą rozgrywającą stałem się dopiero od mniej więcej 1985 roku... Za Gierka budowałem kryminalne imperium warszawskie – ów wielki, scentralizowany, stołeczny złoty rynsztok. Wbrew pozorom, to był najpiękniejszy okres mojego życia, druga młodość...

– Dlaczego wbrew pozorom, pułkowniku?

– Bo z pozoru najpiękniejszym okresem mojego życia była dekada wszechwładzy politycznej, pomiędzy rokiem 1987 a 1997, lecz jednak milej wspominam pionierskie lata doby „wczesnego Gierka”, tamtą starą Pragę, która miała swój baśniowo-knajański przedwojenny klimat, i ten szalony bazar, będący Camelotem polskich czarnych rynków, te stare kamienice i gigantyczne podwórka zdobione pomnikową Matką Boską, te bruki, te knajpy niczym z piosenki o szynku „Grubego Joska” przy ulicy Gnojnej... W „Jackowie” też się ją chyba śpiewa na weselach?

– Tak, pułkowniku, a przynajmniej tak było kiedy byłam młodą dziewczyną, mój ojczym śpiewał to cudownie, modulując głos, znaczy starając się, żeby głos brzmiał... no... lumpowsko, po meliniarsku, po knajačku...

– Więc zaśpiewajmy razem.

– Co?!

– Ja będę nucił, a pani...

– Pułkowniku, ja nie umiem...

– Właśnie chcę panią poduczyć, będzie pani wtórować.

– Nie będę !

– Będzie pani, szanowna pani Krysiu ! Nikt inny, tylko pani wymusiła na konającym starcu śpiewanie ułańskich żurawiejek, tak więc to pani wprowadziła do naszych dialogów obyczaj wokalny. Zaczynamy !

*„Nieprzespanej nocy znojnjej
Jeszcze mam na ustach ślad.
U Grubego Joska, na ulicy Gnojnej,
Bawi się ferajny kwiat.
Bez jedzenia i bez spania,
Byle byłoby co pić,
Kiedy na harmonii Feluś zaiwania,*

*Trzeba tańczyć, trzeba żyć!
Harmonia na trzy czwarte z cicha różnie,
Ferajna tańczy, wszystko z drogi!
Z szaconkiem, bo się może skończy źle,
Gdy na Gnojnej bawimy się!”.*

- O Boże, śpiewałam !
- No i widzi pani jak pięknie poszło? Śpiewała pani głośniej ode mnie, mam już głos słaby. Śpiewała pani jak z nut!
- Słyszałam, że przy kagiebiście to wszyscy śpiewają jak z nut...
- Oj-jojo-joj! Też mi żart! W takiej chwili, kiedy wskrzeszamy klimaty starej Pragi jej hymnem, jej sztandarową melodią, psuje pani tym przytykiem nastrój, pani Krysiu! Ale śpiewała pani, że kciuki lizać!
- Jak ta lala?
- Jak ta chicagowska lala, pani Krystyno. No to jedziemy dalej, kolejne zwrotki!
- Wątpię czy dużo pamiętam, pułkowniku. Tamte pierwsze były łatwe, plus refren, bo to się ciągle słyszy, lecz...
- Jedziemy, koniec wykrętów!

*„Pany wybierają panie,
Panów wybierają psy.
Los nam robi charakterne losowanie,
Fart jest dobry, obciach zły.
Zenek Mańkę wziął do walca,
Szwagier tuli Ziutę w drzwiach,
A Lutek frajera, pompką od rowera,
Napierdziela, że aż strach!
Harmonia z cicha na trzy czwarte różnie,
Ferajna tańczy, wszystko z drogi!*

*Z szaconkiem, bo się może skończyć źle,
Gdy na Gnojnej bawimy się!”.*

– No i sam pan widzi... nie pamiętałam tamtych dwóch zwrotek, ani jednej sylaby, mogłam nucić z panem tylko refren, pułkowniku!

– Prawidłowo. Nie mogła pani znać choćby jednej sylaby owych dwóch zwrotek, bo słyszy je pani pierwszy raz w życiu. One nie pochodzą z oryginału, zostały dodane.

– Przez pana?

– Przez jednego melomana praskiego, co grał na harmoszce przy Różyca, przy bazarze Różyckiego, ale od strony Brzeskiej, bo od strony Targowej nie wolno mu było śpiewać.

– Kto mu zabronił, władze?

– Ummm, władze, gliny z komisariatu przy Cyryła i Metodego.

– Przecież pan tam już rządził, a gliny musiałyby pana słuchać!

– To nie było takie proste, pani Krysiu... Rządził „Książę”, Stefan Karśnicki, formalnie ja byłem tylko jego doradcą. Brzeska znajdowała się na zapleczu Różyca, miała też bramę do bazaru, lecz tylną, a samej ulicy nikt prócz ferajny nie penetrował, ani milicja, ani klienci bazaru. To była ulica ferajniana, centrum półświatka praskiego. Natomiast Targowa to była główna komunikacyjna ulica starej Pragi, „main-street”, jak w Śródmieściu ulica Marszałkowska czy Aleje Jerozolimskie. Przy takich zatłoczonych traktach mowy być nie mogło o śpiewaniu antysowieckich pieśni, a ten meloman, „Rympał”, śpiewał antybolszewicko po pijanemu. Miał w repertuarze „Bolszewika goń, goń, goń!” oraz dużo cięższe antyrosyjskie „czastuszki”. Pamiętam jak go któregoś dnia zwinięto i prowadzono do „Cyryła”, żeby mu...

– Gdzie?

– Na ten komisariat przy ulicy Cyryła i Metodego, zwany „Cyrylem”, nie było komisariatu bliższego bazarowi. „Rympałek”

często spędzał tam „na dołku” przepisowe „czterdzieści osiem bez sankcji”, znaczy dwie doby bez nakazu prokuratorskiego, w piwnicy, za kratą. No więc pamiętam jak go wtedy prowadzili... Wychodziłem akurat z bramy przy Jagiellońskiej, gdzie miałem duży lokal. W bramie stali cieć, cinkciarz i klient, sędziwy profesor, który kupował u naszych cinkciarzy bony peweksowskie. Nie słyszałem o co spytał profesor, słyszałem tylko głośną ripostę dozorczy: „– *Panie, te czerwone kurwy robią co chcą, ale Pragi nie zaorają!*”. Taka była Praga...

– Antysowiecka, antybezpieczniacka?

– Fakt. Gdyby ferajna kapnęła się kim jestem, zostałbym żywcem wypatroszony.

– A ten ferajniany praski lokal „U Grubego Joska” istniał naprawdę?

– On nie był praski.

– Powiedział pan, że piosenka to hymn Pragi, pułkownika!

– Wtedy, za Gomułki i za Gierka, tak. Gnojna to była ulica przy Żelaznej Bramie, między Grzybowską a Krochmalną. Tuż obok była ulica Skórzana. A „Gruby Jasek” to był Józek Ładowski. Gdzieś tak w latach dwudziestych minionego wieku otworzył tam herbaciarnię – „herbatnię”, jak wówczas mówiono. Jego lokal szybko stał się speluną, lecz speluną „charakterną”, z klasą, dla lepszych „kozaków”, nie dla obszczymurów. Sławę przyniósł jej fakt, że warszawskie elity – arystokracja, burżuazja, oficerowie – lubiły tu wpadać nad ranem, po wyjściu z elitarnych przyjęć czy balów, żeby zakosztować folkloru bandyckiego.

– Widziałam to w kinie !

– Tak, widziała to pani w jednym z odcinków serialu „Nikodem Dyzma”.

– Rzeczywiście, to był „Nikodem Dyzma”, przypominam sobie, pułkownika!

– Ten rozgłos, o którym mówiłem, sprawił, że gdzieś blisko 1930

roku Julian Krzewiński i Leopold Brodziński machnęli tekst piosenki „Bal na Gnojnej”, alias „Bal u Starego Joska”, alias „Bal u Grubego Joska”. Muzykę skomponowała Fanny Gordon, i tak zrodził się superszlagier, najpopularniejsza knajacka piosenka Warszawy. Pierwszy śpiewał ją Tadeusz Faliszewski, później każdy. W latach siedemdziesiątych Gnojna już nie istniała, nie istniały całe knajackie dzielnice lewobrzeżnej Warszawy, zmiotło je powstanie i zniwelowała powojenna odbudowa. Dla ferajny zostały tylko drobne fragmenty Woli, Czerniakowa, Grochowa, i przede wszystkim Praga, cała stara Praga, jedyne królestwo. „Bal na Gnojnej” był tu „Bogurodzicą”, hymnem bez dwóch zdań. „Rympał” Rempecki, główny praski „harmosiek”, czarował tą melodią przechodniów, i kilka zwrotek dokleił, aby trwała dłużej, bo to dawało więcej grosza „w kapeluszu”, lecz czy autorstwo tych nowych zwrotek było jego, tego nie wiem.

– Pan nie nucił wszystkich starych zwrotek, pułkowniku, bo pamiętam, że mój ojczym śpiewał o jakimś kacie Maciejewskim, który wiesz jakiegoś gangstera...

– Antosia nożownika!... Zanucę pani kolejny blok, gdzie pierwsza zwrotka będzie z repertuaru „Rympałka”, lecz druga z wersji oryginalnej, przedwojennej. Tę drugą zaśpiewamy razem, a już refren koniecznie razem, pani Krysiu!

*„Wyżej dachów, pod gwiazdami,
Czarne koty mają bal.
Kupisz kosę, gdy zaszurasz z chłopakami,
Będzie ci okrutnie żal.
Kto zna Antka czuje mojrę,
Ale jeden nie znał jej,
I naraził się dlatego na dintojrę,
Skończył się z przyczyny tej.*

*Harmonia na trzy czwarte z cicha rżnie,
Ferajna tańczy, wszystko z drogi!
Z szaconkiem, bo się może skończyć źle,
Gdy na Gnojnej bawimy się!”.*

– Ole!

– Tylko bez hiszpańszczyzny, to nie corrida, pani Krystyno!

– A gdzie ten kat?

– Zaraz będzie, niech chwilę odpoczne...

– Jeśli źle się pan czuje, to niech pan już przestanie śpiewać, pułkowniku!

– Chcę wyśpiewać całość, dzięki temu utrwale ją na taśmie i nie przepadną te nowe zwrotki... Ktoś, kto zapragnie tłumaczyć pani książkę, będzie miał kłopot, bo przełożyć knajacki szwargocik to coś trudniejszego niż przejść przez ucho igielne... A bez tłumaczenia nie będzie Pulitzera, pani Kysiu...

– Znajdę kogoś.

– Więc zasuwam czwarty i ostatni blok, końcówkę śpiewa nasz chór. Znowu jedna zwrotka nowa i jedna stara:

*„Klinem się wybija klina,
Dla laluni ma się gest.
Szarym świtem zwinęła Antosia glina,
Rączki skuli mu na fest.
W krąg latarnie smętnie świecą,
W bramie gwizdże nocny stróż,
A kat Maciejewski, tam pod szubienicą,
Na Antosia czeka już.
Harmonia na trzy czwarte z cicha gra,
Ferajna tańczy, ja nie tańczę...
Dlaczego bal na Gnojnej jak co dnia,*

Choć niejednej pary dziś brak?”

– No widzi pan, nie mogłam śpiewać tego refrenu razem z panem, bo całkiem go pan zmienił!

– To nie ja – to Krzewiński i Brodziński, pani Krystyno! Ten wieńczący refren był w oryginale wydrukowany pierwszy raz przed równiutko siedemdziesięciu laty... O czym pani myśli tak intensywnie?

– O prawach autorskich, pułkownika. W Stanach nie ma z tym żartów.

– Gdy pani przedrukowuje czyjś tekst, powołując się przy tym się na autora, to jest normalny cytat, a cytaty nie są chyba u was zabronione?

– Ja nie myślę o cytowaniu, tylko o wzbogacaniu pierwotnej wersji, o faszeryowaniu jej pastiszem lub parafrazą. Wiem jakie były problemy, kiedy zaczęto majstrować kontynuację „Przeminęło z wiatrem”...

– Pewien mój koleżka, były wicedyrektor I Departamentu w MSW, dzisiaj szef fundacji medycznej zaciekle zwalczający antyaborcjonistów, kpi: „– Przeminęło z wiadrem!”.

– Ja mówię serio. Nie chcę procesu.

– Poradzi się pani swych adwokatów, lecz wątpię czy będą wzbraniać. Stara knajacka piosenka to nie Szekspir. Gdyby ktoś chciał dodać jeden akt „Hamletowi”, popełniłby grzech, ale „Rympał” jako literacki rabuś? Jedną ze zwrotek „Pierwszej Brygady”, świętej pieśni, „drugiego narodowego hymnu”, przerabiano kilkakrotnie! Oryginał tekstu „Pierwszej Brygady” pochodzi z lat 1917-1918, kilka zwrotek napisał Andrzej Hałaciński, a kilka Tadeusz Biernacki. Jednak legunom brakowało zwrotki o tym, jak w swych początkach Legiony zostały zignorowane przez większość trzęsącego się ze strachu społeczeństwa, zwłaszcza przez burżujów, i o ówczesnym

rozgoryczeniu serc żołnierzy Piłsudskiego. Więc dopisano im taką zwrotkę. Nie wiem kiedy, ale bardzo późno, to był rok 1924, lub może 1926, i ona brzmiała:

*„Nie chcemy już od was uznania,
Ni waszych słów, ni waszych łez.
Skończyły się dni kołatania,
Do waszych serc, do waszych kies!”.*

– Dlaczego pan mi to recytuje, a nie śpiewa, pułkowniku? Przecież lubi pan śpiewać...

– Śpiewania mam dosyć na dzisiaj, pani Krystyno. No więc taka była wersja oryginalna tej zwrotki, ale pamiętliwi legioniści śpiewali ją inaczej:

*„Nie chcemy dziś od was uznania,
Ni waszych słów, ni waszych kies.
Skończył się już czas kołatania
Do waszych serc – jebał was pies!”.*

– Kiedy śpiewali tę wersję obsceniczną? Chyba nie podczas...

– Problem leżał w tym, że właśnie podczas. Podczas akademii, uroczystości oficjalnych, parad wojskowych, defilad, a nie tylko wewnątrz baru. Zgorszenia dużego nie było, gdyż pierwsze szeregi śpiewały regulaminowo, wersję przyzwoitą, a tylne obsceniczną, co razem dawało kakofonię zagłuszającą wszystkich, i damy nie miały obrażonego słuchu, dziatwa nie była deprawowana, itepe. Lecz dowódcy pragnęli wyrugować ten zwyczaj hańbiący wojsko. Ktoś wpadł na pomysł, że „jebał was pies” zostało ułatwione jako rym przez „ni waszych łez” bądź „ni waszych kies”, dlatego w 1931 Wojskowy Instytut Wydawniczy opublikował „Śpiewnik żołnierski” z nową

wersją tej fatalnej zwrotki, a Ministerstwo Spraw Wojskowych przykazało, że wolno tylko tę wersję śpiewać. Ta nowa wersja, dzięki zamianie kolejności fraz, miała zmienione rymy:

*„Nie chcemy dziś od was uznania,
Ni waszych łez, ni waszych stów.
Skończyły się dni kołatania
Do pustych serc, do ciemnych głów”.*

– Rozumiem, że te mocniejsze frazy o tych pustych sercach i o ciemnych głowach, miały nakarmić gniew weteranów, rozładować go i skłonić, by przestali świntuszyć...

– Chyba tak, pani redaktor... Jako kilkunastoletek oglądałem defilady wojskowe w Dniu Niepodległości, a wszystko co z tych spektakli zachowała mi pamięć, to nie mundury, nie armaty i nie sztandary, lecz ta melodia, wyłącznie ona. *„Na stos rzuciliśmy, nasz życia los na stos, na stos!”*. *„Międzynarodówka”*, którą w PRL-u śpiewały tłumy dreptaczy podczas wielkich pierwszomajowych spędów, nie umywała się. *„Bój to jest nasz ostatni!”*, kupa gówna, pani Krysiu.

– Był pan współarchitektem tej kupy...

– Raczej współrzeźbiarzem... Rzeźbiliśmy w gównie, tak, pani redaktor! Lecz analogicznym rzeźbiarstwem jest każda socjotechnika od czasów Adasia i Ewuni, każda polityczna intryga, każda manipulacja – cała spiskowa praktyka dziejów, wszystko... Co zaś do marszów, pochodów, defilad... czy wie pani jaki fragment wspomnień o mojej ukochanej starej Pradze nęka mnie najczęściej, niby symbol lub memento?... Marsz szczurów. To była noc, wyszliśmy...

– Zwykłych szczurów?

– Tak, to nie przenośnia – zwykłych szczurów, gryzoni. Wyszliśmy

z lokalu na Ząbkowskiej we trzech: ja, „Książę” i jego przyboczny szoferak, „Fokstrot”, który był moim Judaszem, moją wtyką u boku Karśnickiego. „Fokstrot” się pożegnał i zmył, pobiegł do domu, a my dwaj kroczyliśmy ku Targowej, wolno, bo noc była piękna, księżycowa. Cała dzielnica spała, wszędzie pusto, wymarłe miasto, piękny spacer. Mogła być trzecia w nocy. Wtem spoza pleców usłyszeliśmy szmer, później taki delikatny szurgot. Myśleliśmy, że to wiatr, lecz kiedy obróciłem głowę, zobaczyłem, iż jezdnia się rusza, żyje, sunie do przodu. Jak lawa płynąca całą szerokością między krawężnikami... To był marsz szczurów. Musiały wyleźć ze wszystkich piwnic Pragi i wszczęły eksodus, niczym lemingi lub nomadzi w dobie wędrówki ludów. Tysiące i tysiące, nieprzebrana rzeka, ciasno, jeden obok drugiego, w milczeniu, żadnych pisków, nie widać było końca tego pochodu, bezkresny wąż – cała ta futerkowa jezdnia ulicy Ząbkowskiej płynęła prawie bezszelestnie ku jakiejś nieznannej rubieży, a my z „Księciem” staliśmy na chodniku i wytrzeszczaliśmy gały przekonani, że to się nam śni tylko. Jak długo to trwało? Może pół godziny, może trochę krócej... na pewno więcej niż kwadrans. Fascynujący widok... To nie był sen, pani Krysiu, lecz kiedy przypominam sobie tamtą scenę, mam wrażenie, iż przywołuję senny koszmar, jakąś dziwną „fantasy”, coś ze świata półrealnego... Sen... Chyba zastryk przestaje działać, bo robię się senny teraz...

– To zmęczenie, pułkownika, bardzo długo dziś rozmawialiśmy. Do widzenia, niech pan odpocznie.

– Do zobaczenia, pani Krystyno.

Sesja II

- Dzień dobry, panie pułkowniku.
- Dzień dobry, pani redaktor.
- Jak się dzisiaj czujemy?
- Jeżeli weźmiemy razem panią i mnie, czyli średnią, to czujemy się możliwie.
- A jeśli weźmiemy tylko pana, pułkowniku?
- Dwie godziny własnego gładzenia wytrzymam... Od czego zaczniemy?
- Od malarstwa.
- To świetnie, kocham malarstwo. Zwłaszcza stare malarstwo.
- Już parę razy miałam pana o to zapytać, bo każdorazowo kiedy wizytuję pana, idąc do tego pokoju przemierzam hall oraz ten długi korytarz, a w jednym i w drugim wisi mnóstwo pięknych obrazów.
- W innych pomieszczeniach również wiszą obrazy. Jeśli pani chce, moi ludzie oprowadzą panią.
- Będę wdzięczna.
- Więc jutro zobaczy pani moje muzeum.
- Jutro przed rozmową z panem pułkownikiem, czy po zakończeniu sesji?
- Przed rozmową, pani Krysiu.
- Ten widok z żaglowcami, który wisi naprzeciwko łóżka, wisi akurat tu przypadkowo?
- Nie. Ta marina Caspara Davida Friedricha wisi tutaj po to, by koła moje agonalne frustracje, cel jest terapeutyczny. Bije z niej romantyzm, nostalgia, swoista morfina nastrojowa. Choć nie wykluczam, że gdybym mógł dysponować wszystkimi oryginałami

świata, to zawiesiłbym tu „Wyspę umarłych” Böcklina, która urokliwie pokazywałaby mi moją rychłą przyszłość, albo „Rolle” Gervexa, która również urokliwie przypominałaby mi moją erotyczną przeszłość. Bądź zawiesiłbym obie, jedną i drugą, naprzeciwko siebie, to byłaby piękna wizualna klamra mego życia, pani Krysiu. Jaki jest pani stopień ignorancji wobec malarstwa, rzeźby, architektury, wobec sztuki w ogóle?

– Całkowity, pułkowniku. Rozróżniam tylko kolory.

– To już dużo.

– Jeżeli coś mi się podoba, to intuicyjnie, a nie erudycyjnie, zakochuję się wzrokowo, a nie mózgowo.

– I tak powinno być, tak trzymać, własne wrażenia są ważniejsze od erudycji.

– Dlatego prostemu wieśniakowi podoba się jelen na rykowisku.

– Toteż nie mówię, że erudycja jest zbędna. Ale nie trzeba studiować sztuki, wystarczy być człowiekiem kulturalnym, kształconym, czytającym, by odróżnić prawdziwą sztukę od kiczu. Pani jest dobrym przykładem, woli pani chyba Leonarda od jelenia?

– I nawet wiem kim był Leonardo, to sławny żółw.

– I jeszcze rozróżnia pani chromy, pytanie tylko czy równie dobrze jak zapachy, pani Krystyno. Bo tu tkwi bardzo silna analogia. Jest sześć zapachów bazowych, a reszta to koktajle tych sześciu, i jest kilka bazowych „czystych kolorów”, które daje rozszczepienie widma słonecznego, a reszta barw to mieszaniny tych fundamentalnych.

– Impresjoniści malowali używając wyłącznie „czystych kolorów”.

– Brawo, pani Krysiu!

– Uczono mnie tego już na pierwszym roku studiów. Bardzo lubię świetlistą paletę Impresjonistów.

– Różnie z tym malowaniem „czystymi kolorami” bywało, ale taka była ich doktryna, i taka jest przede wszystkim mitologia malarstwa Wrażeniowców.

– Posiada pan jakieś płótna tych Francuzów?

– Nie. Bardzo ich szanuję, bardzo ich lubię, lecz zbierałem tylko stare, przedimpresjonistyczne malarstwo. To chyba wpływ stryja, który był malarzem i który objaśniał mi sekrety warsztatu dawnych mistrzów... Impresjonizm zrobił się tak modny, tak popularny, że dzisiaj każdy przeciętny inteligent wyduka coś na temat Impresjonizmu, gdy wcześniejsze malarstwo to „*terra incognita*”³⁶ dla każdego, kto nie jest specjalistą, vulgo: koneserem, zbieraczem, krytykiem, marszandem, studentem Akademii lub dyplomowanym już historykiem sztuki. Profani, którzy udają znajomość malarstwa, kompromitują się na każdym kroku. Choćby dziennikarze. „Rzeczpospolita” dała na stronie tytułowej artykuł: „Rembrandt – mistrz światłocienia”, ilustrując to „Lisowczykiem” jako arcydziełem Rembrandta, chociaż od dawna już wiadomo, że „Lisowczyka” malował prawdopodobnie Willem Drost, ale na pewno nie Rembrandt. Ten biedny Rembrandt, chociaż taki sławny i opatrzony, sprawia również duże kłopoty filmowcom. Niedawno widziałem film Jacksona „Nocna straż”, według prozy Alistaire’a MacLeana, z Piercem Brosnanem w roli głównej. Widziała pani to?

– Chyba nie, pułkowniku.

– Tematem jest kradzież arcydzieła Rembrandta. Przy okazji pokazano tam głośny obraz Tycjana „Noli me tangere” którego bohaterem jest Chrystus, przedstawiając to jako inne „*capolavoro*”³⁷ Tycjana, „Miłość ziemską i niebiańską”, gdzie główne role grają roznegliżowane baby. I nikomu to nie wadziło, ani producentom, ani recenzentom, ani publice, zdenerwował się tylko Mietek Heldbaum, plus paru może jeszcze widzów.

– Telewizja i prasa bez przerwy dowodzą różnymi skandalami fałszerskimi, że ci jedyni znawcy, ci specjaliści, o których pan mówił,

36 Ziemia nieznaną (łac)

37 Arcydzieło (włos.)

kolekcjonerzy, koneserzy, dyrektorzy muzeów, regularnie się kompromitują...

– Cóż, to prawda. W zderzeniu z geniuszem fałszerstwa są bezradni, kompromitują się jak małe dzieci, największe muzea globu pękają wprost od genialnych falsyfikatów, których jeszcze nikt nie zdemaskował. Takie jest prawo geniuszu. Trwa to od wieków, odkąd istnieje sztuka, pani Krystyno. W XX wieku Elmyr de Hory tak fenomenalnie malował „*dzieła Picassa*” i innych współczesnych mistrzów, że oni, Picasso również, cichaczem sygnowali te podróbki, gdyż były lepsze od oryginałów! A Jan van Meegeren? Robił tak genialne „*Vermeery*”, że eksperci nie chcieli wierzyć, iż to są fałszerstwa, dlatego dał im pokaz, produkując wewnątrz swej celi, za kratą, na oczach kilku ekspertów, kolejnego „*Vermeera*”, lecz wówczas inni eksperci oskarżyli tamtych ekspertów-świadków o udział w spisku, gdyż po zbadaniu więziennego malowidła orzekli, iż nie jest to żadne fałszerstwo, tylko oryginalne, bezsporne arcydzieło mistrza z Delft.

– Bomba, chce się brawo bić!

– Pani przez przypadek poruszyła ważną strunę mego życia, pani Krysiu. Bo to, że mój stryj był malarzem i wprowadził mnie w świat sztuki, rozbudziło moje zainteresowania, ale ugruntowało je coś innego. Coś, o czym dużo tu już mówiliśmy podczas naszych dialogów...

– Mistyfikacja?

– Tak, mistyfikacja jako muza, pani Krysiu... Pani bystro kojarzy, to mnie cieszy. Gdybym miał artystyczny talent, zostałbym chyba wielkim fałszerzem...

– Wielkim śpiewakiem?

– Bardzo dowcipne, pani Krysiu, lecz chyba nie fałszowałem zbyttnio śpiewając żurawiejki czy knajacki „*Bal*”?

– Oczywiście, że nie, pułkowniku.

– Zostałbym wielkim fałszerzem sztuki, a nie kagiebiwą. Mistyfikacja to moja miłość, chyba mówiłem pani już.

– Mówił pan.

– Żydzi i Polacy mieli na tym polu duże osiągnięcia. Twórca sławnej antyjezuickiej prowokacji „Monita secreta”, Hieronim Zahorowski, był Polakiem. A jakież efekty dawała tu współpraca, pani Krysiu! Polacy i Żydzi z Odessy sprzedali do Luwru, na początku wieku XX, starożytną złotą tiarę króla Sajtafernesasa, rzekomo wykopaną koło pradawnego szlaku wojsk perskich. Machnął to cacko złotnik Rachumowski, ale ponieważ nie byli pewni efektu, zawieźli ów bajer lwowskiemu uczonemu, profesorowi Antoniewiczowi. Ten rozpoznał fałszyfikat i z całą akademicką naiwnością objaśnił cwaniakom dzięki jakim błędom rozpoznał. Powtórzyli ów trik w Krakowie, u dyrektora Muzeum Czartoryskich, profesora Sokołowskiego. Przez co Rachumowski mógł wyeliminować wszystkie błędy, no i Luwr kupił tę tiarę za astronomiczną sumę dwustu pięćdziesięciu tysięcy franków. Dostała honorową witrynę na środku sali, pani Krystyno!

– I długo tam stała?

– Kilkadziesiąt lat, aż zrobił się wielki wstyd. I bardzo dobrze Żabojadom, szkoda, że nie stoi po dziś dzień!

– To też pan już mówił, pułkownik.

– O tiarze Sajtafernesasa?

– O tym, że nie lubi pan Francuzów, bo próbowali przewerbować pańskiego agenta ulubionego.

– Tak, Tolika, sucze syny! Jednak przyzna pani, że kiwając Francuzów nasi mistyfikatorzy działali patriotycznie. A jak łatwo ucierali im nosa! Warszawscy antykwariusze gościli wtedy francuskich marszandów, specjalistów od dawnych brązów. Te Francuzy twierdziły, że nie można ich oszukać, bo wykryją każde fałszerstwo. Więc nasi chłopcy zrobili im test profesjonalizmu: dali

do oceny kilka brązów, pytając które są oryginalne, a które podrobione. Francuzi przebadali brązy i wskazali: te są autentyczne, z epoki, a te są fałszywe. Tymczasem wszyscyutkie były fałszywe, co do jednego! Produkował owe cacka fałszerz Krasnosielski, geniusz.

– Chce mnie pan przekonać, pułkowniku, że Francuzi to tacy patentowani durnie, których łatwo...

– Nie, bywało i na odwrót. Ten sam antykwariusz, Wolski, który sprzedawał Francuzom fałszywe brązy i fałszywe meble z epoki któregoś tam Ludwika, dostał za sprawą Francuzów potworną lekcję. Ktoś mu dał tandetny prezent, dziwaczną buteleczkę, małą, szkło było brudne, kiepsko przezroczyście, w tym szkłe były zatopione srebrne druciki. Wolski uznał, że to bezwartościowy bibelot. Sprzedał go Francuzom, wziął dziesięć rubli, co i tak wydawało mu się fenomenalnym interesem, nieomal zdzierstwem. Kilka lat później zobaczył w periodyku „Connaissance” zdjęcie swojej buteleczki jako ilustrację do uczonego artykułu. Ten „*bibelot*” to był perskiej czy fenickiej roboty flakon na pachnidła, z czasów Chrystusa, nieprawdopodobna rzadkość. Warta fortunę.

– Kara za grzechy, pułkowniku! Za te wszystkie mistyfikacje, fałszywe meble z epoki któregoś tam Ludwika.

– Eee, sraty-taty! To się po prostu zdarza, pani Krystyno. Identyczny pech dotknął wielkiego zbieracza, Antoniego Jana Strzałeckiego, który z zawodu był malarzem. Pewnego razu kupił od żydowskiej handlarki, madame Landsztajn, jakiś dywan czy makatkę, płacąc sto dziesięć rubli, czyli całkiem tanio. Przyniósł to do domu, jednak nie spodobało się małżonce, która finansowała kolekcjonerskie kaprysy mężusia, kazała mu „*tę szmatę*” bezzwłocznie zwrócić. No więc zwrócił, i odebrał swoje ruble. Kiedy ponownie dreptał do domu, napotkał przyjaciela, malarza Horowitza, i wyżalił mu się, a Horowitz odwiedził Landsztajnową, kupił tę tkaninę i wziął do Wiednia gdzie miał pracownię, był

znanym twórcą portretów. I tam któryś klient rozpoznał, że „*ta szmata*” to bezcenna średniowieczna tkanina, cud. Horowitz sprzedał ją za fantastyczne pieniądze, a Strzałecki do końca życia wypominał małżonce, iż kazała mu ten rarytas zwrócić.

– W obu przypadkach mówił pan o rublach, pułkowniku, co znaczy, że...

– Że obie anegdoty są sprzed I Wojny Światowej, pani redaktor. Opowiedziano mi je dawno temu.

– Myślałam, że zna je pan z lektury, z jakichś pamiętników czy rozpraw.

– Nie, znam to z ust pewnego starowiny, który mieszkał na Pradze po sąsiedzku. Był kolekcjonerem, czasami kupowałem u niego jakąś drobną rzecz. Lubił opowiadać o swym życiu, a kiedy wypił zbyt dużo nalewki, to o swej zmarłej żonie i o tym, że po śmierci zobaczy ją z całą pewnością. Nigdy nie miałem serca mu powiedzieć, że się ludzi, nic nie zobaczy.

– Jest pan pewien, pułkowniku?

– Tak, pani Krystyno... Ale każdemu wolno roić. Corot, sławny malarz, kiedy umierał, szepnął: „– *Wierzę całym sercem, iż w niebie będzie malarstwo*”. Ja chciałbym wierzyć, iż w piekle też będzie malarstwo... À propos Corota, bo gawędziliśmy o falsyfikatach. Głośne powiedzonko marszandów mówi: „*Corot namalował sześćset obrazów, z czego dwa tysiące jest w Stanach Zjednoczonych*”. W Polsce również fałszowano mnóstwo, już między wojnami, i fałszuje się dalej. „Fałaty”, „Kossaki”, grafiki Witkacego i Berezowskiej, wszystko co można wcisnąć bogatym frajerom. Kilka tygodni temu, tuż przed pani przyjazdem, dwóch dziennikarzy zrobiło prowokację, zanieśli do znanego domu aukcyjnego falsyfikat, który został tam uznany przez eksperta za oryginał. Ten sam ekspert już wcześniej uznał inny falsyfikat za dzieło oryginalne, no więc ci reporterzy chcieli sprawdzić czy to była pechowa wpadka, czy

skandaliczna rutyna. Aferę opisano, pokazano w telewizji, i jaki był efekt? Efekt jest taki, że łobuz podał dziennikarzy do sądu i opublikował dwukolumnowy artykuł w „Tygodniku Solidarność”, przekonując iście sofistycznym bełkotem, że jest czysty jak kryształ, a nędznikami są ludzie, co zdemaskowali pana eksperta.

– O tym też już mówiliśmy, panie pułkowniku.

– Z całą pewnością nie, pani Krystyno. Pierwszy raz mówię pani o tym.

– Mówiliśmy sporo o pańskiej wrogości wobec ekspertów.

– Aaa !... Bardzo dowcipne !

– Dzisiaj cały czas jestem bardzo dowcipna.

– Raczej bardzo czepialska, pani Krysiu!

– Jaki jest pański ulubiony malarz?

– Kiedy pewna dama tak zapytała głośnego przedwojennego aktora, Dymśkę, ten burknął: „– *Sam odnawiam sobie mieszkanie, łaskawa pani*”.

– Też bardzo dowcipne. Próbował pan malować?

– Mieszkanie?

– Pytam serio.

– Trochę, w młodości, pod wpływem stryjka, ale nie miałem talentu. Nie trzeba umieć malować, żeby czuć malarstwo, czytać malarstwo, znać malarstwo.

– Zna pan malarstwo na tyle, by móc je wyklądać?

– Boże broń, ale wiem co to jest prawdziwe malarstwo, pani Krysiu.

– I co to jest?

– Co to jest malarstwo?

– Tak, o to pytam.

– To jest... to jest ten moment, kiedy Rafael przychodzi do Buonotiego. Michał Anioł był już wtedy sędziwy, miał prawie osiemdziesiąt lat, i jego sławę wirtuoza pędzla, twórcy genialnych

fresków w Kaplicy Sykstyńskiej, przyćmiewała młoda, wschodząca gwiazda, Rafael z Urbino. Wielu zdążyło zapomnieć o Buonotim – wszyscy gloryfikowali Rafaela. Pewnego dnia Michel Angelo pracował w małym kościółku, i raptem zobaczył, że ktoś wchodzi, i poznał znenawidzonego rywala, i zadrżał, bo takie spotkanie nie było mu miłe. Nigdy wcześniej nie zetknęli się sam na sam. A Rafael podszedł do starego mistrza, uklęknął i ucałował jego stopy. Wtedy Buonoti rozplakał się. Ze szczęścia. To jest właśnie malarstwo, pani Krysiu...

– To jest właśnie zdumiewające, panie pułkowniku...

– Że młody geniusz złożył staremu geniuszowi ów należny hołd?

– Nie. Zdumiona jestem tym, że okrutny kagiebista ma serce prócz intelektu.

– Nigdy nie byłem zbyt okrutny, raczej przewrotny. A serce? Tego rodzaju anegdutki to tanie chwytły, działające na baby i na romantyków jak świeżo krojona cebula. Kagiebistów uczy się takich łamiących serduszka sztuczek. Myślę, że panią zdumiewa raczej co innego – że kagiebista może być nie tylko inteligentny, lecz jeszcze należeć do grona konsumentów kultury wyższej, elitarnej, zarezerwowanej dla ofiar bezpieczeństwa, dla wszelakich jajogłowych myślicieli, subtelnych twórców, głębokich mędrców, czcigodnych akademików, poetów i publicystów-kontestatorów, oraz podobnych dupków, których bezpieczeństwo zwalczała za bohaterską dysydencję. Większość to byli patentowani tchórze, których do konspiracji wciągały krępujące swobodę kajdany towarzyskie, a tylko bardzo nielicznych zadziorna antysowieckość, umiłowanie wolności ducha i wolności słowa, bądź powstańczy kompleks Mickiewicza, tego z dziupli wielkopolskiej.

– Jakiego Mickiewicza?

– Spieszącego na wstecznym biegu do Listopadowego Powstania, pani Krystyno. Wzywano wieszczka, przesławnego rodaka, herolda

rwania kajdan, żywy symbol dążenia do wolności, by ruszył tyłek z Zachodu i by w Warszawie wsparł walkę o suwerenność. Więc ruszył, lecz jakoś strasznie wolno mu się jechało, aż wreszcie utknął w Poznańskim, i gdy generał Paskiewicz okrążał już stolicę, wieszcz Mickiewicz dalej rznął hrabinę Konstancję Łubieńską, notabene matulę aż pięciorga dzieci, tudzież jej kucharki i służące. Sam później ubolewał, że prowadził wtedy w Poznańskim „zwierzęcy żywot” kiedy ojczyzna walczyła. Rodacy wzięli ten unik za grubą plamę na honorze wieszca, a jego postawa stała się symbolem unikania czynu przez piewców czynu. Byron jednak umarł w powstaniu, dotarł na pole bitwy, choć umarł nie od kuli... Polski intelektualista zna te historyczne lekcje, nie wypadało więc nie wesprzeć „Solidarności”, to jest nie solidaryzować się konspiracyjnie z buntem pragnącego kielbasy proletariatu – „noblesse oblige”³⁸, „nolens volens”, et cetera.

– „Pragnącego kielbasy proletariatu”! Tylko kielbasy? Spiskowa teoria dziejów made in KGB?

– Ależ skąd! Znajomość faktów i sondaży, szanowna pani.

– Jakich sondaży?

– Najpierw sięgnijmy do faktów. Może mi pani wskazać choć jeden bunt „klasy robotniczej”, który nie eksplodował bezpośrednio po ogłoszeniu przez reżim podwyżki cen kielbasy i mięsa? Tylko jeden. Ma pani duży wybór: Poznań, Gdynia, Radom, Ursus, Lublin, Śląsk, Szczecin, znowu Trójmiasto... No więc?

– Ale przecież...

– Ale przecież na transparentach widniało: „Chcemy demokracji!”, zaś tłum skandował: „– Precz z komuną!”... Pani Krysiu... ja nie twierdzę, że wśród górników, hutników czy stoczniowców nie było wojujących antykomunistów, świadomych patriotów, zdarzali się tacy, wyjątki potwierdzają każdą regułę, ale „prawda dziejowa” jest

38 Szlachectwo zobowiązuje (franc)

mało heroiczna: tylko eskalowanie cen żarcia przez PZPR detonowało gniew robotniczy, później czasami upolityczniany staraniem „białych kotłnierzyków”, nigdy eskalowanie ideologii doktrynalnej bądź służebności prokremlowskiej przez politbiuro. W zakładach, kopalniach, fabrykach i stoczniach politbiuro wkurzało raczej element światlejszy, choćby inżynierów, jak Andrzej Gwiazda, lecz takich również doliczyłaby się pani niewielu, pani redaktor. A propos Gwiazdy: jeden major MSW też nazywał się Andrzej Gwiazda, i w „stanie wojennym” kumple robili mu kawał za kawałem. Z nazwiskiem można mieć pecha. Po wojnie głównym oprawcą był Jakub Berman, więc znany grafik, Mieczysław Berman, czuł się łyso. Pamiętam jego okładkę do „Czapajewa”, którego przełożył Putrament...

– Chcę usłyszeć o tych sondażach!

– Proszę bardzo. Trzy lata temu kilka biur badania opinii publicznej zrobiło ankierskie przepytówki i upubliczniło szokujące wyniki: lud rodzimy buntował się nie wskutek gorącego patriotyzmu, lecz jedynie wskutek suchego gardła i postnego alias wegetariańskiego talerza. Media prawicowe zawyły z rozpaczy, pamiętam kilka tytułów: „*Wolnościowstręt!*”, „*Kiełbasa lepsza niż niezależność*”, „*Gdyby w PRL były dobrze zaopatrzone sklepy – komunizm trwałby w Polsce do dziś*”, et cetera. Łatwo pani sprawdzi, to był 2002 rok.

– Ale nie sprawdzę rzetelności tych sondaży, sam mi pan mówił, iż tutejsze sondażownie to banda kłamców.

– Nie zawsze, lecz mam argument lepszy. We wspomnianym sondażu brały udział OBOP, CBOS tudzież renomowany Światowy Instytut Gallupa. Nie zdezawuuje pani tych wyników... Jak również rezultatów wolnych, demokratycznych wyborów z lat 1993 i 2001, kiedy suwerenny lud przywracał komunie władzę... To jak, wracamy do malarstwa, pani Krystyno?

- Nie przychodzę tu, by wysłuchiwać zwierzeń o pańskim hobby!
- Nie wysłuchała pani jeszcze słowa o moim hobby. Nawet pani nie wie czy miałem hobby.
- Sądziłam, że... że malarstwo, lub w ogóle sztuka...
- Malarstwo to piękna rzecz do dekoracji siedziby, inaczej ściany byłyby gołe. I trzeba się odrobinę na nim znać, żeby wśród mądrali nie czuć się idiotą. Ale hobby to coś zupełnie innego – to gorączkowe zbieractwo, wściekła pasja, mania. Bibliofile, filateliści, numizmatycy i tym podobni – to wariaci, rodzaj ćpunów.
- A co pan zbierał?
- Różne rzeczy, lecz przez ostatnie ćwierć wieku już tylko stare samochody, pani Krystyno.
- Niezwykle kosztowna pasja, pułkowniku.
- Było mnie stać... Chociaż nawet kiedy człowieka stać, nie wszystko można kupić. Na terenie dawnej fabryki Norblina przy Żelaznej, w magazynie muzealnym, stoi przedwojenny cadillac imperial, kupa złomu, wrak, ale ja bym go wyremontował i dopieścił. To były rządowe auta, miały pancerne szyby, zbudowano tylko dwadzieścia sztuk. Kiedyś stał na lotnisku w Krakowie, a ubecy byli ciekawi czy da się te szyby przestrzelić, no więc postrzelali sobie do niego. Nie dało się przestrzelić. A kupić by się dało, tuż przed runięciem Muru, lecz zrezygnowałem, i długo gryzł mnie żal.
- Jeśli mógł pan kupić, to czemu pan nie kupił?
- Gdyż ten wózek był służbową gablotą marszałka Piłsudskiego, a później prezydenta Mościckiego. Relikwia. Nie chciałem ściągać na siebie uwagi takim zakupem.
- Panie pułkowniku... mało mnie stare gabloty obchodzą, ale rozumiem, że pan musi się pochwalić, hobby to hobby, więc proszę mi opowiedzieć o jednym, o jednym jedynym, szczególnie przez pana ukochanym wozie. Tylko o jednym.
- Hotchkiss, rocznik 1936, kabriolet, sześciocyndrowy motor

pojemności trzech litrów.

– Słyszałam tę nazwę, lecz jako nazwę broni...

– Bo Hotchkiss to francuska fabryka broni i amunicji, ale obok produkcji zbrojeniowej wytwarzała również samochody w międzywojennym dwudziestoleciu. Kupiłem to cacko przed kilkunastu laty i remontowałem kilka lat.

– Samodzielnie?

– Razem z dwoma ludźmi – z lakiernikiem i z mechanikiem złotą rączką. To była ruina. W najlepszym stanie zachowała się skrzynia biegów. Zupełnie inna niż te dzisiejsze, niesynchronizowana, więc żeby zmienić bieg, trzeba dwukrotnie wciskać sprzęgło. Silnikowi brakowało trochę części, niektóre zdobyliśmy, inne musieliśmy dorabiać. Hamulce tylko na jedną oś, i ten lepiej zachowany posłużył drugiemu jako wzór. Brakowało mu szyb, lecz odlano mi je w wołomińskiej hucie szkła. No i karoseria, z tym był makabryczny kłopot. Większa część nadwozia jest tu drewniana. To drewno oklejano specjalnym płótnem i malowano lakierem... Zrekonstruowaliśmy wszystko, również lakier i jego pierwotny kolor, pani Krysiu! Choćby nie wiem ile razy auto było przemaalowywane, to pierwotny kolor zawsze można ustalić niuchając pod listwami czy w szczelinach, w drobnych zagięciach blachy, i w otworach śrub. Tylko jak później zdobyć ten lakier? To były lakiery kopalowe, według starych receptur, trudna sprawa. Lecz znaleźliśmy taką małą włoską wytwórnię farb, która nam zrobiła żądane чудо. Kładliśmy ów lakier ręcznie, pędzlami, warstwa za warstwą... No a potem pierwsza jazda! Coś jak orgazm, pani Krysiu.

– W Polsce znalazł pan wrak tego hotchkissa?

– W Polsce, ale nie ja go znalazłem, tylko Ludwik Drozd, następca Karśnickiego. Ksywka „Bankier”. Szalenie ciekawy człowiek, syn lekarza, z zamiłowania poeta, ukończył studia matematyczne, geniusz finansowy. Został prawą ręką „Księcia”, jego buchalterem i

kasjerem, stąd „Bankier”. Mój cudowny Faust, „Księżę”, zabił się 3 maja 1981 roku. Rok później mianowałem Drozda „capo di tutti capi” w Warszawie. Miał wówczas trzydzieści pięć lat.

– Takiego gówniarza zrobił pan hersztem całego półświatka Warszawy?!

– Był młody, ale był bardzo mądry, pani Krysiu. Spodobałby się pani jako mężczyzna...

– Nie zna pan przecież mojego typu mężczyzny, panie pułkowniku.

– Ale jestem domyślny.

– I czego się pan domyślił?

– Że lubi pani facetów z poczuciem humoru. On miał cudowne poczucie humoru, niezrównane. Pijaniusieńki, w restauracji, ułożył knajacką zwrotkę hymnu narodowego:

*„Jeszcze Polska nie zginęła,
Póki my żyjemy!
Jeszcze piwo nie skwaśniało,
Póki my pijemy!”*

– Rządził podziemną stolicą z piwiarni?

– Nie warto kpić, chłopak miał naprawdę duży łeb, to był ktoś. A że parafrazował hymn, nie znaczy wcale, iż brakowało mu patriotyzmu. Przez ten patriotyzm zginął po kilku latach. Dokładnie po ośmiu latach rządzenia Warszawą, z czego cztery ostatnie lata to już był nowy rodzaj bonanzy – na gnoju komunizmu kwitły pierwsze kwiaty kapitalizmu, pierwsze przebiśniegi. Nie takie liche, efemeryczne, doskokowe, wiecznie represjonowane, jak wcześniej osławiona „inicjatywa prywatna”, „prywaciarstwo”, żeby urzędasy miały od kogo brać sute łapówki, tylko prawdziwy kapitalizm, firmowy, duży zasięg, gra legalna i międzynarodowa. Głupcom się

wydaje, że kapitalizm zagościł u Polaków dzięki temu, iż reżim obaliła „Solidarność”. Takie myślenie jest błędem, idiotyzmem. „Solidarność” wcale nie chciała kapitalizmu, przeciwnie, bała się go, nawet nie wspominała o wolnym rynku. Chciała swobodnego socjalizmu z demokratycznym uspołecznieniem gospodarki, niczego więcej. To był belkot, bo gdyby ktoś spytał o konkrety, o kształt tego demospołecznego modelu, żaden solidarnościowiec nie umiałby wytłumaczyć. Całe ich żądanie uspołecznienia, zamiast prywatyzacji oraz wolnego rynku, było kurczowym, antykapitalistycznym trzymaniem się socprzywyczajów komunistycznych. To nie oni, lecz „czerwony” premier Rakowski i „czerwony” minister Wilczek, a jeszcze bardziej, bo praktycznie, my – półświatek schyłkowego PRL-u – wprowadzaliśmy tu kapitalizm. Wbrew „Solidarności”. Zaczęło się od pierwszych, liberalizujących gospodarkę dyrektyw premiera Rakowskiego, ale zaczęło się tak formalnie, bo praktycznie zaczęło się wcześniej u Ruskich, którzy wiedzieli już, że te lata to „*los ultimos podrigos*” komunizmu.

– Ładny dowcip, ta parahiszpańska gra słowna. Pański?

– Niestety nie mój, lecz Witkacego.

– Tego Witkacego?

– Tego narkomana i groteskowca, którego kult salony intelektualno-artystyczne wszczepiły salonom filistrów.

– Fili...

– Filistrów, pani Krystyno, filistrów. Takim mianem określało się niegdyś w Polsce klasę mieszczańskich półinteligentów i ćwierćinteligentów, ludzi bez aspiracji wykształceni, ergo: ludzi przyziemnych, goniących tylko za zyskiem. A więc identycznych jak chamstwo nomenklaturowe i spec-służbowe, które wznosiło we wschodniej Europie zręby kapitalizmu. Inicjatorem była oczywiście moja „*firma*”.

– KGB był inicjatorem wolnego rynku?! Mówi pan serio?

– Jak najbardziej serio. W 1986 roku generał Władimir Kriuczukow, szef wywiadu KGB, zezwolił rezydentom wszystkich wywiadów państw komunistycznych tworzyć na Zachodzie przedsiębiorstwa typu „*joint venture*”. Polacy...

– To była już era Gorbaczowa, pułkownika?

– Ano, to były wczesne chwytły tej „*pieriestrojki*” gorbaczowowskiej. Nasi chłopcy nie bez entuzjazmu ruszyli do dzieła, tworząc dużo tak zwanych „*spółek polonijnych*”, głównie w Wiedniu lub w Hamburgu, żeby było blisko. Od roku 1990 wracali stamtąd jako miliarderzy i zakładali nad Wisłą swoje finansowe lub handlowe imperia. Ten wiedeńsko-hamburski okres pionierski to był prawdziwy cyrk. Brało się tamtejszego gołodupca, Niemca lub Austriaka na „*socjału*”, dawało mu się parę groszy, a on występował jako zagraniczny inwestor. Fundusze wkładała „*firma*”, głównie I albo II Departament MSW, czyli wywiad lub kontrwywiad. Bądź wojskówka, czyli WSW.

– Ale rozumiem, że taki interes mógł założyć każdy.

– Oczywiście, pani redaktor, lecz nie zakładał każdy. Mieć pieniądze na taki interes to było zbyt mało. Trzeba jeszcze było mieć umocowanie w spec służbach, bez tego ani rusz.

– Chce mi pan powiedzieć, że nie można było zostać kapitalistą bez współpracy ze służbami?

– Właśnie to pani mówię. Jeśli ktoś powie pani, że był przypadkowym, mającym fart pucybutem-milionerem tamtych czasów, to będzie kłamcą. Nie było wtedy bezsłużbowych inwestorów. Najpotężniejszym inwestorem była sitwa chłopaków z wojskówki i z I Departamentu. A najsłabszy biznesowo był przed 1990 rokiem III Departament, tłamszący tutaj społeczeństwo, dlatego nie mający dobrych kontaktów zagranicznych. Trójka wzięła sobie odwet przy pierwszych pokomunistycznych rządach, kiedy jako UOP i ABW opanowała wiele kanałów kontrabandy, wiele biznesów i rynków, lecz od 1993, gdy komuna wróciła do władzy,

znowu WSI tudzież kadry dawnego I Departamentu zaczęły przeważać. Prezydent Kwaśniewski otoczył się nimi szczelnie, co zresztą nie wychodziło mu na dobre każdorazowo. Wojna między chłopakami z wojskówki a chłopakami z dawnej Trójki trwała aż do ostatnich wyborów. Skandal Janickiej to kamyczek tej gry. Pani już tu była, wie pani o czym mówię.

– Tak, mówi pan o współpracownicy kandydata na prezydenta, byłego marszałka Sejmu, Cimoszewicza, i o ujawnionych przez nią dokumentach, które go pogrążyły.

– Ona była tam tylko kukielką. Cimoszewicz to człowiek WSW-WSI, pseudo „Carex”. Wojskówka, pragnąc być dalej państwem w państwie, chciała jednego swojego człowieka, Kwaśniewskiego, zastąpić drugim swoim człowiekiem jako prezydentem, i wypromowała „Cimoszkę” na pierwsze miejsce sondażowych rankingów – miejsce faworyta. Ale wówczas zemścił się Leszek Miller. Miller i Kwaśniewski od paru lat walczyli, byli parą wrogów. Za Kwaśniewskim stało WSI, za Millerem ABW. I to dwaj pułkownicy ABW, Miodowicz oraz Brochowicz, rozpętali aferę Janickiej, dostarczając „kwity” kompromitujące Cimoszewicza. Faworyt padł niczym snopek. Ten cios wymierzony frakcji Kwaśniewskiego osłodził Millerowi dolę emeryta, którą mu Kwaśniewski zafundował wcześniej całą serią antymillerowskich intryg. Nie ma lepszego przykładu „walki buldogów pod dywanem”. Dwa czerwone kundły gryzły się ostro, każdy został raniony. Kwaśniewski, kundel młodszy, jeszcze wierzy w świetlaną przyszłość, w swoją nową szansę – tym razem w ważny fotel międzynarodowy – i być może mu się uda, ten facet zawsze wiedział po jakiej stronie chleb smarowano.

– Wiedział lepiej niż pan, pułkowniku?

– Niech mnie pani nie porównuje, to był zawsze pętaś na naszej smyczy, z której się lekko zerwał w Kijowie siłą przypadku, bardziej

niechęcy niż chcąc, istna komedia. Wtedy, w pionierskich czasach „joint venture”, był figurą marginalną, drugoplanową. Ja w tych wiedeńskich walcach pierwszego etapu grałem czołową rolę, dlatego tutaj, nad Wisłą, Drozd musiał prowadzić interesy. Szkoda, że zginął kiedy tu trwała komedia obalania sierpa i młota...

– Jak zginął?

– Wrócimy do tego, pani Krysiu, teraz zostanmy przy komedii, bo to ciekawsze.

– Dla mnie ciekawe jest już samo to, że pan nazywa komedią obalenie komunizmu. Wskutek czego pan tak mówi?

– Ze względu na aktorów tej sztuki, i ze względu na reżysera.

– Powie pan oczywiście, że reżyserem była tu pańska „firma”, a grono głównych aktorów to grono jej agentów!

– Czyż było inaczej? Sam uczestniczyłem aż w dwóch rewolucjach, organizowałem bunt polski i bunt rumuński.

– Rumuński?! Dlaczego rumuński?

– Bo mój człowiek, Zenon Tolik, miał doskonale układy w Paryżu. Jest tam, blisko Carrefour de l’Odeon w Dzielnicy Łacińskiej, chociaż może już nie istnieje, ale wtedy był, bar „Monaco”. Licha dziupla, odwieczne miejsce spotkań ludzi z Legii Cudzoziemskiej. Także Rumunów. Wyjeliśmy stamtąd kilkunastu chłopców, których Bukareszt potrzebował. A konkretnie ta frakcja Securitate, która z rozkazu moskiewskiej „firmy” miała wykończyć „geniusza Karpat” oraz jego pieprzniętą żonę, rumuńską „lady Macbeth”, panią Ceausescu. Tajne spotkania rewolucjonistów odbywały się... no gdzie, proszę zgadnąć...

– Nie zgadnę, pułkowniku.

– W bukareszteńskiej ambasadzie ZSRR, wewnątrz komnat rezydentury KGB, pani Krystyno. I wszystko świetnie się udało, bolszewizm karpacki został obalony, państwo Macbethowie rozstrzelani, rewolucjoniści awansowani, choć już nie jako

oficerowie Securitate, tylko jako dygnitarze Rumuńskiej Służby Wywiadowczej, SRI, bo to się teraz tak nazywa... Ci z Legii Cudzoziemskiej też nie żałują, jeden został wysokim oficerem morświnów, a inny...

– Co to są morświny?

– „Marsouins”, francuscy marines, piechota morska Żabojadów. Inny dowodzi dzisiaj 43 Batalionem Piechoty Morskiej w Port-Bouet na Wybrzeżu Kości Słoniowej, gdzie trwa operacja „Licorne”, „Jednorożec”, która...

– To mnie zupełnie nie interesuje, panie pułkowniku!

– Rozumiem, pani Krystyno, chciałem tylko pokazać, że „firma” szczerze się odwdzięcza swoim najemnikom. Wracamy do rewolucji przeciwko komunie. Wszędzie się udały. I w Bułgarii, i w Czechosłowacji, i w Enerdówku, i u Madziarów, i u Sarmatów, wszędzie. Jak po maśle, jak po sznurku, jak ta lala!

– Jak po sznurku do specmarionetek, to mi pan mówi?

– To pani mówię, pani Krysiu.

– U Sarmatów?

– Tak, toczno, u Sarmatów. W roku 1980 triumf „Solidarności” polegał na tym, że Związek zawarł z reżimem trzy głośne Porozumienia. Pamięta pani gdzie?

– W Szczecinie, w Gdańsku i...

– I w Jastrzębiu. Z ramienia „Solidarności” Porozumienie Gdańskie sygnował pan Lech Wałęsa, Porozumienie Szczecińskie – pan Marian Jurczyk, Porozumienie Jastrzębskie – pan Jarosław Sienkiewicz. Wszyscy trzej byli TW, tajnymi współpracownikami bezpieczeństwa, a prócz nich sześćdziesiąt procent każdego sztabu „Solidarności” stanowili nasi ludzie.

– Dwa dni temu Instytut Pamięci Narodowej oczyścił Wałęsę z zarzutów, przyznając mu status „pokrzywdzonego”!

– To hucpa polityczna, tak jak sądowe uniewinnienie Jurczyka,

kupa śmiechu! Polacy o tym wiedzą, a jeszcze lepiej wiedzą o tym historycy zatrudnieni w IPN. Gdyby miała pani konfidencjonalne dojście do któregoś, ujawniłby pani to samo, co mogę ujawnić ja.

– O „Bolku”?

– Tak, o agenciaku TW „Bolek”, numer ewidencyjny GD 12535, zwerbowanym 29 grudnia 1970 przez starszego inspektora Wydziału II KWMO w Olsztynie, kapitana E. Graczyka. Osiem lat później...

– Wykuł pan te cyferki na pamięć, jak do klasówki?

– Jak do dzisiejszego dialogu z panią, rano. Mogę kontynuować?

– Proszę.

– Osiem lat później inspektor SB, M. Aftyka, potwierdził notatką służbową „*pozyskanie agenta «Bolka» – na zasadzie dobrowolności*”, przy czym chwalił go, że to „*osobnik zdyscyplinowany i chętny do współpracy*”, a „*wynagrodzenie pobiera bardzo chętnie*”. W raporcie Aftyki widnieje suma kilkuset tysięcy złotych, pani Krystyno.

– Nie mogę w to uwierzyć, pułkowniku !

– Cały czas oboje rozumiemy, że pani nie musi wierzyć w choćby jedno słowo, które słyszy pani ode mnie. Czy słyszała pani może, u kogoś innego, w radiu lub w telewizji, o „Archiwum Mitrochina”?

– Tak, to nie jest termin mi obcy, lecz proszę mi przypomnieć.

– Wasilij Mitrochin był swego czasu naczelnym archiwistą Łubianki, moskiewskiej centrali KGB. Przez wiele lat cichcem kopiował lub streszczał ważne kagiebowskie dokumenty, później udało mu się to wywieźć z Rosji dzięki pomocy wywiadu brytyjskiego i na początku lat dziewięćdziesiątych opublikować. Wśród papierów „Archiwum Mitrochina” są dokumenty o współpracy Wałęsy z SB, i o pieniądzach, które Wałęsa brał jako kapuś. To jest zachodnia publikacja, przedruk dokumentów, które historycy bardzo cenią, a nie gadka-szmatka zdychającego kagiebisty, który chce sprzedać trochę głupot amerykańskiej dziennikarce słowiańskiego pochodzenia.

– Wśród Polonii, w Chicago, mówiło się również, że... że Adam Michnik był TW...

– Wiem, pani Krystyno. W Chicago, w Toronto, w Melbourne... Polonia jest mało lewicowa i kiepsko wybacząca. Michnik był konfidentem. W Polsce już piętnaście lat temu jeden pisarz nie wahał się publicznie tak twierdzić.

– Czy tu też są dowody? Raporty, notatki, wpisy?

– Są.

– To dlaczego nikt ich nie publikuje?

– Bo opublikowane przestałyby być batem vel „hakiem”, pani Krysio. Dlatego ci, którzy je mają, nie spieszą się, by je publikować. I dlatego Michnik tak wspomaga komunistów, tak się klei do Jaruzelskiego, Urbana, Kiszczaka, Cimoszewicza, Millera oraz reszty czerwonych „ludzi honoru”, jak sam ich nazywa lizusowsko. Kiedyś był dużo bardziej bezczelny niż dzisiaj, bo umożliwiono mu zniszczenie własnej teczki w archiwum SB, gdzie wpuścił go bezprawnie jego kumpel, również kapusta, minister Kozłowski. Biedny „Adaś” sądził, że jak zniszczy swoje dossier, to zniszczy dowody swojej współpracy i zapewni sobie bezpieczeństwo. Duża naiwność, bo ślady takiej współpracy są w stu miejscach – nie da się usunąć wszystkiego, to fizycznie niemożliwe. Zresztą w Moskwie są mikrofilmy każdego świstka, każdego „kwitu”... Rok temu opublikowano fragment rozmowy werbunkowej z Michnikiem jako werbowanym, i „Adaś” robi się coraz bardziej nerwowy, chyba przestał wierzyć, iż uda mu się bezkarnie wywinąć. Już właściwie przyznał się w metaforyczny sposób.

– Gdzie?

– Na łamach swego dziennika.

– Gdyby tak było, słyszałabym o tym, to wywołałoby duży huk.

– Bezpośrednie przyznanie się tak, lecz metafora stanowi jedynie fundament spekulacji, pani Krysio. Mały pan A. M. sięgnął do

wielkiego pana A. M. – do Mickiewicza. Opublikował esej pod tytułem: „Rana na czole Adama Mickiewicza”. Sugestia publiki jest tu taka, że myślał o czole własnym, miedzianym... Niech mi pani poda gazety z tamtej półki... Zaraz znajdę... Już mam. Proszę słuchać, to jest ten fragment michnikowskiego eseju: „W 1824 Mickiewicz zobowiązał się do roli konfidenta carskiej policji politycznej. Zdaniem profesora Pigionia musiał traktować tę deklarację jako «akt samobójstwa wymierzonego w samą istotę osobowości» – stąd u Konrada «nieuleczalna na czole rana», którą «sam sobie zadał». Ta rana będzie się odnawiać na polskich czołach przez następne dwa stulecia. Stanie się polskim upiorem”. Michnika dopadł ten upiór, więc próbuje się ratować wskazując: patrzcie, nawet taki gigant jak mój imiennik Mickiewicz pobłądził metodą analogiczną.

– A pobłądził, pułkowniku?

– Niestety. Dlatego polska endecka ekstrema lubiła przeciw Mickiewiczowi parskać: „Rudy litewski Żyd!”, bo miał trochę krwi starozakonnej. I nie miał jako patriota zbyt twardego charakteru. Wiernopoddańcze procarskie nuty przedmowy do pierwszego wydania „Konrada Wallenroda”, czy też usunięcie dedykacji dla Filomatów w petersburskim wydaniu „Poezji”, i zwłaszcza zaprzęgnięcie się Towiańskiemu, carskiemu agentowi grającemu Mesjasza. Ta kompromitująca scena z 1844 roku na paryskim zebraniu emigracji polskiej, kiedy Mickiewicz żądał od rodaków, by wystosowali lokajski „Adres do cara”. Żądał krzycząc: „– Bracia, dzisiaj ukazał mi się duch cara Aleksandra i prosił, byśmy się modlili za niego!”. Słyszając to, odkrzyknął mu Słowacki: „– A mnie, bracie, ukazał się duch Stefana Batorego, przestrzegając, byśmy się nie modlili w intencji żadnego Moskala!”. Mickiewicz dostał furii, chwycił ramię Słowackiego i brutalnie wyrzuci go za drzwi, rycząc po rosyjsku: „– Paszoł won, durak!”.

– To straszne !

– Nie, pani Krystyno, to normalne, bo bardzo ludzkie, typowo człowiecze... Ludzie są słabi i podatni, bez tego żadne specsłużby nie mogłyby funkcjonować. Siła KGB, Stasi czy GRU zawsze jako fundament miała perfekcyjne żerowanie na człowieczej niedoskonałości – cała reszta była technicznym przydatkiem. Mitologizowany tu „Adaś” to tylko człowiek, robaczek, kółeczko, gnidka, pani Krysiu. Z Mickiewiczem miał, prócz imienia i trzech pierwszych liter nazwiska, drugą jeszcze rzecz wspólną: zbyt wielu „przyjaciół Moskali”.

– W pańskich ustach to nie może być zarzut, pan również miał ich bardzo dużo.

– Taki fach, pani Krysiu.

– Mówił pan dzisiaj, że ten drugi pański Faust, kolejny szef „złotego rynsztoka”, Ludwik Drozd, zmarł wskutek...

– Zmarł na chorobę patriotyczną, podobnie jak Karśnicki.

– A dokładniej, pułkowniku?

– Dokładniej to jutro, dzisiaj bateria się wyczerpała.

– Niech pan odpoczywa, jutro przyjdę.

– Proszę przyjść pół godziny wcześniej, mój człowiek pokaże pani resztę moich obrazów.

Sesja 12

– Dzień dobry, pułkowniku! Sorry, że przeszkadzam w lekturze...
– Witam, witam... Cha, cha, cha, cha, cha, cha, cha, cha, cha, cha, cha!

– Co pana tak śmieszy?

– Fragment wywiadu z Larsem von Triierem.

– Kto to jest?

– Duński reżyser, bardzo modny, wstyd, pani redaktor!

– Jaki tam wstyd, pułkowniku! Słyszałam o nim, „Dogville”! Amerykanie nie cenią go.

– Amerykanie cenią Żydów grających poczciwców o złotych sercach, no i Murzynów grających geniuszy intelektualnych, to główne nurty amerykańskiego kina... Ten Trier ma fantastyczny instynkt humoru, przynajmniej tu, udzielając wywiadu „Spiegłowi”. Proszę słuchać, pani Krysiu: „– *Myszę, że prezydent Bush jest zakochany w Condoleezie Rice. I że marzy o tym, by go wychłostała*”. Cudo!... Jak się podoba galeria sztuki Miecica Heldbauma, czyli Heldbaum Museum?

– Cudo! Oglądając, przypomniałam sobie te słowa umierającego Corota, które pan cytował, pułkowniku.

„– *Wierzę całym sercem, iż w niebie będzie malarstwo*”. Ranking najlepszych ostatnich słów dałby tej frazie palmę, weszłaby do pierwszej dziesiątki.

– Na pudło?

– Widzę, że zapamiętuje pani lekcje rodzimego slangu. Nie, na pudło, do pierwszej trójki, może nie, ale z pewnością blisko pozycji medalowej. Są antologie „ostatnich słów wielkich ludzi”, lecz rankingu jeszcze nie było.

– „Więcej światła!”.

– To klasyczny przykład mitologizowania, metaforyzowania, uwznioślenia, pogłębiania słów przedśmiertnych. Że niby Goethe rzucił frazę oświeceniową, magiczną, metafizyczną, a najlepiej kosmiczną! Ileż dętych bzdur wypisano analizując ten krzyk czy to westchnienie! Tymczasem on tylko szepnął: „– Uchyl także drugą okiennicę, aby weszło więcej światła”. Żeromski, konając, poprosił identycznie, by małżonka roletę uchyliła. Proza życia, lub raczej proza śmierci, takie frazy nie dostałyby medalu...

– A pan jakie by typował?

– Nie wiem... Może te o komedii życia, pani Krystyno. Beethoven rozkazał: „– *Bijcie brawa, przyjaciele, komedia skończona już!*”. Rabelais tak samo: – „*Opuśćcie kurtynę, moja farsa się zakończyła*”. Jeśli będzie pani miała trochę szczęścia, to jest gdy zemrę dziś lub w ciągu najbliższych kilku dób, może ten magnetofon utrwali ostatnie słowa Heldbauma i otrzyma pani puentę do swojej książki.

– Na puentę to musiałyby być smaczne...

– Cały czas mówię pani rzeczy smaczne!

– ... i adekwatne, pułkowniku.

– Adekwatne do czego? Do mego „curriculum vitae”, do sytuacji, do mego stanu ducha, do towarzystwa alias świadków zgonu? Gdyby mojemu ostatniemu tchnieniu kibicowali filozofowie lub teologowie, szepnąłbym jak Elżbieta I, super-królowa Anglii: „– *Rozmyślam*”.

– A gdyby kibicowały ofiary pańskich działań, pańskiego „*robienia sobie jaj*”, pułkowniku?

– Powtórzyłbym słowa, które szepnął Heine: „– *Bóg mi wybaczy, to jego zawód*”.

– Mefistofeles traktujący Boga niczym arbitra lub sąd najwyższy? Eeee!

– W ramach robienia sobie jaj wszystko wolno, dobry żart tynfa

wart, pani Krysiu... Oboje wiemy, że kiedy przyjdzie ta chwila, tu wokół będą tylko pielęgniarki i grono konowalskie. Chyba że... że wcześniej „firma” się dowie, iż zrobiłem jej ostatni kawał, udzielając tego wywiadu. Wówczas przyjdą... Lub przyślą piękną dziewczynę, żurnalistkę pragnącą wywiadu, by sprawdzić czy będę kablował, bądź co będę kablował. Że też nie pomyślałem o tym wcześniej!

– Pomyślał pan, pomyślał, panie pułkowniku, nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Pomyślał pan i sprawdził, ma pan jeszcze w „firmie” ludzi, którzy ujawniliby panu taką antyheldbaumową prowokację. Przykro mi, nie jestem z KGB, pułkowniku.

– Cóż, nikt nie jest doskonały...

– Bardzo dowcipne, punkt dla pana.

– Jeżeli więc nie jest pani z mojej „firmy”, to oboje musimy dbać, by nasze dialogi stanowiły sekret, bo kiedy moi rosyjscy koledzy się dowiedzą, przyjdą tu...

– Jakie wówczas byłyby pańskie ostatnie słowa?

– Też cytat, zacytowałbym ostatnią frazę Gieorgija Iwanowicza Gurdźjewa: „– *Aleście się wpakowali!*”.

– Wstyd mi pytać znowu...

– Żaden tu wstyd, pani Krystyno! Bardzo niewielu inteligentnych, czytanych ludzi wie kim był Gurdźjew. To był bardzo modny w pierwszej połowie ubiegłego wieku kosmopolita, grający proroka, superokultystę, posiadacza tajemnej wiedzy Bractwa Sarmung. Miał świetne rodowe nazwisko typ nomen omen, myślę o trzech pierwszych literach, bo ten człowiek to był klasyczny guru dla współwyznawców, zgromadzi swoistą sektę. Kiedy umierał, oni czuwali wokół niego. I jako ostatnie słowa usłyszeli wzdardliwe: „– *Aleście się wpakowali!*”.

– Moja matka też się wpakowała, wierzyła w jakieś siły nadprzyrodzone, chodziła do wróżki...

– One są nie tyle nadprzyrodzonymi, ile wciąż

niezdiagnozowanymi scjentycznie, pani Krysiu.

– Również tarot i astrologia?

– Nie wiem czy tarot, w to wątpię, lecz z astrologii nie będę się wyśmiewał.

– „*Gwiazdy ci prawdę powiedzą*”? Pan, pułkowniku?!

– Pani się zdziwi, lecz KGB bardzo interesował się astrologią i jasnowidzeniem, a myślę, że dzisiaj FSB dalej drąży to, gdyż sprawdziła się „*wielka przepowiednia Barbaulta*”. Ten Francuz, André Barbault, praktykował tak zwaną „*nową astrologię*”, która używa dziś komputerów. Kiedy 1 stycznia 1953 roku zapowiedział rychłą śmierć Stalina, i Stalin kilka tygodni później zdechł, sądzono, że to dzieło przypadku. Potem Barbault trafnie prorokował różne rzeczy, więc nie można już było go lekceważyć, ale jego twierdzenie, że sowiecki komunizm się sfajda na przełomie lat 1989 i 1990 wyśmiewano jako nonsens. Racjonalistom trudno było się nie śmiać z faceta, który taką prognozę tłumaczył „*koniunkcją Saturna i Neptuna wobec Związku Sowieckiego*”. Upierał się przy dacie całe lata. I okazało się, że trafił! Wiem też, że GRU zatrudnia media jasnowidzące, pani Krystyno.

– Przyjaciółka mojej matki była medium.

– To są dziwne predyspozycje, znane od dawien dawna. Półtora stulecia temu polski „*wielki wtajemniczony*”, Adam hrabia Ronikier, okultysta, miał fenomenalne medium, Szkotkę Edytę Mansfeld, która „*widziała na odległość*” i czytała przyszłość jak książkę, bez wpadek i bez trudu. Carska policja użyła jej do odnalezienia zamachowców, którzy chcieli zdmuchnąć cara Mikołaja I. Ciekawostka: ładunek wybuchowy, mieszanina rtęci piorunującej oraz bawełny strzelniczej, znajdował się w świecach iluminujących biurko carskie. Mówię: ciekawostka, bo niemiecka Stasi chciała zabić Jana Pawła II świecą gromniczną w częstochowskim klasztorze Paulinów.

– I dlaczego się nie udało?

– Bo ja temu przeszkodziłem.

– Dlaczego?

– Dlatego, że to godziło w moje plany, które nie zawsze były zgodne z interesami moich wschodnioniemieckich kolegów.

– Pańscy wschodnioniemieccy koledzy nie odważyliby się eliminować papieża bez rozkazu lub bez zgody centrali moskiewskiej.

– Fakt. To Andropow kazał strzelać do „*rimskowo papy*”, a bułgarskie pieski Andropowa użyły tureckich „*szarych wilków*”. Wojtyła zupełnie się skompromitował ogłaszając w Sofii, że Bułgarzy nie mieli nic wspólnego z zamachem. Taki był warunek Kremla, mamiono go ewentualną zgodą na pielgrzymkę po Rosji, to było jego wielkie marzenie. Andropow tańczył w piekle radosnego kazaczoka, słysząc jak Wojtyła bredzi za cenę przepustki, której i tak mu nie dano... Oj, pani Krysiu!... Gdyby tutaj był podsłuch, jutro koledzy przyszliby z wizytą. Kwiaty dla pacjenta, bombonierka dla drogiego „Mieczysława Liejzorowicza”, i tak dalej.

– Dalej to pacjent by warknął : „– *Aleście się wpakowali!*”...

– Dodałbym jeszcze : „*zasrańcy*”.

– Aż tak pan nienawidzi swojej „*firmy*”!

– Raczej pogardzam nią. Przy całym dla niej szacunku.

– To są wykluczające się uczucia !

– Metafizyka nie musi kierować się logiką, sensownością i grawitacją. Jest pewien ładny przepis ludzi kulturalnych: zostaw toaletę w takim stanie, w jakim ją zastałeś. KGB zawsze zostawiał toaletę obsraną, a na dywanie pośrodku salonu sterczała kupa i wszędzie cuchnął mocz. Jest inny przepis: traktuj drugiego człowieka tak, jak sam chciałbyś być traktowany. KGB umiał tylko gnoić człowieka, nic więcej. Oto źródła mojej pogardy. A źródła mojego szacunku? Siła, pani Krystyno! Wszecmoc diabelska, „*tout*

*court*³⁹ . ZSRR upadł, bo gospodarczo zbankrutował, samo piekło było tu bezradne, nie dało rady zgwałcić praw ekonomii, lecz Rosja, która powstała na gruzach Sowietów, została tak całkowicie opanowana przez KGB, że kagiebiści-primus awansował do stopnia prezydenta Republiki. Chce pani innego przykładu, bliższego Ameryce? Proszę bardzo. Ameryce zadano potworny cios 11 września 2001 roku. Później były Madryt, Londyn, tudzież inne miasta – Al-Kaida terroryzuje dziś cały glob. Zaś sztab Al-Kaidy został wyszkolony przez KGB! Przez pion F Sekcji Zadań Specjalnych KGB! Człowiek numer 2 Al-Kaidy, prawa ręka Ben Ladena, Aiman Al-Zawahiri, był szkolony przez FSB w Dagestanie roku 1998. Wie pani kto pełnił wówczas funkcję szefa FSB? Władimir Putin. Oficerowie, którzy szkolili terrorystę Aimana, są dziś bliskimi współpracownikami prezydenta Putina. Starczy?

– A Irak obecnie?

– Co Irak?

– Czy tam też Rosjanie bruźdzą Bushowi?

– Tę partyzantkę walczącą z Jankesami wyszkoliła FSB, pani Krystyno.

– CIA wie o tym?

– Pewnie wie, a jak nie wie, to się dowie od pani. Chyba że moja „firma” dowie się wcześniej o naszym gruchaniu. Wtedy przyjdą z wizytą, i będą mogli mi naskoczyć, bo co to za frajda rozwalić półtrupa? Problem w tym, że mogą chcieć uciszyć panią...

– Gdyby wiedzieli o naszym gruchaniu, już by tu byli.

– To prawda. Dlatego chyba nie będę miał okazji zacytować im Gurdżijewskiego – „Aleście się wpakowali!”, pani Krysiu. Jakiś czas temu wertowałem biografię Gurdżijewa, opisy jego spirytystycznych i czarnoksiężkich szalbierstw, opisy procederu rozwijanego przez wiele lat w metropoliach Europy, zakończone

39 Po prostu (franc)

pysznym zdaniem autora książki: „Potem znudził się tym wszystkim i umarł”. Czyż to nie piękne, pani Krystyno? Mógłbym to samo rzec o sobie. Dokładnie to samo, gdyż jestem kompletnie znudzony tym wszystkim, tym specsłużbowym cyrkiem, kabaretem, szaletem, mam świata wyżej uszu!... Ile żyłem, a ile przeżyłem? Teoria względności, pani Krystyno.

– Nie rozumiem, pułkowniku...

– Kiedy powiedziałem, że gardzę moją „firmą” i że ją szanuję, pani powiedziała, że jedno wyklucza drugie, a ja dowodziłem, że nie ma pani racji. Kiedy teraz powiem, iż żyłem bardzo długo, lecz króciuteńko – to znowu jedno będzie przeczyło drugiemu?... Względność oceny mijającego czasu, prawda?

– Nie wiem do czego pan zmierza, pułkowniku...

– Do tego, że intelektualnie rozwinięta ludzkość zrodziła się bardzo niedawno, chwilkę temu, pstryknięcie palcami. Od narodzin rolnictwa minęło jakieś dziesięć tysięcy lat, czyli tyle co nic – to jest zaledwie czterysta pokoleń. Od startu nowoczesnej transformacji naukowej, technologicznej, przemysłowej minęło, powiedzmy, dwieście pięćdziesiąt lat. Ułamek sekundy w czasie geologicznym. Lecz gdy ktoś, tak jak ja, przekroczy osiemdziesiątkę, mówi się, iż dożył „ślusznego wieku”, a stulatków zwie się „matuzalemami”, prawda?

– Prawda, mówi się, że to długowieczność.

– Jest też inna rzecz względna dotycząca przeżytego czasu: czas przeżyty biologicznie oraz czas przeżyty historycznie, stosunek jednego wobec drugiego. Z tym bardzo różnie bywa, pani Krysiu. Ludzie, którzy balowali w stuleciu pomiędzy rokiem 1815 a 1914, nie widzieli żadnych prawdziwie wielkich wstrząsów, był stopniowy rozwój techniki, lecz polityczna stagnacja, bez hekatomb i globalnych historycznych trzęsień ziemi. Tymczasem moje pokolenie dostało piekielny, przyspieszony, skondensowany kurs

dziejów mały ludzkiej. Widziało upadające imperia Romanów, Habsburgów, Hohenzollernów. Widziało degrengoladę i redukcję wielkich światowych mocarstw. Widziało krach mających trwać tysiąclecia reżimów faszystowskich, nazistowskich, kuomintangowskich i bolszewickich. Widziało dwie Wojny Światowe o bezkonkurencyjnym dziejowym rozmachu, i setki mniejszych wojen. Widziało hekatombę, które zawstydziłyby Czyngis-chana, i kłamstwa, które zawstydziłyby Münchhausena. Wreszcie widziały niesprawiedliwość buchalterów tej historii tak bezczelną, jak nieustanne trąbienie o wyjątkowej grozie żydowskiego holocaustu, przy równoczesnym zamilczaniu „sztucznego głodu”, którym Stalin wymordował na Ukrainie dziesięć milionów ludzi. Widziały wszystko... Ci, co po roku 1815 też przeżyli osiemdziesiąt lat, nie widzieli prawie nic.

– Wolalby pan żyć wtedy, pułkowniku?

– Tak, ale nie dlatego, że prócz paru romantycznych powstań, które wcale nie były romantyczne, i prócz paru wojenek, jak francusko-pruska czy też bursko-angielska, panował spokój, tylko dlatego, że panował moralny ład.

– Mefisto tęskniący do moralnego ładu?

– Poprzeczka dla deprawatora leżała wyżej, co przydawało procederowi diabła trudności, lecz także i smaku, bo łatwość pomniejsza przyjemność. Cóż za przyjemność zdobywać dziś kobietę, kiedy każda dziewczyna otwiera facetowi rozporek już podczas pierwszej randki, bo się naogłądała filmików z miłością oralną i nie chce się kompromitować purytańskim zacofaniem? Wszystkie rewolucje, wojny i masakry, których świadkami byli ludzie mojego pokolenia, są niczym wobec rewolucji obyczajowej, która wyróciła do góry nogami ten padół za moich czasów. Do góry nogami rozłożonymi szeroko... To szczególnie historyczny, milowy moment – po tak wielu stuleciach zdemitologizowano i

zdeprecjonowano rodzinę tudzież kilka reguł dekalogowych, mówiąc inaczej: rozkruszono prawie cały odwieczny cement, który spajał wspólnoty miejskie, wiejskie oraz społeczeństwa. A pani mi mówi, że byłem niegrzecznym chłopcem, bo grałem w drużynie KGB!

– Za czasów pańskiej młodości dziewczyny nie kontemplowały takich filmów, o jakich pan wspomniał, i prowadziły się przyzwoiciej, a jednak żadnej pan nie poślubił, pułkowniku...

– Znowu pani wraca do tego?!

– Znowu wracam, bo chcę wiedzieć dlaczego pan się nie ożenił. „Firma” zabroniła?

– „Firmie” by to nie przeszkadzało, pani Krysiu, chociaż „firma” najbardziej lubi, gdy poślubia się „firmę”.

– Więc co panu przeszkodziło?

– Czasami to jest... jakiś głupi drobiazg, jakiś żart, jakaś okoliczność marginalna, a nie do zwalczenia. Jakiś pech, czyli fart, bo małżeństwo nie jest wynalazkiem dla jeburów. Wie pani czemu nie ożenił się Przerwa-Tetmajer?

– Ten malarz?

– Nie. Malarzem był Włodzimierz, ten ożenił się z chłopką, jak Rydel i Wyspiański, taka była ludożenna moda. Mówię o jego bracie przyrodnim, Kazimierzu, modernistyczno-młodopolskim pisarzu, który był erotomanem i był bardzo przystojny, dzięki czemu miał wielkie „branie” u dam. Zaręczono go z bogatą galicyjską panną, świetna partia. Ale niebacznie wpisał jej taką rymowaną w sztambuchu:

*„Dobranoc, cudzie kochany,
Obróć się, czym chcesz, do ściany”.*

– I co, panna się pogniewała?

– Narzeczona chyba nie, ale jej rodzina, to były nobliwe Krakusy. Przegoniono zepsutego wesołka, pani Krysiu. Głupcy często przeganiają rasowych drapieżników.

– Lubi go pan...

– Trudno nie lubić gościa, który pisze:

„*Wolę gówno w polskim polu,
Niżli fiołki w Neapolu*”.

– Śliczne!

– Równie fajne jak to obracanie się czymkolwiek do ściany. Obróćmy się, czym pani zechce, do naszych czasów, póki jeszcze chcę głądzić.

– Szef ochrony u Kędzierskiego polecał mi pana argumentując, iż pan rządził Polską przez kilkanaście lat. Które to były dokładnie lata, pułkownika?

– Od 1987 do 2003. Później wyluzowała mnie choroba, dymisję dało mi jedno prześwietlenie. Podczas tych kilkunastu lat współpraca między spec służbami tudzież glinami a światem gangsterskim sięgnęła apogeum, to był stan kooperacji totalnej, stan optymalny „*par excellence*”. Mieliśmy w ręku wszystko i wszystkich, polityków, ministrów, sędziów, prokuratorów, wysokich gliniarzy... Kiedy w Sejmie rzucono koncept lustrowania majątków decydentów, pewien nawiedzony poseł krzyczał : „– *Nie może być tak, że po procesie gangstera sędzia stawia sobie dom z basenem, a prokurator przesiada się do mercedesa sportowego!*”. Biedny misjonarz, chciał zbawiać ojczyznę, lecz nie zwojował absolutnie nic. Nic nie zwojowała również nadpolicja, którą utworzono gdy stało się jasne, że normalna policja pracuje nie dla społeczeństwa, lecz dla gangów. Centralne Biuro Śledcze, CBS, polskie FBI. Ostra selekcja, najlepsi z najlepszych, nieposzlakowani, elita „*psów*”!

– Nieposzlakowani? Kiedy tydzień temu John wiozł mnie do pana, radio mówiło o jakimś pijanym golasie z „polskiego FBI”...

– Tak, to był funkcjonariusz wrocławskiego CBS. Zatrzymała go drogówka w Lesznie, gdyż najpierw golusienki biegał wokół swojego samochodu przed szkołą, a potem staranował płot prywatnej posesji i negocjował z właścicielką o odszkodowanie, cały czas goły jak święty turecki, pani Krystyno. Ale wtedy, kiedy rekrutowali do CBS, dudniło: śmietana glin! Żelazna miotła! Bat na mafię! Kilka lat później okazało się, że CBS współpracuje z gangami koncertowo, pani Krysiu. Wpadły biura CBS w Łodzi, Warszawie i Poznaniu. Szczęście, że wyłącznie te trzy. Wrzask medialny, pełna dupa, klops!

– Czemu wpadły, jeśli pańskie imperium osiągnęło, jak pan się wyraził, „*optymalny stan*”!

– Bo ludzie są tylko ludźmi, pani Krystyno! Mówiliśmy już o tym – są słabi, głupi, nieostrożni, bałaganiarscy, plotkarscy, zawistni, złośliwi, itede. Im większe mocarstwo, tym trudniej trzymać wszystko w ryzach i kontrolować wszystko, muszą być wpadki, nie ma siły, c'est la zyzń. Ludzie krzyczą: patrzcie, nawet szef śląskiej policji, generał Kluk, i szef poznańskich glin, Marcin Szuba, współpracowali z przestępczym podziemiem, lecz dzięki Bogu wpadli! A ja mówię: dzięki Bogu wpadło jedynie tych dwóch, gdy dwie trzecie regionalnych szefów policji i kilku komendantów głównych było kolaborantami przestępczego półświatka. Mój człowiek w MSWiA, Romuś Kurnik, tasował mi policyjne figury i blotki bardzo sprawnie, bezbłędnie.

– Generała Pupałę też on wytasował na komendanta głównego policji?

– Tak, pani Krysiu. Byli przyjaciółmi, wakacje spędzali razem od lat, czy w Polsce, czy za granicą, wszędzie. Kurnik przeniósł Mareczka ze Szczytna do Warszawy, zrobił go generałem i oberkomendantem, a sam został jego zastępcą, głównym doradcą,

człowiekiem dyrygującym z cienia, gdyż tacy ludzie jak Romuś czy ja nie powinni się pchać na plan pierwszy, publiczny.

– Dlaczego Papąła zginął?

– No bo zaczął brykać, chciał się zbyt usamodzielić, a zbyt dużo już wiedział o „trójkacie bermudzkim”: spec służby-politycy-mafia. Gdy mówię: spec służby, to myślę głównie o byłych pracownikach SB i WSW. WSW w ogóle nie były weryfikowane, tylko zmieniono nazwę na WSI. Esbeków weryfikowano. Część z nich przeszła weryfikację, a relegowani pozakładali agencje ochroniarskie, w których gangi mają swoje udziały. Te agencje ochrony przez długie lata eskortowały konwoje TIR-ów, którymi gangsterzy transportowali lewy alkohol, lewe papierosy i wszelką lewiznę. Stały dopływ gotówki mają dzięki pladze włamów. Nie chcesz nająć agencji ochroniarskiej i bulić jej haraczu comiesięcznego – będziesz miał kilka włamań rocznie, aż zmięknie. Włamań w Polsce jest tak dużo nie dlatego, że tak dużo jest włamywaczy, a dopadniętych sprawców włamań tak mało nie dlatego, że są tacy sprytni, lecz dlatego, że kolaborują z agencjami ochrony, a te są w układzie specimperium, kapewu, pani Krysiu? To agencje delegują włamywaczy, by krzywdzili ludność. Analogicznie jest z kradzieżami samochodów – złodzieje i policja tworzą „team”⁴⁰. Zaś chłopcy z WSI zarabiają handlując bronią, narkotykami i kontaktami układowymi w kilku punktach globu. Także technologiami atomowymi, co się niegdyś zwało komicznie biznesem „czerwonej rtęci”.

– Cały czas mówi pan o niezwerfikowanych WSI, jakby unikając mówienia o ABW...

– Mówiłem o ABW !

– Lecz mniej szczegółowo, bez żadnych przykładów.

– Chce pani konkretny przykład? Proszę bardzo. W minionej

40 Drużynę, zespół (ang.)

dekadzie sławę zyskiwały różne gangi, „Pruszków”, „Wołomin” et cetera. Po pewnym czasie glina je pacyfikowała i media dawały ludziom radosny żer. A tymczasem nikt nie ruszał supergangu „Korka”, Andrzejka Horycha, któremu się wysługiwało trzy czwarte przestępczej Polski. To on był głównym partnerem dla największych międzynarodowych gangów narkotykowych transferujących swój towar przez Polskę. Od każdego transportu brał dwadzieścia procent wartości towaru. Gliniarze próbujący „Korka” uziemnić dostawali w dupę, byli gnębieni, podpadali u swoich zwierzchników. Dlaczego? Bo ABW trzymała nad „Korkiem” patronat. Dopiero teraz, dzięki zmianie władzy, „Korek” może beknąć.

– A czy teraz, dzięki zmianie władzy, śledztwo w sprawie zabójstwa generała Papały przyniesie rezultat?

– Być może, nie jestem wróżką.

– Kto zabił generała Papałę, pułkownika?

– Bezpośrednio zabił go ten sam fachowiec, który wcześniej rąbnął Andrzeja Stuglika, funkcjonariusza kontrwywiadu peerelowskiego. Czysta robota – jeden strzał w głowę i szlus. Giną tak wszyscy, którzy zbyt dużo wiedzą, a mogą cosik wychłapać. Funkcja klienta nie gra roli, może być figurą z półki najwyższej – przykładem premier Jaroszewicz. Stuglik zginął w 1991 roku, Papała w 1998. Dlaczego właśnie wówczas? No bo lada moment miał przestać być komendantem głównym „psów”, desygnowano go za granicę, do Brukseli, gdzie miał funkcjonować jako polski oficer łącznikowy, więc i chłopaki z „Pruszkowa”, i chłopaki ze specsłużb bali się, że zaczniesz puszczać farbę u tych Belgów.

– To był pański wyrok?

– O tyle, że zatwierdziłem wyrok... Niech się pani nie rozplącze, ten człowiek był umoczony w bardzo brzydkie interesy, pani Krysiu.

– W pańskie interesy!

– Tak jest. Legalizowaliśmy te interesy jak tylko się dało, od 1988

roku. Mógłbym opowiadać pani istne cuda o firmach takich jak DAL, Solorz-Import-Export czy Pol-Nippon, której szef, minister Sekuła, popełnił klasyczne samobójstwo na raty, strzelając sobie w głowę, a później w różne inne części ciała. Pomagał mu fachowiec gorszej klasy niż ten, co pomagał Stuglikowi i Papale, schrzanił robotę, więc surowo go ukarano. Mieliśmy też swoje placówki zagraniczne, jak każde imperium.

– Gdzie?

– Wszędzie. W Caracas, w Bogocie, w Lizbonie, w Moskwie, w Sztokholmie, w Paryżu, w Wiedniu, w Hamburgu, lepiej pytać gdzie nie mieliśmy. Kilku naszych „ambasadorów” wpadło, zyskując niepotrzebnie medialną sławę, ale taka właśnie jest cena głupoty u ludzi, którym woda sodowa uderza do mózgu. Zbyt znany zrobił się choćby „Nikoś”, Nikodem Skotarczak, trójmiejski gangster, którego SB przechwyciła blisko połowy lat osiemdziesiątych i później zrobiła naszym rezydentem w Hamburgu. Zaczynał kradzieżą gablot, a rozwinął się jako handlarz broni i „prochów”. Większym narcyzem był tylko „Baranina”, Jeremiasz Barański. To dopiero był nygus! W PRL pracował dla SB, a po upadku Muru – dla wojskówki. Miał wygląd księcia i charakterek bestialskiego zbira, nie cofał się przed żadną zbrodnią. Ustawiliśmy go w Wiedniu i załatwiliśmy immunitet, więc...

– Immunitet dyplomatyczny?

– Tak, został konsulem honorowym Liberii na Słowacji, pani Krystyno.

– Gratuluję poczucia humoru, pułkowniku!

– Dziękuję, ale wołałbym za coś innego, bo akurat tamto było zwykłą immunitetową sztuczką, grepsem typu egzotycznych „rajów podatkowych” czy największej floty handlowej globu – floty panamskiej. À propos flot – nasza liczyła tylko jedną łajbę, jacht „Baraniny”. Ten jacht regularnie kursował przez Cieśninę

Gibraltarską, wożąc narkotyki i broń, którą „eksportowały” cichaczem WSI, i nikt nie mógł go kontrolować, zatrzymywać, dotknąć, gdyż właściciel, konsul Barański, był immunitetowo nietykalny, pan dyplomata! A jak genialnie likwidował europejską konkurencję narkotykową! Znał wszystkich w tym biznesie i kablował na konkurentów.

– Komu donosił? Przecież był współpracownikiem policji i specsłużb, człowiekiem pańskiego mocarstwa, więc komu donosił, wam?

– Nie, glinom austriackim, niemieckim i belgijskim. Dzięki temu usuwał z drogi cwaniaczków kradnących fragmenty tortu, a jednocześnie ułatwiał sobie robotę na Zachodzie, bo zyskiwał przychylność tamtejszych glin. I wszystko to pięknie funkcjonowało póki woda sodowa we łbie „Baraniny” nie eksplodowała. Poczul się królem, faraonem półświatka europejskiego, półbogiem, któremu wszystko wolno, zrywał się ze smyczy. W 1999 samowolnie rozwalił kilku bandziorów wewnątrz warszawskiej restauracji „Gama”. Dostał nagane, lecz uważał, że jest już niedotykalny, gdyż przyznano mu austriackie obywatelstwo... Miarka się przebrała, kiedy w 2001 roku kazał rąbnąć ministra Jacka Dębskiego, który był moim człowiekiem. Aresztowano za to „Baraninę” w Wiedniu, a jego „cynгла”, o ksywce „Tadzio”, w Warszawie, i obaj w swych celach popełnili „samobójstwa”.

– Był pan czarodziejem „samobójstw”, pułkowniku.

– Nie przeczę.

– Ilu ludzi kazał pan zabić?

– To głupie pytanie, pani redaktor.

– Dlaczego?

– Nie prowadzi się takiej buchaltera, takich rachunków, to nie western, gdzie „gunslinger” robi karby na rękojeści colta. Mam chętkę odpowiedzieć pani brzydko, jak ta piosenkarka Doda, dzisiaj

żona bramkarza Majdana, którą kiedyś zapytano czy często uprawia seks. Odparła: „– Skąd mam wiedzieć, nie mam w dupie licznika!”. To język dzisiejszych dam, „*signum temporis*” [Znak czasu (łac)]. Lepsze były te dawne czasy, te bez kart kredytowych, laptopów, esemesów i obiektywów wjeżdżających między uda kobiety, ażeby pokazać całemu światu jej nagie krocze.

– Wzrusza mnie pańska troska o powszechną moralność, pułkownika, lecz chciałabym wrócić do zabójstw. Czy chociaż raz dręczyło pana sumienie wskutek odebrania komuś życia?

– To były nie tyle wyrzuty sumienia, ile żal oraz złość. Dwa razy, bo lubiłem obu. Stefek Karśnicki, „Księżę”, skoczył z wieżowca w maju 1981 roku, przeze mnie...

– Był pan już wtedy specem od „samobójstw”...

– Nie chciałem jego śmierci, pani Krystyno!... Chciałem tylko, żeby nie fikał, nie buntował się, nie pchał w gry polityczne.

– A ten drugi?

– Drugi to był jego następcą, Ludwik Drozd, „Bankier”.

– Drugi Faust?

– Tak. Jego również lubiłem jak lubiłem niewielu.

– Powiedział mi pan wczoraj, że ów Drozd „zmarł na chorobę patriotyczną”, i obiecał pan szczegóły. To również było „samobójstwo”!

– Nie, został otruty z mojego rozkazu.

– Wiedział, że z pańskiego?

– Wiedział, towarzyszyłem mu przy zgonie. Do dzisiaj dręczy mnie ta ostatnia rozmowa.

– A ta „choroba patriotyczna”, pułkownika?

– Obaj właściwie zginęli przez to samo – przez kolejne eksplozje „Solidarności”.

– Które nakręcała esbecja z ramienia KGB ?

– Ano tak. Za pierwszym razem, w 1980 roku, chodziło o utracenie Gierka, lecz rzecz wymknęła się spod kontroli i trzeba ją było

hamować siłą, „*stanem wojennym*”. Za drugim razem, w 1989, chodziło już o duży biznes, o nomenklaturowo-specsłużbowy kapitalizm, a Drozd sądził, że trwa oddolna, spontaniczna rewolucja patriotów. To był mądry człowiek, lecz nawet takie bystrzaki nie kapowały, przepraszam, po dzisiejszemu: nie kumały, że idzie o prosty handel, o władzę formalną wymienianą za cały realny majątek tego kraju. Daliśmy frajerom władzę, a dostaliśmy majątek, czyli kapitał i środki produkcji, czyli władzę prawdziwą. I mieliśmy Kuronia oraz Michnika ze szczekaczką bajerującą ludzi, iż wszystko jest w całkowitym porządku, a nasi wrogowie czy krytycy to jedyne zagrożenie demokracji. Odkąd się widzimy, pani redaktor, cały czas tłumaczę pani, że komedia to moja ulubiona forma kracjonizmu. Pod tym względem mam coś z Boga, nie uważa pani?

– Jako kagiebista, wielokrotny morderca...

– Oj-jo-joj!... Nie kontynuujemy dyskusji na tej płaszczyźnie, pani Krysiu! Zbyt łatwo byłoby mi udowodnić, że pod tym drugim względem jestem przy takim megahurtowniku jak Wszechmogący mizernym detalistą.

– Co takiego konkretnie zrobił ten Drozd, że pan musiał go w 1989 zabić?

– To nie było w 1989, lecz w 1990, w grudniu. A co zrobił? Zdradził. Skumał się z Amerykanami, nafaszerował ramy moich obrazów aparaturą podsłuchową...

– CIA!

– Tak panią to cieszy? Aż pani klasnęła...

– Jestem wniebowzięta, pułkowniku! Wreszcie coś, za co moja gazeta przyzna mi premię! Jankesi w Warszawie, tajna misja, zdrada, egzekucja, thriller! Najbardziej pożądane i zyskowe „*dziennikarskie mięso*”! Co to było?

– To było kilku agentów CIA, którym kazano wyhamować tu killera, Niemca. Tego zbira przysłała wschodnioniemiecka Stasi,

żeby zamordował Wałęsę. Operacja „Zielone jabłko”. Szefowie Stasi, Mielke i Wolf, grali ten numer, kłamiąc nawet przede mną, bo sugerowali, iż chodzi tylko o to, by Wałęsa ciężko się rozchorował między pierwszą a drugą turą wyborów prezydenckich, więc trzeba go struć. Mordercą miał być najlepszy killer Wolfa, Friedrich Grahl alias van Hongen. Lecz Jankesi dorwali go w Gdańsku.

– Panie pułkowniku, proszę bardziej szczegółowo! Z tej historii mogłabym zrobić osobny tekścik, który zareklamowałby książkę przed jej opublikowaniem! Nic bardziej nie podnieci amerykańskiego czytelnika niż „story” o krwawej misji CIA w Gdańsku! Proszę mi dać trochę „mięsa dziennikarskiego”!

– CIA przysłała trzech ludzi. Był wśród nich Polak, Bartłomiej Morelowski, kryminalista wyjęty przez CIA z więzienia, to on zabił van Hongena, pchnął go nożem. Był też Clint Farloon, komandos wyszkolony w Niemczech, w Bad Toelz. Dowodził kadrowy funkcjonariusz CIA, Richard Korm, zastępca szefa Departamentu Tajnych Operacji w Dyrektoriacie Planowania CIA. Jego musiałem zabić, jego i Drozda, który współpracował z tą trójką.

– Dlaczego tylko ich dwóch?

– Drozda przez zemstę, gdyż on mnie zdradził, lecz także wskutek pragmatyzmu. Jeśli zdradził z pobudek patriotycznych, mógłby zdradzić również sekrety naszych interesów, nasze wytwórnie i nasze kanały kontrabandy, słowem wszystko. To właśnie w latach osiemdziesiątych, gdy „Bankier” sprawował funkcję bossa gangsterskiego podziemia, Polska stała się „amfetaminowym mocarstwem”. Dzięki nam, i dzięki współpracy ze wschodnioniemiecką bezpieką. Niemcy dostarczali tu BMK, amy...

– Co to jest BMK?

– Benzynometyloketon, substancja niezbędna do produkcji amfetaminy. A nasze tajne laboratoria produkowały najlepszą, najczystsza amfetaminę globu, bezkonkurencyjną. Skala

przemysłowa. Lecz jeśli wówczas była to skala przemysłowa – to w latach dziewięćdziesiątych i dzisiaj znacznie większa, można już chyba mówić o podaży megaprzemysłowej. Zalewamy świat amfetaminą, głównym sarmackim produktem eksportowym, pani Krysiu. „*Spécialité de la maison*”⁴¹. Kolosalne zyski, nieporównywalne z żadnym innym przestępczym procederem. To dzięki nim stać mnie było na obrazki mistrzów.

– „Bankiera” zabił pan dla zemsty i ze strachu, że mógłby ujawnić tak dochodowy interes. A tego Jankesa, tego...

– Korma.

– Właśnie. Z jakiego powodu?

– Bo wykrył coś... coś niezwykle ważnego, pani Krysiu. Wykrył przez przypadek... Chociaż może nie tylko przez przypadek, miał świetnego nosa, to był prawdziwy asior CIA, lecz wykrył, i trzeba go było błyskawicznie zlikwidować, zanim złoży raport o swoim odkryciu. Ten Korm...

– Usłyszę wreszcie jakieś ciekawe szczegóły?! Co takiego wykrył Korm?

– Prawdę o moim agencie, Zenonie Toliku.

– Chyba pan już wspominał tego faceta. To ów gość, którego chcieli panu odebrać Francuzi?

– Tak.

– A gdzie „*cherchez la femme*”! Sam mi pan tłumaczył, że bez kobiet takie gry obejść się nie mogą.

– Była i dama, Basia Brodziuch, dziś starsza pani, ma już sześćdziesiątkę, i nawet grała ważną rolę, ale nie była w tej grze figurą sprawczą, tylko bierną, konieczną kukiełką – nic z demona, raczej wszystko z ofiary. Szczęśliwie przeżyła całe to gówno.

– Korm nie przeżył, bo wykrył jakąś prawdę o Toliku. Co konkretnie?

41 Specjalność domu, specjalność kuchni (franc)

– Tolik był wtedy wielgachną fiszą „Solidarności”. Nimb, legenda, heros. Korm wykrzył, że w istocie Tolik pracuje dla nas. I ten sukces to był pech Korma... Zginął wracając nocą z Niemiec do Warszawy. W warszawskiej ambasadzie złożyłby raport, trzeba się było spieszyć.

– Zginął w samochodowym wypadku?

– Nie, został zastrzelony przez Tolika. Austriacki porcelanowy pistolet glock plus tłumik.

– Czy to ważne jaki pistolet?

– Ważne, pani Krystyno. Jeżeli w przyszłości zechce pani kogoś zastrzelić, proszę użyć tej właśnie broni krótkiej, bo tylko pociski wystrzelone z glocka i łuski wyrzucone z glocka nie noszą śladów dających zidentyfikować morderczą broń.

– Ten Tolik żyje?

– Tak. Jest bardzo bogatym biznesmenem, krezus, jak ja.

– Amfetamina, pułkownika?

– Cóż by innego.

– Gdy opublikuję to, co pan teraz mi powiedział, gość będzie miał kłopoty...

– Wyprze się, nie udowodnią mu nic.

– Ale pozostanie smród, to będzie śmierć cywilna... No i kłopotliwe antynarkotykowe śledztwo...

– Bardzo dobrze! Odkąd ciężko się rozchorowałem i usłyszałem lekarski wyrok, Zenuś zaczął mnie nieskolko lekceważyć. A odkąd Kaczory przejęły władzę, pcha się im do tyłka bez wazeliny, to mnie wkurza.

– Kaczory przejęły władzę ledwie parę dni temu...

– Trzy tygodnie temu nie wskazałbym pani Tolika jako barona narkotykowego i mordercę.

– No to gość ma pecha, pułkownika.

– Każdy kiedyś ma pecha, c'est la zyzń, pani redaktor.

– Ale to drobny pech wobec pecha, jakiego ma dzięki panu polskie społeczeństwo... Polska to najbiedniejszy kraj Unii Europejskiej.

– Mówiłem pani, że chcę być najgorszy.

– Również wobec dzieci?... Nie dość, że trzy czwarte Polaków żyje w biedzie, a połowa w zupełnej nędzy, to jeszcze miliony dzieci tutaj głodują!

– Z tą pretensją to już nie do mnie, tylko do Balcerowicza i do różnych premierów bądź ministrów! Moim zadaniem było osadzenie naszych ludzi na wysokich stanowiskach państwowych i biznesowych, czyli opanowanie polityki i gospodarki tego kraju przez specjuszy, dla których moskiewska „firma” jest alfą i omegą. Zrobiłem to w sposób bezbłędny, tak genialny, że dzisiaj tutejsi politycy i biznesmeni są posądzani o nadmierny proamerykanizm, a nie o promoskiewskość. Lecz to nie ja nakazałem tym dupkom tak dyrygować krajem i jego ekonomią, by tutejsze dzieci masowo cierpiały głód. Mefisto nie stwarza wredności ludzkiej, bo tę już stworzył Wielki Biolog-Kreator, ona genetycznie tkwi w ludziach – Mefisto jedynie wygrywa na tym instrumencie te melodie, które zaplanował jako pracownik „firmy”. Nie planowałem masowego głodu dzieci, to zbrodnia panów premierów, ministrów i posłów. Balcerowicz, lokaj międzynarodowej finansjery spekulacyjnej, narzucił Polsce ekonomię, którą określono jako „monetaryzm”. Da się o niej pisać grube książki, lecz gdyby trzeba było ująć ją jednym tylko zdaniem, powiedziałbym, że ona karmi cwaniaków, a głodzi biedaków. Wszystko.

– Co uważa pan za swój największy sukces polityczny?

– Całkowite energetyczne uzależnienie Polski od Rosji, pani Krysiu. Ropą plus gaz. Rurociąg jako smycz. Smycz jako dowód, że mniemana suwerenność to pseudosuwerenność. Całkowite uzależnienie. Skutek odrzucenia przez polskie władze alternatywnych źródeł energii, czyli rurociągów z innych państw. W

normalnym kraju byłoby to uznane za zdradę stanu i karane gardłem... Do tego polski kontrakt na dostawy ropy i gazu jest aberracją, światowym curiosum, bo Polska zakontraktowała bezsensowne ilości, zbyt duże, kretyńsko duże, których nie przerobi, ale płacić musi stuprocentowo. Kosztuje każdy metr sześcienny, również ten niewykorzystany.

– Pan raczy żartować...

– Nie, pani Krysiu. Polska musi płacić za całą zakontraktowaną ilość, choćby wzięła z tego tylko pół.

– Przecież może brać całość i odsprzedawać komuś niepotrzebną jej nadwyżkę!

– Nie może, bo wzbrania tego kontrakt. Może tylko sama spalać, ale płacić musi za wszystko, za każdy zakontraktowany metr.

– To... to jakiś upiorny nonsens, pułkowniku!

– Mówiłem już, że Mefisto lubi dowcipy.

– Pan to sprawił?

– Moje marionetki w rządzie, ergo: „firmowe” marionetki. Pan Miller, pan Pol, pan Goryszewski, pan Kwiatkowski i cała reszta.

– Czemu więc pan nie sprawił, by Polska kupiła rosyjskie Migi zamiast amerykańskich F-16?

– Bo to nie było do zrobienia, wskutek powszechnej tutaj rusofobii, pani Krystyno. Lecz ten kontrakt został spieprzony „offsetowo”, czyli finansowo, jak tylko się dało. W ogóle moja „firma” ma jeszcze ogromne wpływy wewnątrz polskiej armii. Dlatego nie przeszkadzaliśmy Polsce zapisywać się do NATO i gnać do Iraku. Lecz to my wybraliśmy miejsce stacjonowania w Iraku, złe miejsce, gdzie padają polskie trupy. Amerykanie proponowali polskiemu kontyngentowi północną strefę stabilizacyjną, Kurdystan, gdzie Kurdowie pilnują, by nie było żadnych terrorystycznych zamachów. Panuje tam zupełny spokój, istny raj – nic tylko się byczyć. Polacy odmówili i wybrali piekielnie niebezpieczną strefę Babilonu, więc od

czasu do czasu konieczne są trumny i marsz żałobny Fryderyka Chopina, a Koreańczycy, Kanadyjczycy i Japończycy, którym zostawiliśmy błogą kurdyjską ziemię, pukając palcami czoła ile razy mówią o tym, że to szczęście spotkało ich dzięki głupocie Polaków. Resumując, pani Krystyno: moja „firma” wciąż rządzi Lechistanem, chociaż niewykluczone, że bliźniakom uda się to zmienić.

– Czemu nikt tutaj nie mówi o tym głośno?

– Czasami mówią o tym głośno sfrustrowani antykomuniści, prawnicy, których słuchają tacy sami rozżaleni, a społeczeństwo puszcza to mimo uszu jako „spiskową teorię dziejów”, czyli „bajkę o żelaznym wilku”, bądź jako „polowanie na czarownicę”, wedle terminologii naszego „ściemniacza”, Adama Michnika. Dziesięć lat temu minister spraw zagranicznych, Andrzej Olechowski, dymisjonując się warknął, że klasa polityczna III RP to „agentura reprezentująca nie tylko interesy Polski”, lecz nocą przemówiliśmy biedakowi do rozumu, więc kolejnego dnia odwołał tamte słowa, też publicznie, mówiąc: „– *Palnąłem wczoraj głupstwo*”.

– Jak przemówiliście Olechowskiemu do rozumu?

– To był nasz agent już za PRL-u, ksywa „Must”. Ludzie czasami chłapią. Ostatnio pan pułkownik Wojciech Brochowicz palnął jedno zdanie w „Newsweeku”. Tylko jedno, bez komentarza. Powiedział, że przez ostatnie piętnaście lat „postsowieckie służby” dyrygowały polityką i gospodarką III RP. Co racja, to racja, ale nikt się jego gadaniem nie przejął. „*Spiskowa teoria dziejów*”.

– Spiskowa praktyka dziejów...

– Jasne! Już tyle dni mówimy wyłącznie na ten temat. Gdy spotkamy się jutro...

– Nie spotkamy się jutro, pułkownika.

– Dlaczego?

– Redakcja zleciła mi kilka ekspresowych wywiadów...

– Z kim?

- Z polskimi dygnitarzami.
- Dlaczego akurat teraz?
- Bo wszędzie gorącym tematem są dziś tajne loty, tajne tortury i tajne więzienia CIA.
- Wszyscy będą pani łągać, nie powiedzą prawdy, nie wolno im.
- Pan mi powie prawdę. Było takie więzienie w tym kraju?
- Krótko, ale było. Ośrodek przesłuchań w Starych Kiejkutach, obok szkoły wywiadu imienia pułkownika Sokolaka. To był najlepszy z szefów wywiadu peerelowskiego, asior. Co zaś do współpracy z CIA... Bush i Putin zawarli przymierze antyterrorystyczne, bo jeden nie lubi Al-Kaidy, a drugi Czeczenów. Porozmawiamy o tym następnym razem. Kiedy?
- Za jakieś cztery lub pięć dni, góra tydzień, pułkowniku. Ale nim wyjdę, chcę się zrewanżować – ja również powiem panu prawdę, do której pan tęskni.
- Nareszcie! O czym będzie ta prawda?
- O żurawiejkach. Sekretarz ambasady zapytał swojego kumpla, miłośnika kawalerii, Stanisława hrabiego Ledóchowskiego, i dzięki temu wiem, że słowo „żurawiejka” oznacza zwrotkę piosnki ulotną niczym wędrowne żurawie. To Rosjanie wymyślili takie śpiewane żartobliwe hymniki pułków, pisał żurawiejki sam Lermontow. Do widzenia.
- Do zobaczenia, pani Krystyno.

Sesja 13

- Dzień dobry, panie pułkowniku.
- Witam, witam, pani redaktor!... Ten tydzień bez pani to była męka! Jak się udały wywiady?
- Nie zrobiłam żadnego.
- Nie zrobiła pani żadnego wywiadu?... Musiało to mieć jakąś ważną przyczynę...
- Przyczyną było to, że w ogóle nie miałam robić wywiadów. Okłamałam pana.
- Pierwszy raz?
- Nie.
- Kłamie pani od początku?
- Tak.
- Ale przecież jest pani dziennikarką?
- W Stanach jestem, ale tu nie przyjechałam jako dziennikarka.
- I nie rozmawiała pani ze mną jako dziennikarka?
- Nie. Wywiad z panem mnie nie interesuje. Jestem tutaj kimś innym.
- Wolno spytać kim, pani Krysiu?
- Śmiercią, panie pułkowniku.
- Śmiercią? Znaczą: Kostuchą?
- Tak.
- Wobec tego nasze urocze dialogi z ubiegłego miesiąca winny dostać paraśredniowieczny tytuł: „Rozmowy mistrza Heldbauma ze Śmiercią”. Wie pani czemu?
- Nie wiem.
- W nawiązaniu do pysznej „Rozmowy mistrza Polikarpa ze

Śmiercią”. To czołowy wytwór świeckiej poezji nadwiślańskiej XV wieku, dialog satyryczno-eschatologiczny, pełen humoru, jak nasz.

– Humor właśnie się kończy, panie Heldbaum.

– Bo pani przyjechała mnie zabić?

– Tak.

– Jakaż to satysfakcja zabijać trupa, pani Krysiu? Raczej gówniana, co?

– Mniejsza niż chciałabym, ale zawsze.

– Muszę spytać dlaczego, lecz wpierym spytam: po co były te rozmowy, jeżeli nie interesuje panią „interview”⁴² ?

– Musiałam gadać z panem tak długo, aż usłyszę to, co mnie interesuje. Usłyszałam podczas minionej sesji.

– Rozumiem. Kogo mścimy, Drozda czy Korma? Chyba tego Jankesa...

– Tak, pułkowniku. Pański drugi ukochany Faust, Ludwik Drozd, jest mi zupełnie obojętny.

– A więc Richard „Rick” Korm. Rysio. Polskie pochodzenie, jak u pani. Asior CIA, też jak pani?...

– Też, pułkowniku.

– Wygadałem się o jego śmierci, a pani o to właśnie chodziło?

– Tak.

– Tylko to chciała pani usłyszeć?

– Tylko. Pierdoły o tym, że przez minione kilkanaście lat KGB dalej rządził Polską, to dla mnie żadna nowość.

– Bo?

– Bo kilka lat temu Michael Waller, świetny znawca taktyki KGB, wiceprezydent American Foreign Policy Council, opublikował w „The Washington Times” bardzo ciekawy artykuł na ów temat.

– Polacy mówią: wiceprezes, a nie wiceprezydent, pani Krysiu.

– Polacy nie znają, chociaż winni znać artykuł Wallera, bo Waller

42 Wywiad dziennikarski (ang.)

tam mówi, że cała wyższa i niższa, centralna i regionalna, polityczna, gospodarcza, finansowa, słowem każda tutejsza administracja jest objęta ścisłą kontrolą KGB, gdyż każdy szczebel został opanowany przez agenturę rosyjską.

– Przesada. Znam ten esej na pamięć, jest z 1995 roku, minęło dużo czasu. W Kole Gospodyń w Pcimiu Dolnym nie mamy agenta.

– Żarciki już panu nie pomogą.

– Ale i nie zaszkodzi. To jednak komiczne: miał być dialog monarchy z Szeherazadą, a tymczasem był dialog zupełnie inny – dialog mistrza H. ze Śmiercią. Problem w tym, że to nie pani sprowadza na mnie śmierć, tylko mama biologia. Uprzedziła panią, pani Krysiu.

– To się jeszcze okaże.

– Zanim się okaże – niech się okaże kim pani jest. CIA nie babrałaby się zemstą po tylu latach, to nonsens, i nie wasz styl. A więc zemsta osobista. Kim był dla pani Korm? Przecież nie bratem, nie miał siostry...

– Mężem. Nie zdążyliśmy wziąć ślubu, mieliśmy to zrobić kiedy wróci z misji w Polsce, lecz traktował mnie jak żonę, był wszystkim co mi zostało.

– Jadwiga... Jadwiga Cze... Cza... Czabańska!

– Czyńska, pułkownika.

– Tak!... Pani ojciec był pracownikiem ambasady PRL w Moskwie, i zdradził, CIA go zwerbowała. A KGB mu podziękował, reperując mu samochód, więc tatusia zeszkrobano z drzewa przydrożnego. Dwa dni później mamusia popełniła samobójstwo. To kogo w końcu pani mści, oblubieńca czy rodziców?

– Wszystkich.

– Bravissimo! Wytrzymała pani tyle godzin grzecznej gadki-szmatki z oprawcą, który panią uczynił nieutuloną wdową, zносиła pani jego frazesy, grymasy, popisy, żarty, obleśne metafory,

wszystko dlatego, by wreszcie go dopaść!

– Wiedzieliśmy, że to pan, domyślaliśmy się, ale chciałam się upewnić. I chciałam usłyszeć nazwiska podwykonawców.

– Biedny Zenek...

– Istotnie, biedny.

– Cały czas jeszcze próbuję sobie przypominać, lecz tu już mam trudności, bo nie interesowałem się zbytnio sprawą. Po śmierci rodziców wyładowała pani w ojczyźnie, u jakichś familiantów. To był rok...

– 1986. Miałam wtedy szesnaście lat.

– Później był jakiś obóz w Niemczech...

– W Austrii. Gdy ukończyłam osiemnaście lat, wyemigrowałam do Austrii. W obozie przejściowym Treiskirchen zwerbowała mnie CIA, za wizę amerykańską i za stypendium college'u, bo chciałam studiować. Przydzielono mnie do „Ricka”, tak się poznaliśmy.

– I co dalej?

– Dalej to ukończyłam moje studia, zmieniłam nazwisko i w ogóle osobowość, zostałam dziennikarką...

– Operacja plastyczna?

– Nie, bez skalpela, pułkowniku.

– A więc została pani dziennikarką i pracownicą CIA...

– Tak, pracowałam dla CIA, i to dosyć długo. Lecz teraz już nie pracuję dla CIA.

– Nie? Ciekawostka. Pozwoli pani, że zgadnę, pani Krysiu. Mówiliśmy tu w trakcie którejś sesji o najbardziej elitarnych, superspecjalistycznych grupach operacyjnych, utajnionych nawet przed oficjalnymi służbami kontrwywiadowczymi i wywiadowczymi swoich krajów. Jak ten zespół się u was nazywa?

– Tego panu nie powiem.

– Cóż, znowu muszę zgadywać, pani Krystyno. Strzelam: on się

nazywa TO – „*Team One*”⁴³.

– Czyli wiecie...

– Ale nie wszystko. Nie znamy nic prócz nazwy. Nie znamy centrali, dowódcy, liczby członków. Sądzymy, że Wielkim Szamanem TO jest Dick Cheney, lecz chcielibyśmy wiedzieć kto jest dowódcą operacyjnym.

– Myszka Mickey, pułkownika.

– Mój kolega obstawiał Psa Pluto, a jeszcze inny Kaczora Donalda, typujemy kilku waszych oficerów, vulgo: mamy kilku kandydatów.

– Pan się już nie dowie kto ten konkurs wygrał.

– „*Never say never*”⁴⁴.

– Wiem co mówię, pułkownika. Pan się już nie dowie.

– To pewnie Zenuś również nie, prawda?

– Prawda. Został zamordowany dwa dni temu.

– Jak?

– Użyłam glocka, wedle pańskiej rady.

– Przynajmniej miał lekką śmierć.

– Nie bardzo. Celowałam w kolana.

– A później?

– Później został zlany benzyną... Kiedy myślę o Ryszardzie, robię się okrutna, panie Heldbaum.

– Ja też zostanę zgrillowany?

– Myślałam o tym, lecz ktoś podsunął mi bardziej sadystyczny sposób.

– Janek kierowca?

– Nie. Co ciekawe, pułkownika, on twierdzi, iż najbardziej bolesna będzie dla pana świadomość, że kobieta zrobiła z pana idiotę, i że tego rodzaju zemsta wystarczyłaby, bo pan już i tak kona, nie ma dla pana ratunku, można tylko przyspieszyć pańską śmierć. Ja jednak

43 Grupa Pierwsza; Zespół nr 1 (ang.)

44 Nigdy nie mów nigdy (ang.)

nie chcę pańskiej śmierci przyspieszać, chcę ją uboleśnić.

– Ale nie benzyną i zapalką?

– Nie, taka śmierć byłaby też zbyt szybka. Przestanie pan dostawać środki łagodzące ból.

– Rozumiem. Wyda pani taki rozkaz pielęgniarcom i lekarzom.

– Nic pan nie rozumie. Taki rozkaz został już wydany, lecz nie ja go wydałam, tylko generał Andriej Growin z FSB.

– Dogadaliście się z FSB?

– Tak, pułkowniku.

– I oni cały czas słuchali naszego dialogu?

– Nie cały czas. Dopiero od dziewiątej sesji, kiedy namierzyli te rozmowy, a namierzyli, bo rozszyfrowali kim jestem. Zawarliśmy z nimi układ, więc te rozmówki toczyły się dalej. Chyba nie wszystko się im podobało.

– Mnie się to też nie podoba...

– Rozumiem pana dobrze. Gurdżyjewowskie przedśmiertne „– Aleście się wpakowali!” brzmi teraz: „– *Aleście się wpakowali, Mieczysławie Liejzorowiczu!*”.

– Na to wygląda, psiakrew! Zachciało ci się, Heldbaum, Szeherazady blisko trumny, no to masz swoją tysięczną i drugą noc, głupku! Czysta metafizyka!... Wie pani kiedy realnie przestałem lekceważyć metafizykę? Podczas któregoś dialogu z panią. Wtedy, gdy zapytała pani o śmierć Piaseckiego-juniora. Uświadomiłem sobie, że wszystkie najgłośniejsze mordy bezpieczeniackie PRL-u łączy pierwsza litera nazwiska ofiar: Piasecki, Przemyk, Pyjas, Popieluszek... Prawda, że to ciekawe?

– Pasjonujące, pułkowniku. Równie pasjonujące jak moje nazwisko.

– Erinysson? Tak... Od „erinys”. „Erinys”, czyli erynia, starogreckie żeńskie bóstwo odwetu. Rzykowna zabawa z takim wściekłym godłem, bo poliglota może się domyślić.

– Ale poliglota się nie domyślił. Wpadł na to teraz, zbyt późno. Takie fatalne spóźnienia mają chyba jakąś nazwę...

– Nazwę francuską, pani Krysiu. Francuzi mówią: „*l'esprit d'escalier*”, czyli pomysłowość na schodach, za późno, gdy się już wyszło.

– To ładne, to mi się podoba, pułkowniku.

– Mnie również podobają się pewne francuskie wynalazki, jak choćby francuskie perfumy.

– Ale nie francuskie służby specjalne, bo próbowały panu odebrać Tolika...

– Ummm.

– I wie pan co, pułkowniku? Udało im się! We francuskim wywiadzie Tolik miał kryptonim „Z-P” – „Zeno-Pologne”.

– A to świntuch! Co za czasy – nikomu już dzisiaj nie można wierzyć, pani Krystyno! Przez tyle lat Francuzi łkali każde gówno, które im się podrzucało za pomocą ich super-agenta „Z-P”.

– Pan wiedział!

– Nawet takie łatwowieczne głupki jak ja czasami coś wiedzą. Ale wróćmy do francuskich perfum... Co dziś mamy na sobie? Oczywiście „Guerlain”?

– Oczywiście.

– „Guerlain”! Cudowny zapach! Nie pytam o nazwę rodzaju, bo sam wymyśliłem nazwę idealną: „Crédulité” – „Łatwowierność”. Lub: „Naiveté” – „Naiwność”. Zapach łatwowierności...

– Pańskiej.

– Mojej? Ja się nie perfumuję, pani Krysiu. Kiedy mówię: „La crédule”, łatwowieczna – mówię o pani.

– Chce pan odwrócić kota ogonem...

– Kiedy przekonywałem panią, że moją muzą jest mistyfikacja, myślałem o naszych dialogach, w których, gwoli ryzyka i hazardu, bo Mefistofeles kocha jedno i drugie – zapalałem pani czerwone lampki

ostrzegawcze, małe, lecz jednak. Pani je ignorowała, nie dostrzegła ich pani, adrenalina gry przeciwko mnie kradła pani przytomność umysłu, spostrzegawczość, czujność.

– Jakie lampki?

– Takie, jak choćby arabskie słowo „kos”, które oznacza intymną część damskiego ciała. Wiedząc już, że rozmawia pani z poligłotą, winna była pani przypuścić wówczas, iż może on znać również arabski, zatem może wykryć, iż nazwisko John Lemme to gierka-odwrotka, bo arabski wyraz „*emmel*” znaczy: agent. Ten agent to „Amber”, Clint Farloon, wychowanek West Point i Bad Toelz, kiedyś kumpel Korma podczas operacji „Zielone jabłko”, później, gdy przeniósł się z Anglii do Stanów, fisza CIA, dziś pewnie czempion TO, mam rację?

– Tak, ale cała ta pańska spostrzegawczość nie zmienia sytuacji...

– Moja spostrzegawczość, właśnie ona, zmieniła sytuację bezzwłocznie, na samym początku, pani Krystyno. Bo pani robiła głupie błędy, kompromitujące dla agentki wysokiej klasy. Nie chodzi już nawet o niechęć do CIA demonstrowaną zbyt gorąco, powiedziałbym, że wręcz dziecinnie, lecz o zupełne głupolstwa... Jak może ktoś, kto się obkuł w kwestii zdrady Aldricha Amesa, nie wiedzieć co to jest GRU!? Pani redaktor!... Albo dlaczego w kwestii Mefistofelesa zainteresowała panią głównie semantyka tego imienia, pani Krysiu? Skąd wiedziała pani o semantycznych pasjach pułkownika Heldbauma?... Jestem bardzo czuły na takie potknięcia, gdyż byłem orłem „*firmy*”, która w domyśle opatrywała każdy swój dokument frazą godną Marka Katona Starszego. Wie pani o czym mówię?

– Niezbyt...

– Brak klasycznej łacińskiej edukacji, achillesowa pięta dzisiejszych abiturientów oraz absolwentów. Rzymski senator, Marek Katon Starszy, wszelkie swoje wystąpienia, bez względu na temat, kończył

zdaniem: „– *Ceterum censeo Carthaginem esse delendam!*”, czyli: „– *A poza tym uważam, że Kartaginę należy zniszczyć!*”. Zaś myśmy wszystko kończyli rutynowym westchnieniem : „– *A poza tym uważam, że CIA należy ośmieszyć!*”.

– I teraz wykańcza pana dziecko CIA, do spółki z KGB, pułkowniku. Pańska własna „firma”, drogi Mefisto!

– Nigdy nie była moją „firmą”, była tylko moim miejscem pracy. Kłamałiśmy oboje, pani Krysiu... Pani na temat swojej przynależności, a ja na temat mojej przynależności. Moją „firmą” macierzystą jest GRU, byłem wtyczką GRU wewnątrz KGB. Cała ta operacja podlega GRU.

– Więc dlaczego zezwoliliście mi zgnoić Tolika?

– Francuzi zaczęli go podejrzewać, był już do odstrzału.

– A Growin?

– To generał GRU, szef tej operacji.

– Nie wierzę !

– Zapewnił panią, że przestanę dostawać środki antybólowe, czy tak?

– Tak!

– Od kiedy?

– Od czterech dób...

– Jakoś nic mnie nie boli, pani Krystyno...

– Nie wierzę panu!

– Słowo harcerza! Po kilku dobach bez znieczulenia zwiijałbym się już z bólu, albo ból by mnie już zabił, tymczasem... Alternatywa jest prosta niczym wycior pistoletu, choć w Polsce używa się raczej określenia „*jak drut*”: albo cudowny renesans zdrowia, cudowne wyzdrowienie, albo źli ludzie panią wykołowali... Czas już pochylić głowę, uznać swoją klęskę...

– Po co wam to było?

– Dla uchwycenia końca nitki, koniuszka.

– Czyli?

– Czyli złowienia pani redaktor. Chcemy dotrzeć do TO, taki był cel. Zaś problem z wami, z panią i z Farloonem, jest taki, że nie można was obrobić siłą, bo jesteście tu oficjalnie, parasol daje wam ambasada, macie też status dyplomatyczny, vulgo: nie można was ani rąbnąć, ani nawet po pysku czy po tyłku klepnąć, wrzask byłby zbyt duży, Bush i Putin musieliby na siebie poszczekać, chryja międzymocarstwowa, itepe. Gdyby nie ów szlaban, pani Krysiu – tortury albo kagiebowska mutacja skopolaminy wyciągnęłyby z was wszystko co wiecie. Ale jak nie można, to nie można, trudno. Jest zresztą i drugi szlaban. „Team One” mściłby się, polałaby się krew, byłaby wzajemna rzeźnia bez sensu, po co nam to? Lubimy osiągać swoje cele delikatnie, misternie, bez huku, bez rozgłosu. Stare rosyjskie przysłowie mówi: *„Tiszie jediesz, dalsze budiesz”* – cichcem dalej się zajeżdża.

– Nie pójde na żadną współpracę!

– A kto tu mówi o współpracy? Być może kiedyś, w dalekiej lub niedalekiej przyszłości, moi koledzy pomówią z panią i o współpracy, lecz ja chcę z panią pomówić teraz tylko o doraźnej wymianie usług. Czy, jak pani woli – towarów. Barter: towar za towar.

– Jaki towar?

– Przyjechała pani, by zrealizować dwie sprawy. Primo: by się zemścić, by ukarać tych, którzy pani odebrali wielką miłość... Notabene: nie bardzo rozumiem jak uzyskała pani zgodę szefostwa na taką durną imprezę, pani Krystyno? Widzę trzy możliwości: albo to jest inicjatywa półprywatna, trochę szurnięta partyzantka dwójki przyjaciół Korma za plecami szefów; albo Farloon ma tak wysoką pozycję w TO, że mógł tę imprezę zorganizować pod jakimś pretekstem wyższej rangi; albo wreszcie kierownictwo TO uznało, iż z konającego kagiebisty da się przy pomocy atrakcyjnej dziennikarki

rzeczywiście wyciągnąć trochę ważnych rosyjskich sekretów. Nic innego wyspekulować nie umiem... Lecz wróćmy do celów, jakie panią kierowały. Pierwszym była zemsta za Korma, drugim zlokalizowanie jego truchła, ekshumacja, transport, cmentarz w Ameryce...

– Oba cele zrealizowałam, pułkowniku. Tolik nie żyje, pan też kona, ciało „Ricka” jest już pewnie ekshumowane, wkrótce otrzymam raport.

– To będzie rozczarowujący raport, pani Krysiu. Znęcając się nad Zenkiem wydobyła pani informację o miejscu zakopania Korma, i przedstawiciel ambasady wraz z lokalną policją właśnie tam grzebią. Znajdą metalowe pudełko, wewnątrz leży dyplomatyczny paszport Korma. Moi ludzie zostawili to dziesięć dni temu. Szkielet przenieśli. Jest w stanie doskonałym, quasi-akademickim, mógłby służyć studentom Akademii Medycznej jako lekcyjne akcesorium. Zareklamowałam pani towar pułkownika Heldbauma.

– A mój towar?

– Chcemy poznać nazwiska dowódcy oraz wicedowódcy TO, i tyle.

– Spytajcie wróżki lub wróża, pułkowniku. Gdyśmy się widzieli tydzień temu, mówił pan, że GRU zatrudnia media jasnowidzące. Good luck!⁴⁵.

– Dostanę te nazwiska od pani.

– Założy się pan?

– Wygrałbym znowu.

– Pocałujcie mnie w dupę!

– Trochę zbyt wcześnie pani tego żąda i trochę zbyt późno. Zbyt późno, bo jestem już zbyt stary i zbyt chory, więc do takich pieszczot niezdolny, parafrazując lumpowskie „*too drunk to fuck*”⁴⁶ – zbyt oklapnięty gwoli pieprzenia. A zbyt wcześnie pani tego żąda, bo

45 Powodzenia! (ang.)

46 [Zbyt pijany, by różnąć] (ang.)

Rokiem Mozartowskim będzie dopiero przyszły, 2006 rok.

– Co ma z tym wspólnego Mozart, pułkowniku?

– Jako autor rozpisanego na subtelne sopranowe głosy kanonu „*Leck mich im Arsch*” – „*Pocałuj mnie w dupę*”. Mozart przeznaczył ów kanon do śpiewu kościelnego, bo raz, że był masonem, a dwa, że uwielbiał robić sobie jaja niczym Mefisto. I klął paskudnie, bardzo cenił brzydkie wyrazy. Lubię jego muzykę, lecz nie lubię samego gnoja, bo był koprofilem, koprolalem, odbytnice dawały mu rozkosz... À propos, jak tam muzyczna kariera młodego dyrygenta z Bostonu? Często grają Mozarta?

– Ty bydlaku! Zostaw w spokoju moje dziecko!!

– Peter de Joong nie jest pani dzieckiem. Po rzezi wokół Matabele i wewnątrz Matabele, gdzie zginęli jego prawdziwi rodzice, Korm wywiózł go stamtąd i adoptował, a później pani usynowiła brzdąca i odchowala, lecz on nie ma kropli krwi Czyńskich oraz Kormów w swoich żyłach, pani redaktor.

– Jest mój! Kocham go tak, jakby był moim rodzonym synem!

– To mnie bardzo cieszy, bardzo! Bo wskutek tej gorącej miłości pararodzicielskiej poda mi pani nazwiska szefów operacyjnych „Team One”, autentyczne, bez lipy. Jeżeli poda pani prawdziwe nazwiska, Peterowi włos nie spadnie z głowy, w ogóle nie będziemy się interesowali jego osobą i karierą, zapomnimy o nim zupełnie. Słowo diabła stojącego nad grobem, pani Krysiu.

– Nie mów do mnie „*pani Krysiu*”, ty skurwielu!!

– Mają być prawdziwe, pani redaktor! Kłamstwo zaszkodzi Peterowi, tak zdecydowało kierownictwo GRU, ja to tylko pani przekazuję. Nie radzę ryzykować, nie warto. Kim jest ów wódz i jego zastępca dowiedzielibyśmy się prędzej czy później, nie od pani, to od innych, tego rodzaju sekret nigdy nie bywa długotrwały, pani Kry..., przepraszam – pani redaktor. Od pani to będzie prędzej, i ja będę miał swój ostatni, pożegnalny triumf. A Farloonowi może pani

zeznać, iż to pani odniosła triumf. Wyrolowała pani pułkownika Heldbauma, i wydarła mu szkielet ukochanego.

– Kiedy dostanę kości „Ricka”?

– W każdej chwili, jak tylko usłyszę od pani nazwiska szefów TO.

– Autentyczny szkielet?

– Autentyczny, co bez trudu pani sprawdzi dzięki badaniu DNA.

Słucham panią.

– Podpułkownik Jack Cannonball Fortiz.

– A wice?

– On jest wice. Szefem jest Kevin McBrown.

– Pułkownik Kevin McBrown?

– Tak.

– Nie obstawialiśmy ich, to ciekawe... Peter będzie bezpieczny, pod warunkiem, że pani nie skłamała i że w chwili wyrzutów sumienia lub innej migreny nie dokona pani samokrytycznej spowiedzi przy konfesjonale swoich szefów. Proszę zapomnieć, że dała mi pani te nazwiska. Nie było tego faktu, to się nie stało, pani nic o tym nie wie. Rozumiemy się, pani redaktor?

– Idź do diabła, zwyrodnialcu !

– Czyli do siebie?

– Tak, do piekła, barbarzyńco!

– Piekło biblijne jest dla wierzących w kotły ze smołą, dla reszty piekłem bywa ten padół, co pani ma właśnie okazję przerabiać. Czkwaka historii. Historia to nic innego jak nieustanna walka dobra ze złem. Zazwyczaj wygrywa zło...

– Obyś zdechł w męczarniach! Żegnam!

– Adios, pani redaktor!... Pozdrowienia dla pana majora Farloona! Proszę majorowi nie mówić, że ostatnie słowa, jakie pani tutaj ode mnie usłyszała, brzmiały: „– *Aleście się wpakowali, durnie!*”. To by zepsuło humor majorowi. Niech sobie puści jakiś hit Elvisa... „That’s

All Right⁴⁷ , lub może „Happy Ending”⁴⁸ , lub nawet „Finders Keepers, Losers Weepers”⁴⁹, bo wtedy mnie weźmie za pechowca... Chyba już nie usłyszała... Może pan wejść, generale.

– Hieldbaum, ty mierzawiec, job twoju matieri!⁵⁰ .

– Pierwyj raz wy skazali „Hieldbaum” wmiesto „Mieczysławie Lejzorowiczu”...⁵¹ .

– Za eto wsio, szto ty zdies’ jej goworił, nada by ubit’ tiebia kak sobaku, no patom, kagda my tiebia nakryli, ty sprawiłsa oczień charaszo... Podychaj sam!⁵² .

– Pociemu nasze riebiata wpustili zdies’ etowo Amierikańca?⁵³ .

– Ja nie znaju... Majorze Farloon, co pan robi?!... Oszalał pan, czy co?!... Niech pan nie strzela!!... Dogadajmy się, majorze Far.....

47, „Wszystko w porządku” (ang.)), lub „It Feels So Right” [„Czuję się byczo” (ang.)

48 „Szczęśliwy finał” (ang.)

49 „Zdobywcy triumfują, pechowcy łkają” (ang.)

50 Hieldbaum, ty kanalio, kurwa twoja mać!

51 Pierwszy raz odezwał się pan do mnie per „Hieldbaum” zamiast „Mieczysławie Lejzorowiczu”...

52 [Za to wszystko to, coś ty jej tu gadał, winno się ciebie utłuc jak psa, ale później, gdyśmy cię nakryli, wykonałeś dobrą robotę... No to zdychaj sobie sam!].

– No way, boys... [Nie da rady chłopcy...]

53 Czemu nasi chłopcy wpuścili tutaj tego Amerykańca?

Epilog

- Witam pana, mecenasie.
- Witam, panie generale. Lowa Abelman. Dziękuję, że zechciał mnie pan przyjąć bez zwłoki.
- Zapowiedział pana sam wiceprezydent Cheney... jakże mógłbym odmówić? Miał pan przyjemny lot?
- Loty do Moskwy ciągle sprawiają mi dużą przyjemność, zwłaszcza waszymi liniami, lubię egzotykę.
- A lubi pan pić naszą wódkę?
- Egzotyka w płynie słabiej mnie kusi.
- Whisky czy koniak?
- Może być koniak.
- I cygaro?
- Dziękuję, nie. Czy mogę już przejść do rzeczy?
- Zamieniam się w słuch. Cóż pana sprowadziło na gościnne salony FSB?
- Mam coś do sprzedania...
- Myślałem, że jest pan prawnikiem, nie zaś komiwojażerem.
- Czasy są trudne, panie generale, człowiek, ażeby wyżyć, musi się chwycić wszelkich robót.
- Cóż więc pan oferuje?
- Zanim powiem co oferuję, powiem ile to coś kosztuje.
- Słucham.
- Kilkanaście lat temu wyeliminowano w Polsce naszego agenta, Richarda Korma.
- Mamy go wskrzesić?
- Macie oddać jego szczątki i przestać się interesować jego

rodziną.

– Jego rodzina zainteresowała się nami, i cztery dni temu urządziła w Polsce niezły bigos. Zginęło kilku naszych ludzi, rozwalonych przez wasz „Team One”...

– Świętej pamięci pułkownik Heldbaum powiedział naszej agentce, cytując: „– *Pragniemy dotrzeć do TO, taki mamy cel*”. No i dotarliście, zderzyliście się z TO, dlatego poląła się krew.

– A nie dlatego, że wasz major Farloon to porywczy kowboj, wręcz psychopata?!

– No cóż... zdenerwował się, bo nie lubi grożenia dzieciom... Panie generale, ja tu przyjechałem, żeby załagodzić ten konflikt, kupić pokój, „*mir*” po waszemu. Sytuacja wymknęła się spod kontroli...

– Wam się wymknęła !

– Obu stronom, wy też prowadziliście swoją grę... Nam chodziło tu między innymi o to, ażeby sprawdzić czy Fortiz i McBrown są waszymi „*kretami*”, bo mieliśmy wobec nich pewne podejrzenia. Gdyby byli waszą agenturą – Heldbaum nie łykałby tych nazwisk bez oporu, zatem mamy już pewność, że to nie są zdrajcy. No a wam gra wymknęła się spod kontroli głównie wskutek cichej wojny między FSB i GRU, do której my nie pragniemy się mieszać.

– Wmieszaliście się już bardzo ostro, przy pomocy tłumika majora F.!

– Za to właśnie przepraszam w imieniu naszej strony, generale.

– Przeprosiny nie wystarczą, panie Abelman.

– Wiem, dlatego chcemy kupić szczątki Korma za pewną operację plastyczną.

– Jaką operację?

– Za twarz prezydenta Putina.

– Że co?!

– Jeśli dostaniemy szczątki Korma i wybaczenie za nazbyt nerwowy tłumik majora Farloona – nie powiadomimy całego świata,

że sponsorujecie Al-Kaidę.

– A sponsorujemy?

– Tak.

– A dowody?

– Właśnie tym zapłacę – nieujawnieniem dowodów. Prezydentowi Putinowi bardzo się to przyda, bo będzie mógł dalej pieprzyć całemu światu, że zwalcza terroryzm, gdyż mierzi go każdy terroryzm. A głównie terroryzm muzułmański. A już zwłaszcza ów ceczeński. Będzie mógł dalej truć, że Al-Kaida tudzież partyzantka ceczeńska niczym się nie różnią, i będzie dalej mógł rżnąć ten nieszczęsny naród jak bydło rżnię. Samych ceczeńskich dzieci wymordowaliście już ponad czterdzieści pięć tysięcy, bez żadnych hamulców. Mamy wam zepsuć tę idyllę?

– Nie lubię propagandy, panie Abelman – lubię konkrety i szczegóły.

– A ja lubię lasy.

– Lasy?...

– Ummm, lasy. To takie zgrupowania drzew.

– Wiem co to są lasy, ale nie rozumiem dlaczego pan mi to oznajmia.

– Bo chciałbym, żeby mnie pan wziął do jakiegoś ładnego rosyjskiego lasu. Teraz, zaraz. Biermy pański wóz, wyjedźmy poza miasto, i wejdźmy do przydrożnego lasu w miejscu, które ja wskażę. Czyli w miejscu, gdzie na drzewach nie będzie czekała aparatura podsłuchowa. Tam zbadam czujnikiem elektronicznym czy nie nosi pan minimagnetofonu, generale, sprawdzę czy pańska eskorta nie mierzy do nas ze sztucerów podsłuchowych, i będę mógł na łonie przyrody otworzyć przed panem serce pełne konkretów i szczegółów. Są tej wagi, że chcę je panu wyznaczyć „*off the record*”⁵⁴.

– Nie widzę przeszkód, panie mecenasie.

54 Poza nagraniem, poza mikrofonem (ang.)

– To dobra decyzja. Dobra tak dla nas, jak i dla was, myślę o FSB i o jej uczuciach wobec GRU. Chodźmy.

Posłowie od wydawcy

(broń Boże nie czytać przed przeczytaniem książki)

Bezбłędnym mottem do „Najgorszego” byłyby dwa zdania o Clincie Farloonie, które znajdujemy w „Najlepszym” (w wydaniu I – str. 46, zaś w wydaniu II – str. 39), lecz autor nie mógł umieścić ich jako motto na początku książki, gdyż zdradziłby jej finał. Te dwa zdania brzmią:

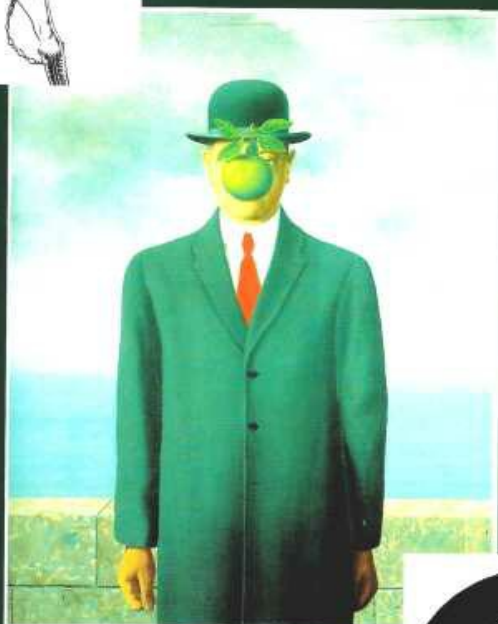
„Clint Farloon, choć nigdy nie czytał Dumasa, miał coś z hrabiego Monte Christo – nie lubił, by traktowano go wrednie, i nie lubił tak go traktującym odpuszczać win. Słowem: nie lubił niewyrównanych rachunków”.

James Jesus Angleton – wieloletni szef kontrwywiadu



14. 10





Najgorszy

8360297088



9 788360 297087